

- Lenin, Stalin, Trocki, Dzierżyński i inni w dramacie M. Szatrowa „Pokój brzeski” — str. 12 i 13
- Nasz człowiek w CPN — str. 6
- Oplakany stan łódzkich kin — str. 7
- Paryż zagrożony przez terrorystów — str. 13

Tadeusz Michalski
z Przedborza
— laureatem nagrody
„Odgłosów”

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 21 (1521)

ROK XXX

23 MAJA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

Rozpacz w Warszawie

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Czytaj strona 5



Foto: Grzegorz Galasinski

Co dzieje się w miejscowościach, które podział administracyjny ułokował wbrew dawnym powiązaniom komunikacyjnym i tradycji? Awans do rangi miasta ma czasem wymowę polityczną. Ze społecznej inspiracji przy wspólnym wysiłku wiele można zrobić.

Dawniej bywało tu niemrawo

WACŁAW OPACKI

Małe miejscowości używają wszelkich sposobów i dojdą, by stać się miastem, tak jakby jako wieś nie mogły normalnie funkcjonować. Reprezentanci lokalnych społeczności (podpierając się listami z licznymi podpisami) twierdzą na posiedzeniach wysokich rad i różnych gremiów, że jako wieś osiągnęli już wszystko, a pozostanie przy wsi ograniczy ich rozwój. Wieś nie będzie już wsią, gdyż młodzi nie chcą w niej pozostać. Wieś najpierw więc się zestarczeje, a potem opustoszeje. Dobijanie się o należną rangę formalną nie ma niby charakteru ambicjonalnego, a ma wymiar szerszy: społeczny. A ktoś tego nie doceni, wszak żadna władza nie pozwoli na opuszczenie wsi, bo ktoś na niej (lub raczej przy ziemi) musi pozostać i naród żywić. Do tych argumentów dorzuca się cyniki polityczne, bo nasze wszelkie poczynania na terenach odzyskanych śledzą bacznie inne kraje i skwapliwie liczą błędy i niedomaganie. Pojęcie „polityczne” czasami okazuje się najważniejsze: zazwyczaj wypełnia już konglomerat czynników niezbędnych dla wydania pozytywnej opinii wojewódzkiej rady narodowej, a wreszcie akceptującej decyzji Rady Państwa.

Czy jednak wraz z formalnym splendorem, który spłynie na mieszkańców nastąpi rozkwit miejscowości? Czy ludzie tak bardzo wleczą w przemożną siłę miasta i są przekonani, że zawsze „coś z czymś” i „ktoś z kimś” muszą iść w parze i wzajemnie się uzupełniać? Czy do budżetu miasta będą odciążać płynące wartkim strumieniem pieniądze, których dotąd dla wsi brakowało („mówią o nas: do jakiegoś tam wóchni”? A jeśli już pieniądze będą, to czy na miasto istotnie laskawiej spojrzą dyrektorzy przedsiębiorstw wykonawczych województwa i troskliwie zaopekują się błotnistymi drogami, śmierdzącymi jeziorami, które sami zatruwają, wybudują wodociąg, dołączą nitkę gazowniczą do przechodzącego blisko rurociągu? Kiedy są to tylko pobożne życzenia, a nie tylko niemożliwe plany do realizacji?

WBREW STARYM UKŁADOM

Czy miasto zintegruje mieszkańców i uwolni od nieprawdziwego, ale często przywoływanego historycznego fatum ciężącego na wsi, jakim jest konfliktowość, separatyzm, zaciętość i egoizm? A może te zabiegi są próbą polityczno-społecznych rewindycji, drogą do odzyskania własnej tożsamości? Czyż wiele społeczności lokalnych i regionalnych nie czuje się skrzywdzonych decyzjami, które arbitralnie ich zaszkladko-

wały? Byli „miastowymi”, ale decyzja uczyniła ich „wsiowymi”, a w związku z tym zostali wyrzuceni z najbliższego pola zainteresowań władzy? Czy pytał się ktoś o ich zdanie, kiedy w Polsce przeprowadzano w latach siedemdziesiątych reformę administracyjną? Zostali przerzuceni do innego województwa, chociaż nie łączono i nie złączało ich przez ostatnie lat 10–12 z nim nic, no może z wyjątkiem zmian personalnych zwierzchników w urzędach. Nie zmieniła się komunikacja budowana w starym układzie terytorialnym, bo przecież nowych torów nie położono, nowych tras autobusów nie wytyczono. Do nowej stolicy województwa jeżdżą więc w trzy godziny, podczas gdy do starej zajmowało im maksimum dwie. Do miasta, w którym znajduje się Zespół Opieki Zdrowotnej i przyjmuje lekarz — specjalista jest do południa tylko jeden autobus, i to już po dziesiątej, podczas gdy numerki w rejestracji wydaje się o siódmej rano, a najlepiej zając kolejkę jeszcze wcześniej: 4–5 rano, bo ze specjalistami u nas — jak wiadomo — kruchło. Za to od miasta, które było kiedyś powiatowym i w którym też znajduje się obecnie ZOZ, dzieli ich zaledwie 20 km, a poza tym pozostało bez zmian kilka do- brych, rannych połączeń.

Może tymi zabiegami chcieli- by więc przypomnieć o swoim istnieniu, gdyż wydaje się im — nie bez słusznego podstawu — że mieszkając na obrzeżu województwa nikt nimi nie interesuje się. Trudno tu do- prawdy dociec rzeczywistych przyczyn i ukrytych intencji, którymi kierowali się i kierują w walce o zmianę administracyjnego statusu.

NA PRZYKŁAD KISIELICE

Kisielice, które otrzymały prawa miejskie w 1985 roku, jakby do tych rozważań pasowały. Kiedyś były miastem, potem przestały nim być, kiedyś były w województwie olsztyńskim, po reformie trafiły na same obrzeże elbląskiego. Daleko do wojewody, trudniej też dostać się do laryngologa czy chirurga w Kwidzynie, podczas gdy do Hawy ładniej i składniej. Na ulicach błoto, z pobliskiego jeziora coraz bardziej dawał o sobie znać smród, no i w ogóle brud. Mieszkańcy sąsiednich Prabut i Susza mówili o nich zawsze uszczypliwie, no i z przekąsem, nieraz z powodu urażonych ambicji poszły w ruch sztache- ty, a tak najlepiej to było wzajemnie trzymać się od siebie z daleka.

— Gmina Kisielice

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Bohdan Gadomski, Jacek

Głębski, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Marek Mamos, Zenon

J. Michalski, Ryszard

Nakonieczny, Adam

Ochocki, Jerzy Panaszewicz,

Karol J. Strzyński, Maciej

Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa —

Książka — Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

monówionych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

Instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach wojewód-

zkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— Instytucji i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-

torów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych nadawczo-oddawczych

właściwych dla miejsca zamiesz-

kania prenumeratora. Wpłaty do-

konuje się używając blankietu

„wpłaty” na rachunek bankowy

miejscowego Oddziału RSW

„Prasa — Książka — Ruch” 3.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki

za granicę przyjmuje RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

Centrala Kolportażu Prasy i

Wydawnictw ul. Towarowa 28

00-958 Warszawa konto NBP XV

Oddział w Warszawie nr 1153-

201045-139-11. Prenumerata ze

zleceniem wysyłki za granicę

poczta zwykła jest droższa od

prenumeraty krajowej o 50 proc.

dla zleceniodawców indywidual-

nych i o 100 proc. dla zlecenioda-

Tadeusz Michalski laureatem nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury

11 i 14 maja 1987 roku obradowało jury dorocznej nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1986 roku. Jury obradowało w składzie: Lucjusz Włodkowski — przewodniczący, Paweł Tomaszewski — sekretarz; członkowie: Tadeusz Błażczyk — Akademia Muzyczna, Andrzej Kempa — Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Zenon J. Michalski — PWSFTviT, Andrzej Mikołajczyk — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Aleksandra Pukaczewska — PWSSP, Jerzy Panaszewicz — Zarząd Oddziału SD PRL, Edward Szuster — Zarząd Oddziału ZLP, Zdzisław Szymor — Wydział Kultury i Sztuki UML.

Przegląd prasy

Według najnowszych danych Polska liczy 37 mln 572 tys. obywateli. W tym 60,5 proc. stanowi ludność miejska. Na każdego 100 mężczyzn przypada 105 kobiet. Przeciętna długość życia mężczyzn wynosi 68,5 lat, a kobiet — 74,8 lat. Mężczyźni najczęściej wstępują w związku małżeńskie w 25 roku życia, kobiety zaś w wieku 22 lat. Większość młodych panien (aż 60 proc.) w momencie ślubu bywa w ciąży. Na 1000 urodzeń żywych przypada w naszym kraju 17,3 zgonów. Pod tym względem wśród krajów europejskich gorzej jest tylko w Jugosławii, Rumunii i na Węgrzech.

Na ile Europy wciąż jesteśmy społeczeństwem młodym. W wieku przedprodukcyjnym znajduje się 29,8 proc. ludności, w wieku produkcyjnym 58,1 proc., a najstarsi stanowią 12,1 proc. całej populacji. Zmniejsza się jednak liczba czynnych zawodowo. Przez to coraz mniejsza część społeczeństwa utrzymuje tych, którzy jeszcze bądź już nie pracują. Przytoczone wyżej dane znalazłem w dzienniku rządowym „RZECZPOSPOLITA” (nr 110). Podaje je M. Miecznikowska na podstawie materiałów Departamentu Badań Demograficznych i Usług Niematerialnych GUS. Myślę, że warto uzupełnić ten statystyczny

OBRAZ SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

Szczególnie interesująca jest struktura społeczno-zawodowa ludności Polski. Przedstawia ją w miesięczniku „PRACA I ZABEZPIECZENIE SPOŁECZNE” (nr 2) Edward P. Kozłowski. Autor wykorzystał wyniki spisu ludności i mieszkań z 1984 roku.

Okazuje się, że podstawowym czynnikiem różnicującym strukturę społeczno-zawodową jest miejsce zamieszkania. W miastach bierni zawodowo obejmują prawie jedną czwartą ludności, a na wsi tylko jedną dziesiątą. Wśród czynnych zawodowo w mieście najczęściej jest robotników (52 proc.) i pracowników umysłowych (39 proc.). Na wsi natomiast dominują w tej grupie rolnicy indywidualni (53 proc.), a drugim miejscem są robotnicy (35 proc.) i dalej pracownicy umysłowi (9 proc.). Pracujący na rachunek własny stanowią w mieście 5,4 proc., na wsi — zaledwie 1,6 proc. Zalicza się tu rzemieślników, przedstawicieli wolnych zawodów itp.

Zarówno w mieście jak i na wsi istnieje wyraźna hierarchia społeczna pod względem udziału osób korzystających z kompletnie instalacji sanitarno-technicznych (wodociąg, ustęp, łazienka, gaz i centralne ogrzewanie). Komplet ten posiada w miastach 88 proc. pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem, 76 proc. pozostałych pracowników umysłowych i 72 proc. pracujących na własny rachunek. Wśród robotników czynnikiem różnicującym jest poziom wykształcenia. Pełne wyposażenie ma 65 proc. z ponadpodstawowym wykształceniem oraz 32 proc. z podstawowym lub niższym wykształceniem.

Także na wsi wyposażenie

Jury rozpatrzyło 7 kandydatur do nagrody „Odgłosów”. W wyniku losowania jury postanowiło przyznać nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1986 roku pedagogowi i działaczowi kulturalnemu z Przedborza — TADEUSZOWI MICHAŁSKIEMU.

Przypominamy, że poprzednimi laureatami nagrody „Odgłosów” byli: Anoni Szram i Sławomir Pietras.

Wręczenie nagrody odbędzie się w Łodzi, w siedzibie redakcji „Odgłosów” 29 maja 1987 roku o godz. 12.

Laureatowi — TADEUSZOWI MICHAŁSKIEMU serdecznie gratulujemy!!!

W najbliższym czasie zamieścimy artykuł o laureacie — Tadeuszu Michalskim z Przedborza oraz omówimy wnioski i propozycje wynikające z posiedzenia jury, jak też ogłosimy regulamin nagrody za upowszechnianie kultury w 1987 roku.

SWIADOMOŚĆ POLAKÓW

Wiceprezes PAN, socjolog Władysław Markiewicz twierdzi, że badania opinii publicznej nie mogą być w pełni wiarygodne. Uzyskujemy bowiem tylko tzw. średnie. Nie wiemy zaś, co się z nimi kryje? Jacy są przywódcy? Jaka siła przebicia mają dane poglądy? „Historie rozmaitych strajków, demonstracji, wystąpień masowych wyraźnie dowodzą, że nastroje grupowe mogą się momentalnie zmieniać właśnie za sprawą tego rodzaju zdolnych czy to demagogów, czy też działających konstruktywnie przywódców”.

Profesor Władysław Markiewicz krytycznie wypowiedział się o jednym z tradycyjnych elementów „naszej propagandy masowej”. Na przykład: ciągle od nowa zadaje sobie pytanie dla kogo przeznaczane są transmitowane przez radio i telewizję, a następnie dodatkowo w prasie publikowane sążniste referaty i sprawozdania z obrad różnych gremiów? Przecież nie musimy prowadzić skomplikowanych badań opinii publicznej, żeby domyślać się, iż ogromna większość ludzi, do których te referaty są adresowane w ogóle ich nie posłucha, nie interesuje się nimi, a w każdym razie wbrew oczekiwaniom autorów intelektualnie i uczuciowo nie przeżywa ich tak poważnie, jakby nawet składając zastrzeżenia. Przy czym można by udowodnić w sposób stosunkowo łatwy i prosty, że skrócenie nawet o 3/4 tych tekstów, byłoby z korzyścią dla odbioru przez szerokie kręgi społeczne. Zwiększa się, jeśli sięgnąć pamięcią wstecz, to można przytoczyć przykłady takich dokumentów i wystąpień przywódców politycznych, które były zwięzłe, krótkie, ale zapadły w pamięci całych pokoleń!

Profesorowie nasi są obecnie bardzo aktywni jako eksperci i politycy. Ale tytuł profesorski nie ma już takiej mocy nobilitującej jak dawniej. Niektórzy uważają, że „prawdziwych” uczonych już nie ma, są tylko naukowcy, pracownicy naukow. W studentkim piśmie „ITD” (nr 19) Mariusz Urbanek napisał

PAMFLET NA PROFESORÓW

„Profesura ciągle jeszcze nobilituje — stwierdza autor — ale ta nobilitacja już nie zobowiązuje. Za słowem profesor nie musi się już kryć fakt, godność, wiedza i kultura. Profesura stała się celem, do którego zmierza się, aby po osiągnięciu słodko spocząć na laurach. Kto raz zostanie już profesorem nie musi więcej pisać książek, nie musi tworzyć niczego nowego, nie musi myśleć. Może już wtedy wyłącznie zaszczycać, uświetniać, reprezentować, znaczyć”. (...)

Pod koniec artykułu Mariusz Urbanek zastrzega, że pamflet jego nie dotyczy wszystkich profesorów. Podkreśla on, że i tak wszyscy wiedzą, o których profesorach jest mowa.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Cena dóbr bezcennych

Często w prawdach banalnych kryją się ważne treści. Banalem wydaje się nieraz jakże słuszna teza, iż rozwojowi naukowo-technicznemu, stwarzającemu m. in. śmiercionośne bronie, nie dorównuje poziom moralny społeczeństw, bez czego nie można zapobiec zagładzie ludzkości. Jeszcze większym banałem może wydawać się stale wyrażane przekonanie, że pokój stał się obecnie dla ludzkości dobrem najważniejszym, gdyż stanowi o „być albo nie być” nie tylko cywilizacji współczesnej, ale wprost gatunku ludzkiego.

Ale jeśli owe, tak często głoszone, że aż zbanalizowane tezy uznajemy za bezwzględnie słuszne, to czy może istnieć ważniejsza działalność od szukania pokojowych rozwiązań na polu militarnym i politycznym, od rozpowszechniania wśród ludzi świadomości zagrożenia i od wynajdywania dróg do podnoszenia poziomu odpowiedzialności moralnej społeczeństw?

Mam wewnętrzną pewność, że istnieje potrzeba stałego oddziaływania na wszystkie narody w kierunku m. in. wychowania młodego pokolenia dla pokoju, tzn. przede wszystkim w uczuciach życzliwego zainteresowania odmiennościami kultury i tradycji innych narodów i w poczuciu ogólnoludzkiej wspólnoty wobec wspólnych zagrożeń, jak np. dla naturalnego środowiska człowieka ze strony wytworów ludzkiej działalności, jak dla zdrowia człowieka ze strony epidemii czy pandemii w postaci np. AIDS i wreszcie dla biologicznego życia naszej planety ze strony broni nuklearnych, chemicznych czy biologicznych, które byłyby użyte w razie globalnego konfliktu.

Myślę, że zwłaszcza w wychowaniu antymilitarystycznym powinniśmy jeszcze raz przemyśleć wprowadzony u progu Polskiej Ludowej z pryncypiów przesłanek ideologicznych zakaz produkcji i sprowadzania zabawek militarnych, zakaz późniejszego hasłami patriotycznymi uchylony. Zapewne dlatego, że pamiętam okropność ostatniej wojny, doznałem zawsze niemiłych wrażeń, kiedy dzieci bawią się w zabijanie na polu walki albo rozstrzeliwanie wrogów, nalezających oczywiście do innych nacji. Czy może w ogóle istnieć wychowawcze założenie (w ideologii internationalistycznej), iż wrogowie narodu będą istnieć zawsze? I czy doprawdy miłość ojczyzny bez myśli o wrogach zewnętrznych nie może istnieć?

Najważniejsze praktycznie i najpilniejsze wydają się jednak antywojenne działania zapobiegawcze na międzynarodowym forum, toteż tytułem do chwaly naszego państwa jest fakt, iż już trzeci nasz wysoki przedstawiciel zgłasza wobec narodów świata pokojowe propozycje: po Adamie Rapackim i Władysławie Gomułce, Wojciech Jaruzelski.

Nie brak sceptyków, którzy zdają się niewielką wagę przywiązywać do skuteczności tego rodzaju pokojowych inicjatyw, albo dlatego, że przyjmują fatalistycznie, iż istnienie dwóch przeciwstawnych ustrojów społeczno-politycznych czyni wojnę światową nieuniknioną, albo ponieważ uważają, że wyłącznie dobra lub zła wola przywódców (lub kół kierowniczych) obu supermocarstw jest zdolna zadecydować o pokoju i wojnie. Chyba jednak powierzchowne jest niedocenianie roli pozostałych państw, świadczą o tym nie zrozumienie dostrzegalnych przecież faktów, że mocarstwa coraz bardziej liczą się z opinią swoich sojuszników i coraz bardziej zabiegają o pozyskanie społeczeństw państw sojuszniczych dla uznania ich przywódczej roli.

Nie znam się na sprawach wojskowych, nie potrafię do końca ocenić zalet i ewentualnych niedostatków tego rodzaju międzynarodowych ofert, jak „Plan Jaruzelskiego”, już samo jednak podejmowanie pokojowej inicjatywy zasługuje na poparcie każdego, kto widzi w następnej wojnie powszechną powagę katastrofę.

Na ile tych różnych żądań, zmierzających zarówno do bezpośredniego odprężenia, jak i długofalowego wychowania dla pokoju, szczególnie perfidnie przejawiają się różne działania pseudopokojowe, rzekomo pacyfistyczne, zmierzające w praktyce do jednostronnego rozbrojenia się państw socjalistycznych przez zachęcanie do odmowy pełnienia służby wojskowej (o czym już przed kilku tygodniami wspominałem). Te same (nielegalne) kola polityczne przedstawiają nieraz w sposób skrajnie problematyczny ochronę naturalnego środowiska, propagując demontaż znacznej części naszego przemysłu. Oczywiście, nie każdemu, komu leży na sercu sprawa ochrony środowiska i kto pętnuje panującą w tej dziedzinie bezkarność i bez troskę, chodzi o osłabienie naszego państwa wobec zachodniego militarizmu. Trzeba się wystrzegać tego rodzaju pomówień...

Ale w intencjach politycznych przeciwników socjalizmu chodzi właśnie o spowodowanie takiego stopnia nierównowagi między obozami politycznymi na polu gospodarczo-militarnym, żeby stworzyć Zachodowi szansę wywarcia „pokojowego” nacisku na kierunek wewnętrznego rozwoju państw socjalistycznych.

Pokój więc, choć tak bezcenny, ma u naszych przeciwników swoją określoną cenę. Czy może jej nie mieć i dla nas?

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Wstrząsający reportaż KRYSZTYNY RUTY o studentach slumsach w Warszawie. Życie studentów jest tam koszmarem. Pokoje przedstawiają obraz nędzy i rozpacz. Nawet w sanitariach panują anty-sanitarne warunki. Wygląda na to, że o warszawskich Jeloncech wszyscy zapomnieli.

— Po raz pierwszy drukowane w języku polskim nieznanie dotąd, bułwne zakończenie znakomitej powieści MICHAŁA PIETHAKA „Biała gwiazda”. Dzieło tego utworu są równie dramatyczne i powiklane jak arcydzieła „Mistrz i Małgorzata”.

— Nie zbiera znaczków. Nie lubi piosenek. Nie ogląda telewizji. Nie znosi wódki i piwa. Sport traktuje jako przejaw zdziczenia obyczajów. Chciał zostać detektywem. Był rygorystycznym harcerzem. Ze znanym publicystą i pisarzem Kazimierzem Koźniewskim rozmawia EUGENIUSZ IWANICKI.

— Kim są szatniarze w kawiarniach i restauracjach? Mają wiele obowiązków, lecz nie przyznano im żadnych praw. Kto zajmie się ich sytuacją? — pyta WITOLD WERNER.

— Scenariusze stagnacji, ładu centralnego i konsekwentnych zmian rozważa w artykule na temat drugiego etapu reformy gospodarczej WITOLD KASPERKIEWICZ.



Foto: Grzegorz Galasiński

— Zaczynamy od pytania natury osobistej: jaka była pana droga do funkcji i etatowej pracy w ruchu laickim?

— Zagadnienia filozofii, etyki, religii interesowały mnie od wczesnej młodości. Poglądy się na studiach (studiowałem pedagogikę na Uniwersytecie Łódzkim). W tym okresie literatura światopoglądowa i religioznawcza stanowiła moje hobby. Tak też było w latach następnych, potem zaproponowano mi pracę etatową, z funkcją sekretarza Zarządu Łódzkiego, a wreszcie wybrano mnie na wiceprezesa Zarządu.

Szkoły Świeckiej różnie była w owym czasie komentowana. SAIW, który miał sporo przeciwników (a nie mówię tu o kręgach klerkalnych, gdzie traktowano Stowarzyszenie jako „związek osobistych nieprzyjaciół Pana Boga”) był często kroć niewygodny dla instancji partyjnych jak i władz administracyjnych. Mówiło się, że działacze SAIW, na ogół starsi wiekiem, częstokroć tacy, którzy nie odnieśli sukcesu w działalności partyjnej, usilowali wywierać nacisk na władze, aby te prowadziły bardziej zdecydowaną, twardą politykę wo-

SAIW (Łódź 23-24 kwietnia 1982) „Działamy w sytuacji, kiedy socjalizm budowany jest w Polsce wspólnym wysiłkiem wierzących i niewierzących, kiedy dla budowania socjalizmu niezbędna jest moralna jedność całego narodu”.

— Pierwsze lata działalności nowego Towarzystwa upamiętniło kilku felietonistów, bezlitośnie drwiących z szczegółowych scenariuszy uroczystości świeckich, takich jak nadanie imienia, inicjacja zawodowa itp.

— Nie robiliśmy tego sami, mieliśmy współników. Te scenariusze powstawały w różnych komisjach, w których uczestniczyli nie tylko działacze TKKS. Sądzę także, że nie wszystko w nich było takie komiczne. Sama idea była na pewno słuszną, wykonanie — być może — szwankowało.

— Potem przyszły lata 1980-81. Towarzystwo jakby zeszło do podziemia?

— Tak, niemalże... Ponieważ organizacje społecznych o zdecydowanie politycznym obliczu: organizacje młodzieżowe, towarzystwa przyjaźni. Myślę, że nie tylko z zasadniczych powodów ideologicznych czy politycznych — wobec tego, co się działo w naszym społeczeństwie — problematyka, którą się wówczas zajmowaliśmy wydała się wielu ludziom — jak sądzę — dość nielotna, drugorzędna. Część naszych członków nie była w stanie oprzeć się wzmożonej presji irracjonalizmu i przeciwników ustroju. Okres 1980-81 przyniósł Towarzystwu, podobnie jak wielu

ności wydawniczej — jest to udany mariaż upowszechniania propagandy myśli laickiej ze zdobywaniem środków. Wydaliśmy dotąd „Religie dalekiego i środkowego Wschodu” Edmunda Lewandowskiego i książkę Danuty Tomaszewskiej pt. „Koncepcja człowieka w polskiej myśli socjalistycznej”.

W przygotowaniu kilkanaście dalszych pozycji, z czego pięć już w drukarniach. Wydamy między innymi „Świat Islamu” Władysława Baranowskiego, „Wizerunki ludzi niepopolitycznych” Zbigniewa Kuchowicza. Pragnę dodać, że produkujemy książki tanio, przy minimalnych kosztach własnych.

— Jeszcze jedno kłopotliwe (jak sądzę) pytanie. Jest paradyks, że w państwie, w którym od czterdziestu lat z okładem sprawuje władzę partia o ideologii materialistycznej, w którym tolerancja religijna jest zagwarantowana zapisem konstytucyjnym, w którym wszystko co państwowe i społeczne jest z założenia laickie, zdarzają się najróżniejsze akty nietolerancji w stosunku do przedstawicieli „mniejszości religijnych”, ale przede wszystkim w stosunku do ateistów! Co szczególnie bolesne także w stosunku do ich dzieci... Czy Towarzystwo widzi ten problem?

— Nie tylko widzi. Nasza działalność, w końcu głównie oświatowo-kulturalna nie może w widoczny sposób wpłynąć na zdecydowaną poprawę w tych sprawach. Ale do działalności oświatowej się nie ograniczamy. W niedawnej, szo-

Po prostu: tak myślę!

W konsultacjach przeszkadzają oklaski

Mój ulubiony komentator radiowy Jerzy Kowalski zwierzył się niedawno, że został zaskoczony. Sądził mianowicie, że o gospodarce powiedziano już wszystko. Wybrał się służbowo — jako sprawozdawca radiowy — na posiedzenie zespołu problemowego II Kongresu PRON, który zajmował się właśnie sprawami gospodarczymi i tam został zaskoczony. Okazało się, że o gospodarce można jeszcze mówić i to rzeczy ciekawe i niebanalne. A największym zaskoczeniem dla Jerzego Kowalskiego — do czego się lojalnie przyznał — było to, że te ciekawe rzeczy mówili działacze PRON ze szczebla... gminnego. Cieszę się niepomier- nie, że mój ulubiony — nie ma w tym wcale ironii, a jedynie uznanie — komentator radiowy od spraw gospodarczych odkrył i — wydawałoby się powszechnie znaną prawdę — że ludzie mądrzy mieszkają nie tylko w Warszawie.

Mimo tej powszechnie wydobywającej się znaney prawdy niektórzy ludzie uważają, że mądrość została rozszana po Polsce koncentrycznie. Najwięcej jej w Warszawie, gdzie mieszczą się wszelkie urzędy centralne oraz takowe instytucje, a im dalej od Warszawy, tym mniej mądrości. I jeśli tylko gdzieś pojawi się ziarenko mądrości poza Warszawą zaraz centralna pompa zostaje w ruch puszczona i owo ziarenko zostaje wessane do centrum. Taki schemat rozszania mądrości po Polsce jest może wygodny dla wielu urzędników, im przydaje autorytetu i dobrego samopoczucia, ale z prawdą i rzeczywistością nie ma to nic wspólnego.

Jest prawda, że stolica — jako centrum państwa — nieustannie wzbogaca swoje biurokratyczne struktury ludźmi z pogardzanej niekiedy prowincji, ale jest to poniekąd proces naturalny. Skądś kadry czerpać trzeba. Żadne centrum pod tym względem nie jest samowystarczalne. Naturalnym też dążeniem każdego człowieka, który zdecydował się robić karierę urzędniczą, jest wspinanie się po szczeblach administracyjnej struktury, na górę której mieszczą się właśnie centralne instytucje i urzędy. Awansować do Warszawy — to naprawdę awansować, nawet gdyby w tej Warszawie miało się zginać pośród tysięcy podobnych biurokratycznych wyrobników.

Nie jestem przeciwnikiem administracji, urzędników i różnych struktur zarządzania. Rozumiem ich potrzebność. Zgadzam się z wieloma opiniami, że urzędnicy to też ludzie. I właśnie dlatego, że to ludzie, ulegają oni różnym skłonnościom. Skłonnościom do konserwatyzmu przede wszystkim. Zresztą tak naprawdę i szczerze powiedziawszy, to w każdym z nas — nawet żeby nie wiem jak głośno deklarował przywiązanie do postępu — tkwi gdzieś w zakamarkach świadomości zagorzały konserwatysta. Rzecz teraz w tym, czy warunki, w jakich się znajduje będą sprzyjały rozwijaniu zamiłowania — bardzo ryzykownego i niebezpiecznego — do konserwatyzmu. Jeśli więc podejmujemy walkę z konserwatyzmem, to przede wszystkim podejmijmy ją z sobą.

„Czymży ja godniejszy nad te, którzy są pod moją władzą?” — pytał proboszcz zborów arlańskich w Lublinie i Rakowie, Jan Stoiński. Rzecz ukazała się drukiem w 1633 roku i — choć wówczas odnosiła się do zupełnie innych warunków — to istota tego pytania pozostała aktualna do dziś. Można byłoby to pytanie zmodyfikować zastępując słowo: „godniejszy” słowem: „mądrzejszy”, ale będzie to jedynie bardziej czytelne dla współczesnych. Sens pozostanie nie zmieniony.

Gdy patrząc na różne posunięcia centralnych urzędów, to niekiedy odnoszę wrażenie, że ludzie tam pracujący są właśnie „godniejsi”, a zatem i „mądrzejsi”. Wiedzą lepiej, bo widzą, z wysoka. To wrażenie odnosi przecież wielu ludzi, nie tylko ja, gdyż jak inaczej wytłumaczyć bezruch wielu demokratycznych instytucji, jak choćby samorządu terenowego; jak wytłumaczyć wiele umierających bezpoczątkowo inicjatyw, jeśli nie konserwatyzmem i biurokratyzmem tych, którzy wiedzą lepiej.

„Szczęście bowiem ogółu — pisał w 1882 roku Aleksander Świętochowski — według nas, nie jest bezwzględnie zależne od jego siły i samodzielności politycznej, lecz od możliwości uczestniczenia w cywilizacji powszechnej i posuwania własnej”. Zatem od uczestniczenia w całokształcie życia publicznego, poczynając od gminy a kończąc na państwie. Ale jak można w tym uczestniczyć, jeśli niektórzy urzędnicy widzą dalej, wiedzą lepiej i potrafią decydować za wszystkich? Dyskusja o ich decyzjach i postanowieniach ich nie interesuje. Oni oczekują na oklaski, na pochwały ich mądrości i przenikliwości.

Kilka dni temu Zbigniew Korzeniowski z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia przygotował program, który emitowano w „Czterech porach roku”, o społecznym wysiłku przy budowie szkół. Wysłuchałem tego już nie tyle ze smutkiem, ile z nasilającym się oburzeniem. Ile społecznej inicjatywę obumiera za sprawą biurokracji, bezmyślności, indolencji tych, którzy takim inicjatywom powinni służyć pomocą, być dla nich oparciem i wsparciem. A nie są. Ludzie przecież chcą, podejmują się niekiedy trudnych prac, prawie ponad ich siły i oczekują pomocy. Jeśli jej nie otrzymają, nigdy już z żadną inicjatywą nie wystąpią. Tak zwycięża partykularyzm i biurokracja.

Nie sądzę, aby podstawowa sprzeczność naszych czasów była sprzecznością między biurokacją a grupami społecznymi. Ale taka sprzeczność istnieje i hamuje nasz rozwój. Tę sprzeczność dostrzegali już w 1923 roku Włodzimierz Lenin, który w swoim ostatnim artykule: „Lepiej mniej, ale lepiej” pisał: „Żył się ze sobą a nas odważa teoretyczna w ogólnych konstrukcjach ze zdumiewającą nieśmiałością w stosunku do jakiegokolwiek najnieznaczniejszej reformy kancelaryjnej”. A przecież te „reformy kancelaryjne” są niezbędne.

Mamy wspaniałe ustawy. Jedną mówią, że najlepsze w świecie, inni, że jest ich jakby za dużo. Tylko że te ustawy są niekiedy robione z myślą o dalekiej przyszłości. Niektóre z nich pozostają w znacznej mierze martwe, jak choćby ustawa o „jakoci”. Cóż z tego, że mamy taką ustawę — i wiele innych — kiedy jakoś produkcyjnie ciągle jest niezadowolająca, a niekiedy wręcz zła. Fakt posiadania dobrych ustaw i przygotowywania nowych oraz ich nieprzeprzeganie rodzi obojętność ludzi na działanie prawa, jego lekceważenie, rodzi przekonanie, że jak się „dogada” z urzędnikiem, to wszystko się załatwi. Rodzi społeczną obojętność. Zjawisko bardzo niebezpieczne.

Ostatnio Sejm uchwalił poprawkę do Konstytucji następującej treści: „Sprawowanie władzy państwowej przez lud pracujący następuje także poprzez wyrażanie woli w drodze referendum. Zasady i tryb przeprowadzenia referendum określa ustawa”. Obowiązuje też zasada konsultowania różnych decyzji. Bez przesady oczywiście, aby w każdej sprawie ogłaszać zaraz referendum w najdrobniejszych sprawach lub konsultować każdą najmniejszą decyzję ROM. Ale są sprawy, które wymagają pytania innych o zdanie. I obawiam się, aby w tych sprawach ludzie, którzy uznali, że wszystko wiedzą najlepiej, nie konsultowali ich z samymi sobą. Takie wypadki już się zdarzały. Konsultacje zamieniano w burzliwe owacje.

LUGUSZ WŁODKOWSKI

Zaczynano już kilka razy. Komu przeszkadzał ruch laicki? Czy naprawdę jesteśmy tolerancyjni? Nie wszystko się udało, co sobie założono. To już minęło 80 lat.

Nie jesteśmy ateistyczną organizacją

Rozmowa z JÓZEFEM FRASZCZYŃSKIM — urzędującym wiceprezesa Zarządu Łódzkiego Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej.

— Obchodzimy w 1987 roku osiemdziesięciolecie ruchu laickiego w Polsce...

— Zorganizowanego ruchu laickiego. Myśl laicka ma przecież u nas tradycję dużo starszą. W roku 1907 powstała pierwsza organizacja — Stowarzyszenie Wolnomyślicieli Polskich, które odrodziło się w roku 1920 i działało do roku 1928. Władze II Rzeczypospolitej rozwiązały je pod zarzutem „komunizowania”. Ale likwidacji SWP towarzyszyło — niemal automatycznie — powstawanie ogniw nowej organizacji: Polskiego Związku Myśli Wolnej, wspomaganej aktywnie przez ZNP, Towarzystwo Oświaty Demokratycznej „Nowe Tory” i wiele innych organizacji.

— A po wojnie? W odrodzonej Polsce?

— Może to kogoś zdziwi, ale nie było sprzyjającej atmosfery dla ruchu laickiego. Zwłaszcza w latach stalinizmu. Tak naprawdę ruch laicki odrodził się w roku 1957 — znów okragła rocznica...

— Wrócmy jeszcze na chwilę do historii: co dziś wiemy o ruchu laickim w Łodzi przed pierwszą wojną światową i w okresie dwudziestolecia międzywojennego?

— Wiemy sporo. W archiwaliach, w dokumentach i wydawnictwach zachowały się ślady działalności wolnomyślicielskiej w naszym mieście, datujące się niemal od początku, tj. od założenia Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich. Rozwijali się ogniska SWP także w latach dwudziestych. Prezesem łódzkiej organizacji Stowarzyszenia a następnie Polskiego Związku Myśli Wolnej był znany działacz dr Zdzisław Mierzyński.

Badania nad historią ruchu laickiego w Łodzi i regionie łódzkim prowadzi prof. Barbara Wachowska z Uniwersytetu Łódzkiego. Gdyby chciał się pan czegoś więcej dowiedzieć na ten temat, polecam lekturę prac Pani Profesor.

— Przejdźmy do czasów nam bliższych. Zadam kłopotliwe pytanie: fuza (w roku 1969) dwóch, powstałych w roku 1957 organizacji laickich, to jest Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli oraz Towarzystwa

beo Kościoła rzymskokatolickiego. Fuza z Towarzystwem Szkoły Świeckiej miałyby neutralizować kłopotliwą organizację?

— Kształtowanie się nieco odmiennego modelu i metod działania obu organizacji związane było z ich sytuacją obywatelską i środowiskami, w których działały. TSS było organizacją masową, działającą głównie wśród nauczycieli i rodziców. Działalność TSS stanowiła jeden z istotnych czynników ustawowego usankcjonowania świeckiego charakteru szkoły w PRL.

SAIW miał oczywiście charakter bardziej elitarny, skupiał działaczy głównie ze środowisk intelektualnych, którzy mieli niezaprzeczalne zasługi dla wypracowania teorii ruchu laickiego w Polsce Ludowej. Inicjowali badania naukowe, gromadzili dokumentację pomocną dla lektorów i przyszłych badaczy, niezależnie od popularyzacji szeroko rozumianych zagadnień światopoglądowych, etycznych i religioznawczych.

Obydwie organizacje współpracowały ze sobą intensywnie, wspomagały się, zwłaszcza w dziedzinie szkolenia kadr i działalności wydawniczej, prowadząc m.in. wspólnie Centralny Ośrodek Doskonalenia Kadr Laickich.

Do istotnych przyczyn zjednoczenia obydwu organizacji zaliczylibym potrzebę wzmocnienia ruchu laickiego przez połączenie potencjałów organizacyjnych i naukowych oraz finansowych, a także fakt, że ustawa o świeckości szkoły z roku 1961 odbierała — przynajmniej formalnie — Towarzystwu Szkoły Świeckiej — prawo do istnienia.

Sądzę, że opinia o SAIW, która pan tu zaprezentował jest uproszczona i niesłuszna. Była upowszechniana przez adwersarzy tej organizacji i do dziś, niestety, pokutuje w niektórych kręgach. Jest krzywdząca, bo to właśnie SAIW podjął dialog z katolikami, dostrzegając potrzebę tolerancji światopoglądowej dla wspólnego dobra. Jest to dziś istotny element programu TKKS. Dla ilustracji zacytuję fragment uchwały II Krajowego Zjazdu

dziedzinom życia społecznego konieczność weryfikacji dotychczasowych dokonań oraz form i metod pracy.

— Potem był stan wojenny i zawieszenie działalności. Przed tym do dnia dzisiejszego. Jak pan może skrótnie określić stan posiadania Towarzystwa na dziś? Tu w Łodzi.

— W województwie łódzkim mamy około 14 tysięcy członków. Najwięcej, bo ponad 4 tys. spośród nauczycieli. Obliczamy, że aktywni, a więc członkowie plastujący różne funkcje, lektorskie, organizatorskie itp. stanowią grupę dwutysięczną. Dysponujemy tzw. „placówkami stałego oddziaływania” a więc klubami czy punktami odczytowymi. Jest tych placówek ponad dwadzieścia. Mamy także instytucje kulturalne z Łódzkim Ośrodkiem Kultury Świeckiej na czele.

Od dwóch lat staramy się, przy współpracy Łódzkiego Domu Kultury prowadzić nowoczesną działalność kulturalną i oświatową. Żeby nie mówić o szczegółach przypomnę tylko działalność młodzieżowego klubu „Dialog”, seminarium poświęcone roli filmu w nauczaniu religioznawstwa, bardzo atrakcyjne imprezy z cyklu, w którym prezentujemy różne wyznania i religie działające w Polsce. Właściwie to nie powielizane: nie prezentujemy, to przedstawiciele tych grup wyznaniowych sami prezentują swoje poglądy, obrzędy, swycczaje.

— A więc nie tradycyjne odczyty?

— Odczyty także: w ubiegłym roku zorganizowaliśmy przeszło 1900 odczytów, dysponujemy kadrą dobrych lektorów.

— Przeproszę, dżentelmeni podobno nie mówią o pieniędzach, ale...

— Wiem, o co panu chodzi. Jesteśmy dotowani, ale dotacje są niemal symboliczne. Prawda jest taka: musimy na siebie zarobić. Już niedługo zabierzemy się do normalnej działalności gospodarczej, życie nas do tego zmusza. A skoro o pieniądzach mowa, to powróćmy jeszcze do jednej z ważniejszych form działalności — łódzki Oddział TKKS od pewnego czasu specjalizuje się w działal-

ności dyskusji społecznej na temat powołania urzędu rzecznika praw obywatelskich brałmyśmy, jako organizacja, żywy udział i akcentowaliśmy potrzebę wprowadzenia do ustawy o urzędzie rzecznika praw obywatelskich wyraźne określenie uprawnień rzeczownika w dziedzinie ochrony wolności sumienia, jednej z fundamentalnych swobód obywatelskich.

Gwoli ścisłości chciałbym dodać, że nie jesteśmy organizacją ateistyczną. Nasza laickość nie oznacza w żadnym wypadku walki z kościołem i religią. Jedyną decyzją przedsięwziętą fanatyzmowi, nietolerancji, naruszaniu godności człowieka, patologii społecznej. Krzewimy kulturę współżycia ludzi o różnych orientacjach światopoglądowych, kulturę, której fundamentem jest wolność sumienia, szacunek, tolerancja i współzależność w rozwiązywaniu problemów społeczeństwa. Chcemy kształtować przekonanie, że ważne jest to, co łączy ludzi w pracy i życiu społecznym, a nie to, co dzieli w dziedzinie przekonań, światopoglądów i przynależności wyznaniowej.

— Nasza rozmowa, mimo że osiemdziesięciolecie dostarczyło do niej pretekstu, jakoś mało jubileuszowa. Proszę zatem kilka słów o obchodach rocznicy.

— Obchody osiemdziesięciolecia stanowią bardzo istotny, rzekłbym nawet, najważniejszy element rocznego planu pracy Zarządu Łódzkiego TKKS. Nie zamierzam tego planu w całości omawiać, o swoich działaniach i przedsięwzięciach staramy się systematycznie informować społeczeństwo. Wspomniemy tylko, że powołaliśmy honorowy komitet obchodów, na czele którego stanął sekretarz KŁ PZPR Grzegorz Milewicz. Niedawno odbyła się jubileuszowa impreza, sesja popularyzatorska: „Świeckość w kulturze polskiej”.

Rozmawiali
ANDRZEJ
KAROLCZAK

Ze „Szlezyną” do wojska i tam już do emerytury. Obawa przed tym, aby nie być niepotrzebnym. Czy naprawdę jest takim, jakim widzą go ludzie?

Mieć satysfakcję

Rozmowa z PAWŁEM PIOTROWSKIM — rzecznikiem prezydenta Miasta Łodzi.

— Czy obywatel bez stażu dziennikarskiego w życiorysie może być rzecznikiem prasowym?

— A czemu nie? Poza tym rzecznik prasowy nie jest powoływany po to, by wyzywał się we własnej twórczości. Rzecznik jest katalizatorem ułatwiającym przepływ informacji między urzędem, który reprezentuje a środkami masowego przekazu. Ma ułatwić dziennikarzom dostęp do informacji, nie zaś samemu ostrzyć pioro. Tak na marginesie: mam co nieco doświadczeń „dziennikarskich”, bo długi czas pisałem rozmaite materiały dla prasy wojskowej, a i z racji obowiązków służbowych w wojsku często kontaktowałem się z dziennikarzami. Mam więc rozeznanie, „czym to się je”. — Proszę się przedstawić Czytelnikom „Odgłosów”.

— Paweł Piotrowski — rzecznik prasowy Prezydenta Miasta Łodzi. Na stanowisku od 2 maja 1982 roku za sprawą oferty ówczesnego prezydenta Józefa Niewiadomskiego. Lat 62, pułkownik Wojska Polskiego w stanie spoczynku, a przedtem zawodowy wojskowy od listopada 1944 roku do marca 1978 roku. 34 lata w armii. Pochodzenie robotnicze — łódzianin ze „Szlezyną”, starsi łódzianie pamiętają tę dzielnicę robotników. Ojciec — maszynista w fabryce jedwabniczej „Rozen i Wiślicki”.

— Życiorys ma pan słuszny, aż miło. W każdej ankiecie ładnie się prezentuje. Robotnicze dziecko, bez burzliwych nararów, trafiła do ludowego wojska, oficer zawodowy...

— (z uśmiechem). Owszem, dość typowy życiorys dla bardzo wielu ludzi mojego pokolenia. Czy to wysty? Przecież, ja moje życie w wielkim stopniu uformowała służba w wojsku. Ona wyrabia dyscyplinę, punktualność, obowiązkowość. To nie są przyrwy, których musiałbym się wstydić.

— Czy adarzał się panu ślawad, że tak właśnie potoczyły się pańskie losy?

— Zalować? To nie to słowo. Zresztą to próżne dywagacje. Chłopak z robotniczej rodziny, jedna klasa gimnazjum im. Narutowicza w Łodzi przed wybuchem wojny — to nie było wiano. A potem okupacja, praca w hucie szkła, ucieczka z Łodzi przed wywózką na roboty, praca na wsi, wieczny strach, poczucie niepowinności. To wszystko sprawiało, że gdy z praskiego brzegu patrzyłem na powstanie w Warszawie i kiedy Praga we wrześniu była wolna, myśl o wstąpieniu do wojska, ludowego polskiego wojska, była najnaturalniejsza dla mnie w świecie.

— Był pan na froncie?

— Nie dosłownie. Od razu trafiłem do Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych w Lublinie, stamtąd do II Frontowej Szkoły Oficerów Piechoty jako podporucznik na zastępce dowódcy kompanii. Miałem wtedy 20 lat, więc szybko to był awans. Zresztą i później szło to szybko. Od początku służyłem w aparacie partyjno-politycznym wojska. W 1947 byłem już kapitanem w 1954 — szefem Propagandy Zarządu Politycznego Śląskiego Okręgu Wojskowego. A potem — już normalne, cygańskie życie zawodowego wojskowego. Lublin, Łódź, Wrocław, Warszawa, gdzie pracowałem w Głównym Zarządzie Politycznym LWP, znów Łódź, gdzie byłem przez 10 lat zastępcą komendanta WAM, znów Wrocław — w Wyższej Szkole Wojsk Zmechanizowanych. I wreszcie powrót do Łodzi w 1973 roku — na zastępce szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego i Garnizonu Łódzkiego. Stopień pułkownika od 1959 roku. W 1978 odchodzę w stan spoczynku.

— No proszę, kariera jak się patrzy. I co, nie miał pan po tylu latach ochoty na emeryturę, uprawianie działki, spacery z pieskiem?

— Właśnie tego się bardzo boję. Bez ruchu emeryta. Poczucia, że do niczego się już nie nadaje. W ogóle jestem ogromnie zdziwiony, że mam już 62 lata. Tak to szybko przemknęło, budzi to we mnie smutek, melancholiję, przemijania. Ale bardzo bronie się przed poczuciem starości. Chcę i jestem wciąż czynny, stąd przyjęcie propozycji „rzeczniowania”. Mogę się jeszcze przydać, być pożyteczny. Wyzywam się poza tym w działaniach społecznych. Moja żona, także już pani emerytka, chyba jeszcze bardziej niż ja aktywnie wśród mnóstwa obowiązków spędza swój „czas relaksu”.

— Czuje się pan szczęśliwy patrząc na swe życie?

— Tak. Raczej tak. Choć nie był to ten łatwy rodzaj szczęścia. Osiągałem wszystko w życiu wielkim wysiłkiem, nakładem pracy. Już w wojsku uzupełniałem wykształcenie. Poza zwykłymi, wymagalnymi zadaniami służby, uczyłem się po nocach. Skończyłem wydział pedagogiczny Wojskowej Akademii Politycznej. Była rodzina, rosły dwie córki. Chciał — szczęście — to jednak za duże słowo. Myślę, że szczęście to coś wyjątkowego, raczej mówilibym o satysfakcji.

— Ma pan taką?

— Ogólnie rzecz biorąc tak. Coś przecież w życiu osiągnąłem jak się to mówi, daleko za szedłem ze swojego „Szlezyną”. To nie znaczy, że nie znam gorczy, pocucia porażki czy wątpliwości.

— Na przykład?

— Choćby losy Polski po wojnie. Dla młodego chłopaka w zawodowym wojsku, w dodatku w aparacie politycznym, polskie krzyżys były trudnymi doświadczeniami. Kiedy wstępowałem do wojska niewiele przecieź wyznawałem się na subtelnościach polityki. Euforia młodości, bezgraniczne zaufanie do ideowych podstaw nowego państwa — to były dla mnie oczywistości. A potem wstrząs 1956 roku. Pamiętam jak trudno mi przyszło przetrwać w sobie to wszystko, czego nie wiedziałem dotychczas, a czego się teraz dowadywałem. Żał do tych, którym się udało, trochę i żał do siebie, że za brak własnej refleksji. Późniejsze krzyżys już analizowałem bogatszy o doświadczenie. Dla mo-

jego pokolenia te lata od zakończenia wojny niosły ze sobą nie zawsze tylko dobre doświadczenia. To był — i chyba póki życia nadal jest — ciągły proces uczenia się spraw państwa, praw społecznych, zdobywania zrozumienia, nie tracąc przy tym własnej tożsamości ideowej.

— Czy to doświadczenie przydaje się na stołcu rzecznika?

— Bez wątpienia. Szczególnie w początkach mojej pracy. To było pierwsze półrocze stanu wojennego. Chodziło o to, by wypracować najlepszy z możliwych kształt informacji i propagandy dla społeczeństwa, wówczas sprawy niesłychanie istotnej dla nastrojów, dla klimatu politycznego w mieście. Formuła łagodzenia psychozy stanu wojennego, prezentowania społeczeństwu, że jednak władze działają nie tylko w sferze ograniczeń i represji. Ze pracują na rzecz miasta i jego mieszkańców i że widzą efekty — ta strategia, myślę, powiodła się, była słusna. W sytuacji tak nabrających napięć, trzeba szukać płaszczyzn dla pracy codziennej a ko-niecznej. Wówczas to powstała idea bezpośredniego telefonu dla łódzian, stałego kontaktu z władzami miasta. Każdy mógł zadzwonić i rozmawiać bezpośrednio z prezydentem. To było ważne posunięcie z inicjatywą tow. Józefa Niewiadomskiego. Już wcześniej też zrodził się pomysł przygotowywania dla dziennikarzy „kalendarza” imprez, spotkań, konferencji itp., jakie będą miały miejsce w województwie w najbliższym tygodniu. Serwis przygotowywany regularnie porwał redakcjom na prowadzenie planu pracy.

— Czy administracja miasta musi mieć swego rzecznika? Z mocy prawa prasowego i tak ma obowiązek udzielania informacji dziennikarzom. Często też pojawia się zarzut dziennikarza, że rzecznicy prasowi różnych zakładów czy instytucji stali się najtrudniejszą do pokonania barierą w dostępie do informacji. Dana firma jest bezpieczna przed wścibstwem żurnalistów, bo ma swego cembera.

— To ostatnie zjawisko jest, w moim przekonaniu, niedozwolona uzurpacja i starym wykretem przed udzielaniem informacji publikatorom. Powtarzam — rzecznik prasowy danej instytucji na obowiązek ułatwić dziennikarzom dostęp do ludzi, informacji, ma organizować materiały interesujące dziennikarzy. Słowem ma być katalizatorem a nie monopolistą informacji. I jestem przekonany, iż rzecznik jest administracji potrzebny. Na marginesie: ja nie jestem rzecznikiem Urzędu Miasta Łodzi, lecz prezydentem. Stanowią jakby jego bezpośredni przekaznik w stronę środków masowego przekazu. Jest potrzebny w Urzędzie ktoś, kto koordynuje, załatwia kontakty z dziennikarzami, bo trudno wymagać, żeby każdy urzędnik odrzywał się od swojej roboty i leciał zażymować się dziennikarzem. Co wcale nie znaczy, iżbym utrudniał dostęp do przedstawicieli urzędu.

— Czy rzecznik robi w czasie wolnym?

— Pasjonuje się operą, trochę mniej teatrem, jankiem Komarom oraz plackiem cytrynowym własnej produkcji. Trochę kucharek, choć żonina ręka dopieszcza te moje wyroby. Byłbym nie musiał oprawiać mięsa czy ryb, chętnie eksperymentuję w kuchni. Szczególnie z pikantnymi potrawami kuchni węgierskiej, chińskiej. Nie tykam tylko nitcego co ma pierze czy sierść. Żadnego drobiu ani dzicyzny. Ale rosół z makaronem uwarzą. Oczywiście nie ja robię ten makaron.

— Ma pan pociechę z córkami?

— Pytanie, czy one mają ze mnie? Wiam, że skazałem dziewczynki na cygańskie żywoty, że ciągle przenosiny wyrwały je z grona kolegów, nie dawały poczucia zasiedzenia na jednym miejscu. No i moja praca powodowała, że w domu byłem nierz gościem. Córki rzadko mnie widziały. I tu mam uczucie, że nie dałem im z siebie tyle, ile chciałem. Ale myślę, że mimo to zachowałem z córkami dobry, serdeczny kontakt. Choć to dla dorosłej kobiety z dziećmi. Jedna jest lekarzem, druga skończyła rehabilitację na AWF, też pracuje w służbie zdrowia. Ważna jest dla mnie i ogromnie satysfakcjonująca rola kochanego dziecka dla trojga wnucząt.

— Największe nieporozumienie wokół pańskiej osoby?

— Myślę, że jest takie. Opinia bardzo wielu ludzi o mnie w moim odczuciu jest nieprawdziwa albo oparta na bardzo powierzchownej obserwacji. Dla moich bliskich, przyjaciół, w prywatnym kręgu jestem postrzegany jako ciepły, wrażliwy człowiek, lubiący się śmiać. Dla tych mało mnie, w moim przekonaniu, znających jestem sadywnym, zrozumiałym facetem z ponurą twarzą. To nie jest prawda. Choć myślę, że ta pozorna oschłość, bierze się stąd, że nie jestem typem wesółka. W jakimś też stopniu ukstałtował mój obraz w oczach ludzi fakt, że przeważnie byłem przełożonym, a o szefach, wiadomo, różnie się mówi. Cenie sobie konkret, rzeczowość, odpowiedzialność za swoje czyny. Może, gdyby nie taki właśnie życiorys, byłbym bardziej pogodny, nie tak napięty. Przeszkadza mi to, że jestem widziany, jakby w niezgodzie z moim własnym odczuciem. Nigdy nie wykrystalizowałem swego stanowiska dla „załatwiania” sobie różnych rzeczy. Nie jestem amatorem rozległego życia towarzyskiego. Wolę dom i krąg bliskich przyjaciół. Chciałbym z ludźmi zawsze żyć łagodnie. Chwilami czuję się bardzo samotny.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
JOLANTA WRONSKA

ze str. 1

jako jednostka administracyjna — mówi z pewną emfazą, w głosie Tadeusz Polaczuk, naczelnik miasta i gminy Kisielice — osiągnęła bardzo wiele, nawet — moim zdaniem — praktycznie wszystko. Trzykrotnie pod rząd była mistrzem gospodarności województwa el-bińskiego, w 1984 r. zajęła nawet 5 miejsce w kraju. Dalszy rozwój stopowały już jednak pewne bariery. Pracownicy wodociągów byli na etacie urzędu gminy, wskutek czego nie można było prowadzić prawidłowej gospodarki wodno-ściekowej, brak było środków na zbrojenie terenów pod przyszłe budownictwo.

— Infrastruktura społeczna i komunalna — dodaje Paweł Luczkowski, kierownik referatu budownictwa, gospodarki komunalnej i ochrony środowiska — wystarczała tylko dla wsi, stanęła w miejscu i nie

Duże zrozumienie potrzeb miasta znalazłono w Wojewódzkiej Radzie Narodowej i Urzędzie Wojewódzkim (miałe słowo o zwierchnikach nie szkodzi, a pomóc w przyszłości może bardzo wiele), tak jakby wcześniej nie były one zauważalne. Obecny podział administracyjny spowodował konieczność założenia nowej ewidencji gruntów, inne rozłożenie podatków, wybór nowych komitetów osiedlowych. Zwiększył się zakres obowiązków pracowników urzędu.

— Czy wpływ z tytułu podatków jest obecnie większy? — podpytuję uszczypliwie.

— Nie — kategorycznie odpowiada Tadeusz Polaczuk.

No więc: co się zmieniło? Czy znalazły się nagłe środki, których cały czas brakowało?

Prawie cała miejscowość została skanalizowana, dzięki samym mieszkańcom. Jeszcze tyl-

wano ulice, dokonano wreszcie remontów elewacji i dachów budynków.

Można było wreszcie porzucić sobie na zadbanie o ochronę środowiska, która stała się oczkiem w głowie naczelnika. Wybudowano miejskie wysypisko śmieci z prawdziwego zdarzenia, które spełnia wszystkie wymogi sanitarno-techniczne. Przedsiębiorstwo gospodarki komunalnej zakupiło też już duże kontenery, które będą ustawione w kilku punktach miasta. Śmieci zamiast na ulicę będą do nich trafiały. Przy pomocy ciągnika kontenery będą na bieżąco wymieniane. Podobne kontenery będą ustawiane we wsiach, dzięki czemu rolnik nie będzie zanieczyszczał odpadami przydrożnych rowów.

W mieście i gminie był dotychczas deficyt wody, a w dodatku zły jakości. W czynie społecznym zbudowano więc wodociąg (też z prawdziwego zdarzenia — znowu zaznaczył

Dawniej bywało tu niemrawo

mogła się rozwijać. Dla dalszego rozwoju potrzebna była zmiana statusu administracyjnego, dzięki czemu dostalibyśmy nowe środki i weszlibyśmy w inne zasady finansowania. Kisielice zaczęły też spełniać funkcje ponadgminne i stąd zaczęły wynikać pewne implikacje.

— Chodziło o stworzenie własnego miasteczka, które by zatrzymało migrację mieszkańców — mówi potem ze swej strony Gabriel Starbala, I sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR.

— No tak — stwierdza już z pewnym rozzerwieniem naczelnik — Staraniam o nadanie praw miejskich przyswieszcio właśnie przede wszystkim zatrzymanie migracji ludności. Nie bez znaczenia był także czynnik polityczny. Przed wojną przebiegała tu granica polsko-niemiecka, ale same Kisielice należały do Rzeszy. Wiele osób przyjeżdżających tu z Republiki Federalnej Niemiec mówiło: „przed wojną miasto, a po wojnie wieś”. Temu hasłu i jego pejoratywnemu znaczeniu należało zadać klam.

Starania zostały uwieńczone powodzeniem. Mieszkańcy oczekiwali, że z chwilą otrzymania praw miejskich automatycznie wszystko zmieni się na korzyść. Na spotkaniach kierownictwo miasta tłumaczyło jednak, że dopiero został zapoczątkowany proces...

CO I DLACZEGO SIĘ ZMIEŃILO?

Ten proces istotnie zaczął się dla przybysza odwiedzającego Kisielice po kilku latach wydalę się, że już przyniósł on dla miasta ogromne korzyści. Dziśaj bowiem nie sposób Kisielice poznać: to jakby nie one; albo nowo pobydowane lub odbudowane. Na ulicach czysto, ład i porządek, a także pełno ludzi, tak jakby nagie wyszli z podziemi.

— Jeszcze 2-3 lata — mówi Gabriel Starbala — ulice i chodniki były w fatalnym stanie. I wreszcie udało się znaleźć nam na drodze, która prowadzi do lepszego, bogatszego i przyjemniejszego życia. Nastąpiło niesamowite wprost zaktywizowanie społeczeństwa pracą na rzecz miasta oraz poruszenie życia kulturalnego i gospodarczego.

— To nam się udało — komentuje Tadeusz Polaczuk — dzięki pracy instancji partyjnej i kół ZSL. Obecnie dochodzi do tego, że musimy pewnie inicjatywy wyhamowywać, gdyż nie ma środków na ich wspomaganie.

W 1986 roku wartość wszystkich czynów w mieście i gminie wyniosła 89 mln 536 tys. zł, na jednego mieszkańca przypadało więc 13 tys. zł (gmina liczy 6200 mieszkańców, miasto 2400).

ko na jednym osiedlu trwają roboty. Rowy kopią mieszkańcy, a urząd finansuje tylko zakup głównego kolektora.

W ostatnich kilku latach oddało się tu rocznie 3 km wielkiej błotnistej drogi pod asfalt. Drugim obok drogownictwa obszarem aktywności społecznej jest budownictwo, którego rozwój stanowił niezbędny warunek zredukowania liczby wyjazdów. Udało się powołać oddział Spółdzielni Mieszkaniowej w Prabutach, gdyż nowej — z powodu zbyt dużych kosztów administracyjnych — nie opłacało się zawiązywać. Prace dokumentacyjne są głęboko zaawansowane. Rozpoczęcie się budowy pierwszych 60 mieszkań, których realizacji podjęła się Spółdzielnia Wielobranżowa w Suszu. Teren jest uzbudowany i w pełni przygotowany. Gotowy już jest następny plac pod budowę przy ul. Jagiellońskiej. Prace dokumentacyjne są w toku.

— Będzie to mały ewenement krajowy — mówi tym razem z dumą naczelnik — że od wpłaty członek spółdzielni otrzyma mieszkanie w ciągu 2-3 lat.

Dużą wagę przywiązuje się do budownictwa jednorodzinnego. W 1986 roku zostało oddanych już 31 domków. W pełni są przygotowane już uzbudowane działki (w 1986 roku na cele budownictwa jednorodzinnego wydano 51 mln zł). W opracowaniu znajduje się koncepcja starego miasta, w którym będzie około 80 działek. Będzie tu przywrócona historyczna funkcja architektoniczno-urbanistyczna. Tereny pod budownictwo jednorodzinne zostały zabezpieczone do 1995 r. Z materiałami budowlanymi nie jest źle w Kisielicach, dlatego też optymistyczne założenia zostaną z pewnością zrealizowane. Urząd nosi się z zamiarem druku ogłoszeń w prasie centralnej w celu ściągnięcia tutaj specjalistów z różnych dziedzin gospodarki i kultury narodowej (ceny działek — podpowiadają referenci urzędu — są bardzo umiarkowane).

— Dzięki rozwojowi budownictwa — mówi naczelnik — proces migracji został nie tylko zatrzymany, ale nawet odwrócony. Napływa tu ludność z innych miejscowości z chęcią nabycia działki lub wpłaty do spółdzielni mieszkaniowej. Dotychczas bowiem wpłacali do spółdzielni w Toruniu, Rawie, Kwidzynie i odjeżdżali, gdyż nie widzieli tutaj żadnych perspektyw życiowych. Nie zapominamy także o tych, których nie stać na budowę domku ani na wpłatę do spółdzielni mieszkaniowej. W zeszłym roku uruchomiliśmy dlatego budownictwo komunalne. Remontujemy także stare mieszkania.

W poprzednim statusie administracyjnym nie było miejsca w budżecie na remont chodników, gdyż środki zabierały inne dziedziny. Obecnie one się znalazły. W 1986 roku położono nowe chodniki, wyasfalto-

Opieka zdrowotna wywołuje największe niezadowolenia. Nie rozwiązaną pozostają jednak także inne problemy: gazownictwa, ciepłownictwa i telefonizacji. Budowa centralnej kotłowni przewidziana jest do realizacji po 1991 roku. Dlaczego tak późno? Dotychczas gmina i miasto nie miały pełnej ewidencji gruntów. Trzeba najpierw dokonać więc pełnej inwentaryzacji podziemnej sieci. Są to kosztowne i czasochłonne badania.

Kisielice miały gaz do końca lat sześćdziesiątych. Wtedy ktoś podjął decyzję o likwidacji miejscowej gazowni. Owszem, gaz ziemny biegnie około 6-7 km w linii prostej od Kisielic, ale obecne starania Rady Narodowej o przyłączenie nie odniosły dotychczas skutku.

— W programie rozwoju miasta i gminy — mówi naczelnik — pamiętaliśmy o każdej dziedzinie. Już mamy efekty, których z pewnością nie mieliśmy być uzyskania praw miejskich. Trzeba kilka lat jeszcze poczekać na pełną realizację wszystkich zamierzeń.

— Było poprzednio niemrawo — stwierdza Gabriel Starbala — ale obecnie w mieście objętości i bezradności wkroczył zapal. Każde zebranie organizacji partyjnej poświęcone jest konkretnym sprawom i nie ma czasu na gadaninę.

Niewatpliwie jest dla obserwatorów, że uzyskanie praw miejskich pozwoliło Kisielicom wyjść z opłotków i zaściankowości, a to chyba najważniejsza. Po prostu panuje tu inny duch.

Przykład Kisielic dowodzi też, że reformy i zmiany administracyjne coś dają oraz przynoszą sukces, gdy ich inicjatywa wychodzi od samych mieszkańców lub co najmniej znajduje solidne w nich oparcie. Inaczej spotykają się z gwałtownym sprzeciwem i protestem lub skrywanym oburzeniem.

WACŁAW
OPACKI

Pani Elżbieta Sajenczuk wydała a-
zjatycki obiad z okazji przyjazdu
do Łodzi Kapuścińskiego. Był je-
szcze Marek Miller, byłem ja i by-
ło dobrze, ale kiedy wróciliśmy do
domu, zatelefonował szef, że w
Warszawie wydarzyła się katastrofa. Potem
przyjechał fotoreporter i ruszyliśmy na miejsce
wypadku. Wziąłem Ryszarda Kapuścińskiego.
Zajął fotel obok kierowcy i sprawnie przepro-
wadził nas przez Warszawę, a po drodze mó-
wił, że we współczesnym lotnictwie katastrofy
są tylko możliwe przystanki i lądowaniu.

Samolot zabezpieczony jest przez cztery sys-
temy i trzeba przekroczyć cztery bariery kryty-
czne, aby doprowadzić do wypadku. No, może
być jeszcze zderzenie dwóch samolotów, bądź
też burza, pioruny i ptaństwo. Tak czy owak,
w przeliczeniu na pasażerogodzinę, lotnictwo
jest najbezpieczniejszym środkiem komunika-
cji, a katastrofy — powróty Ryszarda Kapu-
ścińskiego — następują wyłącznie przy starcie i
lądowaniu, jako wynik błędów popełnionych
przez człowieka, albo wtedy, gdy samolot jest
przechodzony.

Na ten IL-62, który rozbił się poprzednio nad
Warszawą z Anną Jantar i ekipą kapitana Pa-
wła Lipowczana, lotnicy mówili „trumna”. Podo-
bno przekupywano ich, aby chcieli na „trumnę”
latać. Ale ten IL-62M, którym dowodził Zygmunt
Pawlaczyk, był samolotem młodym dwuletnim,
sam kapitan zaś wylatał w powietrzu dwadzie-
ścia tysięcy godzin i był doświadczonym pilo-
tem.

2.

Samolot wystartował 9 maja 1987 r., o go-
dzinie 10.18. Dwie osoby uratowały się cudem
— jedna spóźniła się po prostu, a druga szmu-
gowała bez zezwolenia dwa cenne futra i celniczka
spisała jej karny protokół. Szmuglerka
składała ręce, płakała i błagała celniczkę,
aby pozwoliła jej polecieć. W godzinę później
wiedzieliśmy, że zaważnęła celniczkę życie.

Zupełnie przypadkowo znalazłem w Lasach
Kabackich dziewczynę, która widziała moment
katastrofy. Samolot wracał z okolic Grudziądza.
Kapitan mógł lądować na tamtejszym lotnisku,
ale nie chciał, sądził, że będzie lepiej zrobić to
na Okęcie. IL-62M bierze do zbiorników do 70
ton paliwa, część udało się spuścić, ale 22 to-
ny pozostały. Pasażerowie mieli świadomość, że
jest źle. Samolot leciał nisko, był rozklimaty-
zowany, płonęły dwa silniki.

Wspomniana dziewczyna, Bożena Ziółek,
której Grzegorz Gałasinski zrobił zdjęcie, oglą-
dała dramat od strony Puławskiej. Powiedziała:
— Samolot kopcił, to wiedziałam, że coś się
dzieje. Potem, jak zaczął rozrywać się o drze-
wa, mdałam. Nastąpiła straszliwa eksplozja,
w niebo buchnął słup ognia i czarnego dymu.
Sama nie wiem, czemu poszłam na miejsce
wypadku. To było przerażające, nie zapomnę
tego do końca życia. Samolot wyrwał w lesie
kilkaset metrowy krater gubiąc po drodze ba-
gaze i zwłoki. Ale nigdzie nie widziałam kom-
pletnych zwłok — tu ręka, tam noga, gdzieś
indecy znowu kawałek szczęki z samymi tylko
ustami.

Na miejscu wypadku był także mieszkaniec
domu przy ulicy Kajakowej 11. Mówi, że nie-
zwłocznie nadjechały wozy straży pożarnej,
aby dogasić płonący las i płonące szczątki sa-
molotu. Pojawiła się milicja, wojsko, prokura-
tura, służby komunalne i przedstawiciele Pol-
skich Linii Lotniczych. Teren został obstawio-
ny. Od razu przystąpiono do składania zwłok.
Umieszczano na przykład na folii tułów, a póź-
niej próbowano dopasować do niego ręce i no-
gi. Jeden funkcjonariusz niósł zwęgloną głowę,
inny kawałek stopy. Strzasano ludzkie szczątki
z drzew, tak jak strząsa się owoce, a czasem
ściągano je przy pomocy gąsienic. Gdy udało
się mniej więcej złożyć ofiarę, zawiązywano ją
w folię, opatrywano numerem i odfotowano do
Zakładu Medycyny Sądowej. Na pewno wiele
nóg i głów jest podmienionych.

Wiść o wypadku rozniósł się błyskawicznie
po okolicy. Na miejsce katastrofy zaczęły cią-
gnąć pielgrzymki z Wilanowa, Powsina, Da-
brówki i ulicy Puławskiej. Pojawiły się hieny
i szakale przetrząsające miarowo las. Hieny i
szakale polowały na dolary, grabiły rozprute
walizki.

Zarejestrowała to amerykańska sieć telewi-
zyjna, która pierwsza, jeśli chodzi o środki
masowego przekazu, przyjechała do Kabackich
Lasów. Podejrzewa się, że zadzwonił do tele-
wizji amerykańskiej ktoś z Okęcia.

3.

Samolot spadł o godzinie 11.12 po pięćdzie-
sięciu czterech minutach lotu. Rodziny ofiar
były w drodze do swoich domów na terenie
całej Polski z przewagą województw: suwa-
lskiego, rzeszowskiego, białostockiego, nowo-
sądeckiego, łomżyńskiego, krosieńskiego i
tarnowskiego. Kiedy do rodzin ofiar dotarła prze-
różająca wiadomość, a działo się to zazwyczaj
poprzez radio w samochodzie, rzadziej w auto-
busach i pociągach, wracały zszokowane na
Okęcie.

Był straszny szloch, ludzie odchodzili od
zmysłów, lekarze badali chorych, pielęgniarki
rozdawały środki uspokajające i robiły za-
strzyki. W samolocie zginęło bardzo dużo ludzi
młodych, w tym czworo dzieci, najmłodsze li-
czyło dwa lata. Była to największa i najpotwor-
niejsza katastrofa w dziejach polskiego lotnic-
twa cywilnego. Poprzednia trwała krótko i
nastąpiła niespodziewanie, tu, od Grudziądza
do Warszawy, sekundy zamieniły się w wieki.
Zginęły 183 osoby. Miały okrutną świadomość,
że giną, czego dowodem jest zapis w notesie
pasażerki Haliny Domerackiej z Warszawy.

Rodziny ofiar spędziły na lotnisku całą noc.
Niektórzy jechali na miejsce wypadku w na-
dziei, iż odnajdą swoich bliskich, albo jakieś po-
nich ślady i pamiątki. Całą noc trwała praca
wojska, milicji, służb komunalnych i przedsta-
wicieli LOTU. Wciąż szukano szczątków zwłok,
szukano tuż magnetofonowych, będących re-
jestrem rozmów pilota z wieżą kontrolną, szu-
kano także czarnej skrzynki. Ekipy lotnicze
ciąży palnikami acetylenowymi kabine, w któ-
rej pozostawała uwięziona załoga. Ciepło rów-
nież w niektórych miejscach kabine ręcznymi
pilami i czyniono to z największą ostrożno-
ścią. Chodziło po prostu o fakt, iż ciała załogi
wbite są w przyrządy i zegary, których tros-

kliwa kontrola pomoże być może wyjaśnić
przyczynę tragedii.

Bożena Ziółek poszła w wykarcozowany
przez samolot krater Lasów Kabackich jeszcze
raz, o godzinie siódmej wieczorem. Spotkała
tam dwie kobiety i mężczyznę. Jedną z ko-
biet była półprzytomna, leżała z nóg, paliła
papierosa za papierosem i szukała w pogo-
rzelsku szczątków swojego męża. Żołnierze nie
przeszkadzali jej.

4.

Niedaleko, pięćset metrów od Międzynarodo-
wego Portu Lotniczego Okęcie, jest osiedle, w
którym mieszka dużo stewardes, pilotów i in-
nych pracowników LOTU. Spędziłem w owym
osiedlu kilka dni u mojego przyjaciela, wyso-
kiego funkcjonariusza LOTU. W sumie przez
tych kilka dni nie widywałem go praktycznie
— wracał z miejsca katastrofy o trzeciej,
czwartej nad ranem brudny i potwornie zmę-
czony, wypijał szklanek herbaty i wracał do
swoich zajęć.

Widziałem dom pod numerem 3 i nume-
rem 5, gdzie mieszkali członkowie załogi roz-
traskanego samolotu. Kiedy wydarzyła się
owa potworna tragedia, cała dzielnica płaka-

ła, płakali nawet ci ludzie, którzy nie są zwią-
zani z lotnictwem.

W pomieszczeniach LOT urywają się telefo-
ny. Wiele tych połączeń, to czyste chamstwo,
ordynarne kłatwy i zniewagi pod adresem Pol-
skich Linii Lotniczych i radzieckich samolo-
tów, wymysły niesprawiedliwe i niczym nie
uzasadnione.

Pilot, Zygmunt Pawlaczyk, do ostatniej chwi-
li zachował się bohatersko. Wracał na Okęcie
i była to w jego świętym przekonaniu decyzja
słuszna. Okęcie dysponuje odpowiednimi pasa-
mi startowymi, które można w krytycznym
momencie wylać pianą gaśniczą. Okęcie gwa-
rantuje natychmiastową interwencję Straży
Ogniovej oraz pomoc lekarską. Niewiele już
brakowało Zygmuntovi Pawlaczycowi, aby
nadlecieć na pas startowy i próbować na nim
wylądować. Brakowało podobno jednej minuty
lotu.

Kapitan Zygmunt Pawlaczyk do końca nie
wypuszczał steru, do końca kalkulował i my-
ślał. Mógł znieść z powierzchni ziemi kilka-
dziesiąt domów, mógł próbować wylądować na
jezdni, pośród samochodów, mógł uderzyć w
kościół, nad którym przebiegał korytarz lotu.
Poszedł nad lasem, aby oszczędzić miasto i
nie pomnażać liczby ofiar. Jego ostatnie, skie-
rowane do wieży kontrolnej słowa brzmiały:

Rozpacz w Warszawie

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Foto: Grzegorz Gałasinski

— Ja już z tego nie wyjdę. Dziękuję. Do
widzenia.

5.

W niedzielę 10 maja przy Puławskiej nie-
daleko miejsca katastrofy odbyła się w koście-
le parafialnym pod wezwaniem świętych a-
postołów Piotra i Pawła msza żałobna za du-
sze ofiar. Ksiądz odczytał kondolencyjny list
papieża. Działo się to znowu w obecności ka-
mer amerykańskiej ekipy telewizyjnej. Było
bardzo dużo wiernych — większość w czar-
nych strojach.

Warszawa w tych dniach naprawdę była
miastem pograżonym w głębokim żalu i roz-
pacz. Ale lotnisko funkcjonowało bez za-
kłóceń. Parkingi zastawione były samochodami
do ostatniego miejsca, odprawa samolotów
do wielu rejonów świata przebiegała normal-
nie, taras, z którego krewni żegnają odlatają-
cych i witają przylatujących, wypełniony był
liczniejszym niż zwykle tłumem. Około 15.30
miał wystartować lotowski samolot do Chica-
go, a inny lotowski samolot miał z Chicago
nadlecieć.

Była piękna pogoda. Nad Warszawą stało
wspaniałe słoneczne niebo. Trzępotały chora-
gwie. Pasażerowie nie objawiali żadnych
znaków zdenerwowania, okupowali restauracje,
kawiarnie i kioski, kłębili się w hallu. W po-
niedziałek wieczorem usłyszałem na lotnisku
pierwszą nieśmiałą anegdotę. Góral wybierał
się do Ameryki w kierpcach. Szedł jakoś tak
dziwnie, miętko. Celniczy poprosił go na kon-
trolę osobistą. Zapytał, czy nie ma dolarów.
Zaprzeczył. Kazali mu zdjąć obuwie i odpruili
podeszwę z kierpca lewego. Znaleźli tysiąc
awioskie zielonych. Odpruili podeszwę prawą i
ku swojemu osłupieniu znaleźli pod nią naj-
legalniejsze zezwolenie Narodowego Banku
Polskiego na wywóz całej wspomnianej kwoty
za ocean.

Góral wyznał celnikowi, iż na ów niezwy-
kły pomysł wpadła jego żona. Mąż wydawał
jej się osobnikiem wysoce rozróżnionym i ga-
powatym. Podejrzewała, że albo zgubił pienia-
dze albo mu je ukradną. Powiedziała, że nie
wolno przyznać się nikomu pod żadnym pozom-
em, że je ma i sięgnąć po nie dopiero u ro-
dziny w Stanach, do których oczywiście odle-
ciał.

Anegdotcie nie towarzyszył śmiech. Lotnisko
nie było przybrane kirem, ale na twarzach pi-
lotów, stewardes, wopistów sprawdzających
paszporty, celników i urzędników z rozma-
itych biur podróży była troska i powaga. Nie
mówię tego jedynie na podstawie własnych ob-
serwacji. Jest to opinia mojej znajomej, dłu-
goletniej pracowniczki LOT.

— Tu każdy zna każdego — powiedziała. —
Zazwyczaj witamy się przyjaźnie i pozdrawia-
my wesoło, jak przyjaciele. Nie ma znaczenia,
czy ktoś jest z Panamu czy z Air France. Sta-
nowimy jedną lotniczą rodzinę polączoną sil-
nymi więziami. Ale od chwili, kiedy zdarzyła
się ta okropna katastrofa, ledwo jedno drugie-
mu skinie głową. Coś w nas pękło i rany nie
szybko się zablizną.

6.

Polskie Linie Lotnicze będą potrzebowały
trochę czasu, aby odzyskać zaufanie podróż-
nych. Mam na myśli szczególnie obcokrajow-
ców: z tego, co wiem, wielu z nich zrezygno-
wało po katastrofie z lotów na polskich po-
kładach. Bzdurą jest jednak opinia, że IL-62M
jest złym samolotem i nie nadaje się do rejsów
transoceanicznych. Aby określić typ samolo-
tu otrzymał prawo lądowania na takim choć-
by, niesłychanie ruchliwym lotnisku Kenne-
dy'ego w Nowym Jorku, musi przejść wszelkie
możliwe próby i otrzymać zgodę międzynarodo-
wej organizacji testującej.

IL-62M przeszedł te próby i spełnił wszel-
kie wymogi, aby lądować na każdym, najbar-
dziej nawet zatłoczonym lotnisku.

Na pasach lotniska Kennedy'ego co trzy mi-
nuty lądował jakiś samolot i pilot, kiedy otrzy-
ma pozwolenie lądowania, dysponuje wyłącz-
nie trzema minutami, aby tego dokonać. Ame-
rykanie nigdy by się nie zgodzili, aby przy
tak wielkim ruchu wpuszczać nad lotnisko sa-
molot o niepewnych parametrach i pozwolić
mu na lądowanie, gdyż mogłoby to spowodować
nieobliczalny w skutkach karambol.

Żaden polski samolot nie rozbił się dotych-
czas na lotnisku Kennedy'ego, jeśli dobrze pa-
miętam, żaden polski samolot nie rozbił się
nigdy na jakimkolwiek innym amerykańskim
lotnisku.

Na loty czarterowe rejsowe do USA de-
sygnujemy najlepsze załogi pod dowództwem
najbardziej doświadczonych pilotów.

Pracownicy Polskich Linii Lotniczych twier-
dzą, że relacja Okęcie — Nowy Jork jest pe-
chowa, ale tragedie rozgrywały się tylko nad
Warszawą.

Amerycanie też przeżywali tragiczne ka-
tastrofy samolotowe, mieli kłopoty ze swoim
sławnym DC-10 Douglas. W samolotach tego
typu otwierały się parokrotnie podczas lotu
luki bagażowe, co było przyczyną wstrząsają-
cych wypadków.

Lotnictwo cywilne USA wyciągnęło z tego
wnioski, testując wszystkie po kolei egzem-
plarze DC-10 i przywracając je stopniowo do
eksploatacji. W tym samym kierunku zdążają
teraz wysiłki polskich komisji do badania
przyczyn tragedii w Lasach Kabackich. Zna-
lezione czarna skrzynka, ekipy techniczne do-
tarczy do kabiny pilota.

Ktoś zapyta: co z tego?

Nie chodzi wyłącznie o to, aby zaspokoić
ciekawość publiczną i odpowiedzieć rodzinom
ofiar w jakich okolicznościach nastąpił dra-
mat. Chodzi również o to, aby ustalić przyczy-
nę katastrofy, a wnioski, które się narodzią,
spożytkować w przygotowaniu maszyn do ko-
lejnych startów. Tak, aby zredukować możli-
wość awarii do minimum. Tak, abyśmy nie
musieli płakać, aczkolwiek wcześniej czy póź-
niej znowu będzie jakaś katastrofa, albowiem
człowiek jest tylko człowiekiem, a jego twór:
maszyna jest tylko maszyną.



NARESZCIE COŚ DLA PANÓW! W najbliższym czasie w Juventusie rozpocznie się sprzedaż pierwszej tego rodzaju, autorskiej kolekcji letniej odzieży męskiej. Będą to płaszcz, wdzianka, kurteczki oraz koszule i spodnie (dwie ostatnie pozycje typu unisex) wykonane z bawełnianego płótna w kolorach czarnym, białym, szarym, a dla młodszych i odważniejszych panów — także w czerwonym i złotym. Projektantka kolekcji — sprzedawanej wyłącznie w Juventusie — jest Anna Batory, a uszyły ją uczennice Zespołu Szkół Odzieżowych nr 1 w Łodzi. Zainteresowani panowie przed odwiedzeniem placówki będą mogli obejrzeć modele w jednym z najbliższych programów Łódzkich Wiadomości Dnia.

Również w Juventusie — atrakcje dla pań, uszyte z bawełnianej flaneli. Już są — wdzianka i sukienki z przedłużonym stanem w kolorach szarym, beżowym i czerwonym (te ostatnie — w cenie 3300 zł — kupić bardzo trudno, bowiem ustawiają się po nie długie kolejki), wkrótce rozpocznie się sprzedaż tzw. czarnej kolekcji, obejmującej 7 modeli sukienek, spodni, kostiumów i płaszczy. Dokładniej — będą to stroje z flaneli w kolorze czarnym łączonym z koniakowym, które to połączenie stanowi najnowszy krzyk mody. Stroje dla pań również zaprojektowała Anna Batory. Sprzedaż kolekcji damskiej i męskiej na I piętrze „konfekcyjnej” części Juventusa, w specjalnie wydzielonym stoisku. Ceny całkiem umiarkowane.

DO ROZMAITYCH BRAKÓW RYNKOWYCH zdążyliśmy już właściwie przywyknąć i trudności z nabyciem mebli czy płaszcza znosimy raczej spokojnie. Irytuje natomiast występujące okresowe braki towarów podstawowych. Z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w ostatnim czasie — w sklepach spożywczych brakuje złotych serów (nawet w dużych placówkach są za ledwie 1-2 gatunki a nawet zdarzają się przerwy w sprzedaży) oraz lepszych gatunków margaryny w kubeczkach. Niestety, w najbliższym czasie nie będzie lepiej. Na złote sery obowiązują centralny, ściśle rozdzielnik na województwa i jednostki gospodarcze. Przydział dla całego województwa łódzkiego na maj wynosi 250 ton — co stanowi nie więcej niż 70 proc. pokrycia potrzeb. Być może nieco lepiej będzie w czerwcu kiedy produkcję krajową uzupełni import z ZSRR — ale nie jest to jeszcze pewne.

Zaopatrzenie w masła roślinne ma się podobno poprawić dopiero w II półroczu, kiedy w warszawskiej wytwórni, zaopatrującej nasze województwo ruszy nowa linia. Znający rynek handlowy uważają jednak, że poprawa będzie niewielka. Popyt na masła roślinne w ostatnim czasie znacznie wzrósł i przy takich różnicach cen między masłem roślinnym a mleczarskim niewielki, przewidywany wzrost produkcji nie zrównoważy popytu.

Z PRETENSJAMI WYSTĄPIŁI CZYTELNICY, że wciąż nie ma cytryn, których dostawę zapowiadałam niedawno w tej rubryce. Rzeczywiście — termin trochę „obsunął się”. Przypadki takie, że jakiś towar szybko pokonał drogę z dalekich krajów do polskich portów niż z Gdańska lub Szczecina do Łodzi nie należą do rzadkości. Zapewniam jednak, że jeszcze w maju cytryny pokazały się w sklepach i kupować je będziemy bez większych trudności, tym bardziej, że wzrosły ceny, co wpłynie na obniżenie popytu. Za kilogram cytryn albańskich płacić będziemy 300 zł, hiszpańskich i argentyńskich 600 zł.

PRZEZORNICI JUŻ TERAZ POMYŚLA O ZIMIE — i zamówia kożuch lub futerko (o ile oczywiście planują tak duży wydatek na rok bieżący). Spółdzielnia Pracy Kuśnierzy, prowadząca na terenie Łodzi trzy zakłady kuśnierskie i pięć kożuszkarskich realizuje usługi z wszelkiego rodzaju skór powierzchniowych, a także z własnych. Obecnie zamówić można futro z nutril — cena usługi 14 150 zł, w najbliższym czasie powinny być również skóry kożuchowe. Uszyte damskiego kożucha bez obłożenia kosztuje 9 250 zł (łącznie koszt ponad 100 tys. zł). Usługi obecnie realizowane są w terminie nie przekraczającym dwóch miesięcy — jesienią, gdy będzie więcej klientów, może się on znacznie wydłużyć.

KIERMASZE KSIĄŻKI ZACZYTAŃEJ organizuje w tych dniach wiele bibliotek publicznych. Doświadczenie za parę złotych wybrać można wśród nich wiele atrakcyjnych pozycji, z uwagi na stopień zużycia wycofanych z bibliotecznych księgozbiorów, ale nadających się jeszcze do biblioteczek domowych. Wybierać mogą wszyscy — nie tylko osoby posiadające kartę biblioteczną. Radzimy więc zajrzeć do znajdującej się najbliższej domu biblioteki.

NARZEKAJĄ KLIENCI sklepu spożywczego przy rogu ulicy Wschodniej i Narutowicza na zbyt późne dostawy pieczywa, mleka i produktów nabiałowych. W godzinach rannych, gdy wiele osób chce przed wyjściem do pracy kupić coś na śniadanie — w sklepie jest jedynie wczorajsze pieczywo. Białe ser, twarogi w pudełkach i świeże bułeczki pojawiają się dopiero około godz. 10. Sklep mieści się w gęsto załudnionym rejonie miasta a więc zbyt późne dostawy utrudniają poranne zakupy wielu ludziom.

Zakładam gumowce i rekawice. W nocy było kilka godzin spokoju, kleiliśmy kartki. Podjeżdżali tylko taksówkarze, ale tankowali sami. Licznik dystrybutora widać przez okno. Wycinając z kart benzynowych musimy przyklejać na kontrolne arkusze, to dowód, że nie jesteśmy złodziejami. W zeszłym tygodniu cztery razy wpadali kontrolerzy, od poniedziałku już dwa. Mały grubasek z IRCh-y pół dnia weszły przy pompach, odgrażał się, że jeszcze nas załatwi. W ten sposób całemu światu pokazał, kim jest.

— Wszyscy wiedzą, kto kradnie — orzekł po bezowocnym śledztwie jednoznacznie adresując oskarżenie.

— To od razu dwoje panów prokuratora — nie wytrzymał Bogdan.

Wciąż słyszeliśmy ufajdani biurowym klejem i lepim dowody rzeczowe. Potem w dyrekcji okręgowej będąc przezświetlał ultrafioletową lampą, żeby ustalić, czy nie są fałszywe, bo prawdziwe są nacechowane specjalnym niewidocznym drukiem. Kierownik uważa, że na dyżur powinno się przychodzić ze szcoteczką do zębów, sznurowadła i pas należy zdjąć zawczasu. Wczoraj służbową torbę wyrzuciłem w metalowy słupek przy pompie. Pękł słózek po dźwie, do którego wkładamy wycinki paliwowych bonów. Cała zawartość upadła w błoto. Zbierałem na kolanach. W tym zawodzie kartki są ważniejsze niż człowiek.

Zamiast szkolenia BHP, instruktor ostrzega: — Lepiej ubierać się skromnie, niż jak uszy-

kują się do huty. Pompiarz Mirek wykrakał, że będzie dzień zmartwychwstania wraków. Rutyniarz Staruska warszawa nigdy o własnych siłach nie wyruszy na trasę, ale długo jeszcze nie obędzie ostatniej drogi. Będzie istnieć, choćby na papierze, póki stanowi pretekst do odbierania rocznego przydziału benzyny.

— Panie kustosz — Mirek pyta właściciela staruski — w co lejemy, bo tej nieboszczce wystarczy kropidło?

— Co też pan — oburza się mocno spocyny właściciel. — Mam ważny przegląd techniczny. To stara, dobra konstrukcja — pieszczotliwie poklepuje skorupę auta.

— Stare jest dobre tylko wino albo skrzypce — zauważył pompiarz.

Mownie ubranej kobiecie z lady wycinam ostatni kupon. Ostatnich dwanaście litrów. Pani wciąga białą rekawiczkę i otwiera wlew paliwa. Uruchamiam pompę i szukam reszty z dwóch tysięcy. Modna uśmiecha się zalotnie, nie chce reszty, woli parę litrów więcej. Z gestów widać, że tę rolę ma opanowaną do perfekcji. Na tylnym siedzeniu lady dzieciak bawi się kalkulatorem. Odmawiam. Pani jest poirytowana, pertraktuje z młodym taksówkarzem. Cena staje się wynegocjowana na sto pięćdziesiąt złotych za litr żółtej.

Kierownik radzi, by najpierw brać pieniądze, później wycinać kartki. Emerytowi z malucha pieniędzy starcza tylko na szesnaście litrów. Przetrasza kieszenie marynarki — nic.

Wszyscy podejrzewają, że na stacji robi się „złote interesy”. Każdy chce mieć więcej benzyny niż mu się należy. Pod koniec kwartału miasto śpi na benzynie. Na stację przychodzą też pijani.

Być pompiarzem

ROMAN KUBIAK

acy i narzekać jak wszyscy. Nawet jeśli trafi się spadek po ciocie albo szczęśliwy los na loterii. Pompiarzem patrzeć nie tylko na ręce...

Padają nazwiska tych, którzy czynili inaczej. Stacyjniak M. za pierwszą legalną pensję kupił parę szalowych ciuchów. S. nieopatrznie wyprawił służbową kolację. Obaj, akurat Bogu ducha winni, musieli się później długo tłumaczyć, skąd mieli, ile i za co. „Zycziwie” przeleci o gangsterskich łupach pompiarzy płyną szybciej niż lewa benzyna.

Wyjściowe ciuchy chowam w metalowej szafce pod kluczem. Nie pomaga. Ubranie wchłania mdły zapach benzyny prawie tak szybko, jak włosy i skóra. Na okresowych badaniach stajemy przed neurologiem. Moc, morfologia, ogólne przesłuchanie. Lekarz stuka młotkiem w kolano, pyta czy miewam zawroty głowy. Opary benzyny działają niczym narkotyki. Po całonocnym dyżurze w oczach wirują kolorowe placki, chce się rzygać. W pierwszym tygodniu pracy na stacji dostawałem regularnych torsji. Nawet herbata ma smak benzyny. Do domu zwykle wracam okazją. Przygodny kierowca radzi, żeby spać na balkonie. Cuchnie tak dokładnie, że unikam jazdy tramwajem. Sam niewiele czuję. Po godzinie pracy na stacji tracę wdech.

Wieczorem przyjmuję wizytę sąsiada. Pewnie ktoś znajomy widział mnie przy robocie, bo od razu zyskuje na popularność. Pan Krzysio przynosi koniak i propozycję. On ma wieczmie głodnego Poloneza i dobry interes w terenie, a ja mam dojeżdżać do paliwa i na pewno potrzebuję gotówki. Znacząco uśmiecha się zerkając na nieumeblowany wynajęty pokój. Pan Krzysio ma także zaufanych kumpiów z branży, którzy w razie czego potrafią milczeć. Nazwiska i adresy przekupnych pompiarzy podaje się równie swobodnie jak sprzedaje dolary.

NADCHODZI KONIEC KWARTAŁU

O święcie ustawia się gigantyczny wąż pojazdów. Ktoś naliczył już ponad dwieście aut. Nie trzeba patrzeć w kalendarz, by wiedzieć, że to koniec kwartału. Schodząca zmiana życia nam skreślenia karków. Normalnie przelewamy około piętnastu tysięcy litrów na dobę, dziś będzie dwa razy więcej. Ruszamy ostro. W godzinę tankujemy ponad trzydzieści samochodów, co daje niecałe dwie minuty na wóz. Pracujemy jak automaty, bez słów: cich służbowymi nożycami, kartki do słoja, forsa do torby, paliwo do zbiornika. Następny. Później tempo słabnie.

Wtaczają się pieszczotki — skarbonki rodzinnych ambicji, ołtarzyki na kółkach, które nie mają nawet ulic własnego miasta. Czerwony maluch ma na liczniku niespełna tysiąc kilometrów, w metryce cztery lata pod dachem garażu. Pewnie jeździ tylko pod kościół, na rodzinne wesela i obowiązkowo do tankowania. Chciałbym zobaczyć te beczki paliwa zachomikowane w komórze właściciela. Właściciel, bruchaty gość z obliczem dogonnego referenta, bierze na raz cały kwartałny przydział. Ustawia baterie kanistrów.

— Podobno benzyna ma iść w górę... — wypytuje chytrze.

— Prędzej z całą chałupą — w powietrze. Następny jest rolnik z żukiem. Tankuje prawie dwieście litrów do beczek. Niecierpliwi kłną szpetnie. Ci z końca kolejki zostawiają w samochodach żony z dziećmi, sami biegają do pracy. Niewlasty dzielnicy popychają auta ku stacji, skokami po kilka metrów. Czasem pomimo jakichś litościwych przechodzień.

Większość do pustych baków nalewa ostatnie przydziałowe litry. Polski kierowca ma prawo co miesiąc wykupić tyle paliwa, ile stópki każdego dnia. W obu krajach benzyna jest reglamentowana. Kto musi przejechać więcej niż piętnaście kilometrów dziennie, ten musi kombinować. Nie ma rady.

Dwaj spoceni panowie wypychają marne resztki warszawy. Kola piszczą na podjeździe. Nieco dalej czeka kilka podobnych eksponatów. Głucha, powiązana drutami toczydła, które kwali-

ku miał świeży wieniec. Kierowca, cały na czarno, prosił o kilka litrów bez kartek. W końcu kwartału nikt nie planuje pogrzebów. Znowu miałem być człowiekiem.

Starego stacyjniaka, dziesięć lat pracy przy pompach, zapytałem kiedyś, jakie zdarzenia śni mu się po nocach. Zmarkotniał, pewien facet nazwał go faszystą.

— Są! — komunikuje znajomy taksówkarz.

Stoją na boku, notując numery tankujących pojazdów. Wieczorem kontroler prześwietlił zapalone bonami arkusze, sprawdził, czy mu się zgadzają z notatkami.

Podjeżdża załadowana workami furgonetka. Przez uchyloną szybę kierowca wtyka kartę benzynową. Mirek, który go obsługuje, daje mi nerwowe znaki. Przekraczam kluczyk w kasetkę z pierśdźmi i wybiegam pod wiatę. Szofer, kawał chłopca w uparzanym wapnem berecie, potwornie zionie wodą, ledwie cokolwiek widzi. Szarpnię drzwiami od szofera, pijany beznadziejnie wypada na asfalt. Gwałtownie podrywa się na chwilę nogi, atakuje z furii. Wódka uderza mu do rąk. Przez chwilę trwa szamotanina. Z trabanta wyskakuje młody człowiek, podbiega i z całej siły wali nieszczęsnego w twarz. Przed dwoma laty pijany kierowca potrafił na chodniku jego dziecko. Chłopiec miałby teraz osiem lat. Wleczemy pijanego pod stację, furgonetkę spychamy na parking. Ludzie w kolejce biją brawo.

Padła deszcz. Jeszcze trzy kwadransy do północy, potem zamykamy interes, nawet żeby spóźnialscy zapisali całą księgę skarg i wniosków. Inaczej dyrekcja ukarze kierownika.

NIE PODSKAKUJMY, BO JAK PRZYJDZIE KONTROLA...

Nie opodal zaparkowali ci, którzy cierpliwie czekają na nowego kwartału. Drzemia. Prywaciarz z towarem w drodze na Śląsk, ksiądz, który źle wyliczył dystans i dlatego nie ma jak wrócić do parafii, inżynier na delegacji. Przez stado maluchów przediera się karetka pogotowia. Dawnie był idiotyczny przepis, że poza kolejnością mogą tankować wyłącznie karetki na sygnale. Układkiem spoglądam na zegarek, ignoruję wściekłość kierowcy, któremu resztek benzyny nie chce wlać do butelek po mleku. Drobną ciulacze z zadowoleniem taszczy kanistrowo do piwnicy i na balkony. Dzisiaj miasto śpi na benzynie.

Nad ranem planowo zjawiają się plesie. Z opuchniętej gęby można wyczytać wszystko. Na przykład to, że za moment zesperowany pijaczek bluznie wiążanką ciętych kwiatów polskich albo rozwalą szybę w oknie, jeśli nie dostanie czego chce. To znaczy paru lyków alkoholi pod haniebną postacią plynu do spryskiwania szyb — „Autovidolu”. O tej porze w mieście nie ma innego źródła gorzalki, melniarze śpią snem odpornym na kołatanie do drzwi, przed rokiem zamknięto nocny sklep. Kulas jest stałym klientem CPN. Dzisiaj trafia na mój dyżur i nie pojmuję, czemu ociągają się z wydaniem mu plastikowej butli.

— Dawaj! — charczy beznamiętnie dziesiątka. — No! — ponagla ostrzegawczo grzechocząc pudełkiem zapalek. — Bo cię podsmażę...

Jego napedzany etanolem mózdek wydał kom każdy rozkaz, byłoby ukłócić targane nalożeniem bechery. Dostaje fłachę „wynalazku”. Oni zważają wszelkie pyny ciut pachnące alkoholem. Kulas ciągnie z gwintu, do dna. Nie jest ważne, co się pije, ważne żeby człowiekiem sponiewierało.

Do płatku odpoczywam, potem przychodzą na ósmą rano. Chłopcy z wczorajszej zmiany mają chmurne miny.

— Jedynka mankuje — oznajmia Bogdan.

Przekłamię pierwszy dystrybutor. Nalewa więcej paliwa niż pokazuje licznik. Sprawdzamy nalewając równą miarę. Prawie sto gramów na każdym litrze. Do południa musi być gotowy dobowy bilans. Dwie godziny roboty z klejem i kalkulatorem, blisko półtora miliona złotych. Bogdan kończy liczenie, brakuje ponad stu litrów. Liczymy jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Blokujemy jedynie i dzwoniemy po speców z urzędu miar. Tylko oni mają prawo rozgrzebać oszukującą pompę. Nam wolno wymienić najwyższy pasek klinowy albo gumowy waż. W dystrybutorze jest aż trzyznaczące plomby. Na każdej śrubie i każdym zawurku, któregoś mógłby wyciec jakiś lewy litr benzyny. Okoliczności zakładania kolejnych plomb tworzą całą historię reglamentacji. Dawniej na dziesięć tysięcy litrów benzyny, dziesięć litrów mogło „wyparować” bez sankcji. Teraz rachunki muszą się zgadzać co do kieliżki. Dobrze, jeśli dystrybutor przekłamuje w drugą stronę. Wtedy można uciulać parę litrów. Agent B. zgarnął w ten sposób ponad milion złotych.

Starszy pan odwołuje mnie na stronę. Chce sprzedać swoje bony.

— Ile jest tego?

— Z całego kwartału. No, jeden kwitek sobie zostawię, na wszelki wypadek.

Nie targuje się, przystaje na dwie dychy od sztuki. Bony sprzedają kierowcy, których zwyczajnie nie stać na wykupienie przydziałów. Coraz więcej takich. Czasami transakcje proponują kierowcy państwowych furgonetek, rzadziej taksówkarze.

Przywieźli olej. Natychmiast ustawia się kolejka. Powinniśmy sprzedać, komu rzeczywicie potrzeba na dolewke, ale nie ma na to czasu. Dziewczyna z małego fiata prosi kogoś o pomoc, nie bardzo orientuje się, gdzie należy wlać olej.

— Te, lala — kpi kędzierzawy szofer — wyruć te kłopoty z tylnego bagażnika — wskazując na kłapę silnika — będzie więcej miejsca na kapelusz.

Rechocą. Dziewczyna czerwieni się, odjeżdża. Kędzierzawego wybierała szefem komitetu kolejowego do spraw równego dzielenia olejem. Szef atakuje drzwi, chce dostać się do magazynu. Przez szybę pokazuje mu gest Kozakiewicz.

— Pompiarzu — wścieka się — nie podskakuj! Przyjdzie kontrola, to sobie posiedzisz...

Stan łódzkich kin jest fatalny. Poza nielicznymi, mieszczącymi one w starzych budynkach, wymagających kapitalnego remontu, a na to nie ma pieniędzy. Fundusze, którym dysponuje Łódzkie Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów, wystarczają na doraźną łataninę i nie zapowiada zmiany sytuacji. Większe inwestycje w ostatnich latach to zaistnienie zabezpieczeń przeciwpożarowych. Sprawdzał się ten system w czasie pożaru „Baltyku”; gdyby go nie było, całe kino spłonęłoby doszczętnie. Zamknięto ostatnio stare kino „Rekord” przy ul. Rzgowskiej, bowiem budynek groził zawaleniem. Z tej samej przyczyny wyłączono z sieci parę lat wcześniej „Polonię”. Nieczynna od dawna, nie doczekała się jeszcze nawet projektu nowego kształtu, nikt zatem nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kiedy zostanie „zwrócona” łódzka miłośnikom sztuki filmowej. Jeszcze wcześniej zlikwidowano „Adrię”, z powodu przebudowy Piotrkowskiej przy zbiegu Mickiewicza i Główniej, oraz „Mewę” i „Pioniera” z powodu starości, nie mówiąc o kinie dworcowym,

podejmowanym w prasie, nie ma więc sensu poruszać go po raz kolejny, co jest żądane. Jeśli ktoś z takich kinowych troglodytów czyta choćby tylko gazetę (w co wątpię) i trafi na ten temat, to i tak nie zrozumie, że czyta o sobie, bowiem gdyby rozumiał, nie robiłby tego, co robi. Są sytuacje, w których najbardziej nawet tolerancyjny człowiek dochodzi do przekonania, że w trudnym procesie wychowawczym nie zastąpi sztuczki z solidnego gminnego plotu.

W Łodzi są 33 kina. Cztery z nich (DKM, „Oka”, „Światowit” i LDK — które niedługo się otworzy dla publiczności) nie należą do sieci OPRF, jednak instytucja ta wspiera je repertuarowo. W przeliczeniu procentowym, miasto nasze dysponuje jedną z najmniej licznych w Polsce sieciami kinowych na 1000 mieszkańców. I (o czym już było) najgorszym stanem budynków i sal kinowych. Natomiast aparatura projekcyjna jest najnowocześniejsza w kraju. To tak, jakby czekoladę Sucharda opakować papierem z worka po cementcie. Co prawda, kino „Skarpa” w Warszawie od 4 maja 1987 r. dysponuje, jako pierwsze w Polsce, aparaturą

— „Amadeusz”, a także filmy z elementami walk wschodnich.

W tym roku, jak do tej pory, najwięcej widzów przyciągnął obraz „Żył i umarł w Los Angeles”. Natomiast niepowodzenie finansowe stało się udziałem takich filmów: „Carmen” C. Saury, „Sprzedawca kapeluszy” C. Chabrola, „Wetherby”, „Podróż do Indii”, a więc filmy artystycznie niewątpliwie wysokiego lotu, niestety, nie dla szerokiej widowni. Chybiony był zakup „Boskich ciał” — filmu, z grubszą mówiącą o aerobiku — w czasie, gdy moda na ten sposób przedłużania młodości już przemijała.

Skończyły się przy tym sukcesy i porażki (w ocenie widzów, czyli według frekwencji), spójrzmy na dzieła polskich twórców. Najbardziej kasowe filmy 1986 roku to: „Podróż pana Kleksa” (560 tys. widzów), „C.K. Dezerterzy” (190 tys.), „Na całość” (50 tys. — to już sukces, jak się okazuje) i „Kochankowie mojej mamy” (Płowarski potwierdził po sukcesie „Yesterday”, że potrafi celować w widza). Najmniej zainteresowały widza: „Dłużnicy śmierci” (2500 widzów), „Zielone kasztany”, „Wkrótce nadejdą bracia”, „Zaproszenie” W. Jakub-

formy prezentacji osiągnęli krótkiego metrażu. Jak wiadomo, polski film krótkometrażowy, od lat odnosił i odnosi znaczące sukcesy, również międzynarodowe. Komuś widać to przeszkadzało, bo na długi czas pozbawieni zostaliśmy możliwości oglądania tej produkcji. Wśród 13 premier majowych, dodatki będą pokazywane przy siedmiu filmach.

Odpowiednie władze dysponują 50 milionami dolarów rocznie na zakup filmów zachodnich. Nie jest to dużo, zważywszy, że spora część tej sumy przeznaczona jest na zaspokojenie apetytów posiadaczy wideo, gdyż nareszcie postanowiono zacząć coś robić dla tej nowej, dynamicznie rozwijającej się dziedziny upowszechnienia sztuki filmowej. Jest to oczywiście kropla w morzu potrzeb, najważniejsze jednak, że początek został zrobiony. Temat jest jednak zbyt obszerny, wymaga przeto osobnego opisu.

To, co zostanie z 50 milionów dolarów, przeznaczone będzie na zakup takich dzieł (przede wszystkim), które zapewnią duży dochód i przyciągną masową publiczność. Nie zapomina się jednak i o widzach oczekujących na filmy ambitne, na wysokim pozio-



Mówi: Krzysztof Zajęzkowski

— Jest pan dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Czy to nie sport był przyczyną, że obrał pan takie zajęcie?

— Nie jest powiedziane, że do pracy w WOSiR koniecznie jest przesłabość sportowa. Ale w moim przypadku tak się stało. Byłem sportowcem i turystą, później zostałem działaczem turystycznym. Sportu nie uprawiam, natomiast turystyka nadal mnie fascynuje.

— Organizuje pan różne wyprawy turystyczne i to do odległych krajów. Czy bierze pan w nich udział?

— Ostatnio byłem w Indiach i Nepalu, a jeszcze przedtem w Indonezji na wulkanach. W zamierzeniach — Chiny.

— Mogę tylko pozdrościć. Jaką dyscyplinę sportu uprawiał pan w młodości?

— Pływanie. Przez parę ładnych lat trenowałem pływanie stylem grzbietowym, czyli jak się wtedy mówiło, na plecach.

— Czym się pan jeszcze zajmował w owych młodzińskich latach?

— Swego czasu hodowałem w Łodzi pszczoły. Było to w Pałacu Młodzieży, w pracowni biologicznej pana Jędruska. Wylatywały przez okno i wracały obciążone pyłkiem kwiatowym. Autentycznie. Były to lata pięćdziesiąte i nie było jeszcze takiego zanieczyszczenia środowiska, toteż pszczoły mogły egzystować i rozmnażać się. Ponadto zajmowałem się fotografią, co zostało mi do dziś, i z każdej swojej zagranicznej wyprawy turystycznej przywożę sporo zdjęć.

— Od jak dawna praca zawodowa związana pana z turystyką i sportem?

— Pierwszą moją pracę rozpocząłem w ZZ ZMS na stanowisku zastępcy kierownika Wydziału Propagandy do Spraw Sportu, Turystyki i Obozownictwa. Był to 1984 r. Potem przyszedł związek zawodowy czyli Ogólnopolska Federacja Sportu, Turystyki i Wypoczynku. W latach 1972 — 1973 pełniłem funkcję sekretarza Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Łodzi, a kiedy nastąpił podział administracyjny kraju przyjaciele namówili mnie na wyjazd do Piotrkowa Trybunalskiego dla zorganizowania tam paru firm. Pojechałem. Zaczęłem od pokoju w hotelu i aktówki z dokumentami. Czyli zaczynałem od zera. Ale stworzyłem Wojewódzki Fundusz Turystyki i Wypoczynku oraz Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji. Tamte lata wspominam z sentymentem: wszystko było nowe, dopiero się tworzyło, powstawało i można było realizować swoje pomysły zgodnie z nabytą uprzednio wiedzą i doświadczeniem. Nie było jeszcze balastu wieloletnich struktur.

— Dlaczego więc wrócił pan do Łodzi?

— Z kilku powodów. 1. — Dojeżdżałem (moja żona jest pracownikiem naukowo-technicznym UE i ma takie predyspozycje badawcze, których nie mogłaby zrealizować w Piotrkowie), 2. — Syn. Miał wtedy jakieś 13 lat i bardzo chciał mieć psa, na co ja się nie godziłem. Nawet powiedziałem: ja albo pies. Wówczas syn wybrał psa, bo — powiedział — pies przynajmniej będzie w domu. Przyzna pan, że był to argument nie do obalenia.

— I od razu trafił pan tu, do WOSiR?

— Jeszcze organizowałem w Piotrkowie ostatnie dożynki w PRL i dopiero zasiadłem za biurkiem zastępcy dyrektora. Rok później byłem już szefem, wybranym z woli załogi, organizacji partyjnej i związków zawodowych. A był to koniec 1980 r. Załoga wysłała petycję do prezydenta miasta, że chce, aym obłął kierownictwo łódzkiego WOSiR.

— Jaką rolę pan odziedziczył po swoim poprzedniku?

— Nasze obiekty funkcjonowały, chociaż czas był trudny. Bo są to obiekty potrzebne w każdym układach politycznych.

— Czy zdarzają się konflikty pomiędzy dyrektorem a jego pracownikami?

— Dla mnie wszyscy pracownicy, którymi zarządzam, są moimi współpracownikami. Im lepiej się poznajemy tym mogę więcej od nich wymagać. Raz w miesiącu spotykamy się przy stole w moim gabinecie: to znaczy dyrekcja, prezydium związków zawodowych i egzekutywa organizacji partyjnej. Wówczas możemy klóść się do oporu, ale jeśli się rozchodzimy, to mając już ustalony jeden wspólny pogląd na dyskutowane sprawy.

— Taki tryb rządzenia uważa pan za swój sukces osobisty?

— Zostałem wychowany w poszanowaniu pracy i poczuciu odpowiedzialności. Mój ojciec był także człowiekiem niespokojnym, ale obywatelskim: w latach studenckich z Legionem Akademickim poszedł do powstań śląskich, po wojnie zagospodarowywał Ziemię Odzyskaną. Zapewne mam wszczepiony gdzieś w genach pociąg do pracy, a nie do urzędowania.

— Panie dyrektore, a jak pan widzi rekreację dla takiego miasta, jakim jest Łódź?

— Po pierwsze: Łódź z uwagi na swoje położenie, swój układ administracyjny nie stwarza możliwości wypoczynku swoim mieszkańcom. Mimo że ponoc mamy 7 rzek i kilka kanałów, nie mamy technicznych możliwości utrzymania kąpieliska na ciekach wodnych. Dlatego — choć to odległa futurologia — należałoby takich zespołów jak „Pała” wybudować co najmniej po dwa w każdej dzielnicy. Przecież takie zbiorniki jak np. Stawy Jana są permanentnie zanieczyszczone olejami czy mazutem. Odtworzenie życia biologicznego i oczyszczenie stawów kosztuje grube miliony. Myślę, że za te pieniądze, które przeznaczają się na te wszystkie akcje ratunkowe, można byłoby wybudować nowoczesny zespół kąpielowy. Po drugie — musimy kooperować z województwami ościennymi. Inaczej to się udusi. Po trzecie — obiekty turystyczno-wypoczynkowe powstawały w różnych okresach i w różnych warunkach. Teraz należałoby dobudowywać do nich zaplecze, stworzyć infrastrukturę. Przykłady: w Wiśniowej Górze mamy 250 miejsc wraz z halą sportową, ale wszystko to jest oparte na szambach, a więc same koszty wywozu są ogromne i rosną. Stawy Stefana znajdują się w dzielnicy, do której dowodzi się wodę w beczkowozach. Nad Stawami Jana w myśl przepisów normatywnych może przebywać jednorazowo 2 tys. osób, a jest zawsze ponad 10 tys. Jak więc mówić o zabezpieczeniu w pełni wypoczynku i rekreacji?

— Ma pan za to wspaniały ośrodek nad Zalewem Sulewskim.

— Istotnie, ale przydałoby się jakaś szybka komunikacja z Łodzi do Borek nad Zalew. Mamy tam 220 miejsc całorocznych, 150 w domkach sezonowych, pole namiotowe dla 250 osób oraz parking na 600 samochodów. Planujemy także wspólnie z Polską Federacją Campingu wybudować jakieś 200 stanowisk ogrodzonych żywopłotem, z miejscem na samochód, przyczepę lub namiot, wodę, kanalizację, światłem i ogrodowymi meblami.

— Wiem, że sporo pracuje pan społecznie...

— To prawda. Ostatnio doszła mi jeszcze jedna funkcja: przewodniczący GKKFIT Bolesław Kapitan powierzył mi zadania przewodniczącego Zespołu do Spraw Ośrodków Sportu i Rekreacji w Polsce.

— Gratuluje. Niby praca społeczna, ale przecież w tym samym resorcie. A jakie ma pan marzenia?

— Żebym nigdy nie musiał śledzić w jednym miejscu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Coraz mniej kin w Łodzi. W starych pomieszczeniach nowoczesna aparatura. Widzowie niezbyt lubią polskie filmy. Kina zaczynają się specjalizować w repertuarze. Komu przeszkadzały dodatki prezentujące osiągnięcia krótkiego metrażu? Film Polski nie może zarobić za granicą, bo nie posiada nowoczesnego systemu nagrywania dźwięku.

Ludzi coraz więcej, kin coraz mniej

MAREK KOPROWSKI

funkcjonującym na stacji Łódź Kaliska. Ciekawe, czy w planach nowego (i nowoczesnego — chyba) dworca przewidziano właśnie takie kino? Jeśli nie — to szkoda... Bawim się jedynie (badażże) w Polsce kino dworcowe we Wrocławiu ma dobrą frekwencję i przynosi niezłe dochody.

Zupełnie realna jest więc perspektywa, co przynajmniej dyrektor Janusz Paszczuk z OPRF, zamknięcia większości sal kinowych, z powodu niebezpiecznego starzenia się budynków, lub przebudowy niektórych ulic (np. ul. Zielonej — likwidacja „Młodej Gwardii” lub „Muzy” przy Pabianickiej). Jeśli sytuacja finansowa się nie zmieni (a nie na to nie wskazuje), miliony nie będą mieć kina sal kinowych. Potrzeby rosną z roku na rok dwu- lub trzykrotnie, a fundusze zwiększa się tylko o połowę. Nie może być więc mowy o innym — niż doraźne — działaniu. Przybyły, co prawda, dwa nowe kina („Złota Jesień” i „Światowit — hotelowe”), ale są to niewielkie salki, czynne nie we wszystkie dni, np. „Złota Jesień” daje 32 seanse w miesiącu.

Kilka jest zaledwie kin, gdzie ogląda się filmy w dobrych warunkach. W salach niższej kategorii strasza szereg brzydot, w których brakuje krzeseł, a inne są pozorywane lub pocięte. To jednak świadczą o jaskiniowym poziomie części publiczności. Zachowanie tych widzów (przeważnie młodych i bardzo młodych) w czasie projekcji, to temat wielokrotnie

Dolby Stereo, nie zmienia to jednak stanu ogólnego: łódzkie kina mają najlepszy sprzęt.

Najwygodniejszym, najnowocześniejszym i najbardziej chyba lubianym przez łódzian kinem jest „Baltyk”. Po niedawnym pożarze, szybko i sprawnie odnowione, daje największy dochód: około 20 milionów czystego zysku w kwartale. Zakusy na tę salę robiła Filharmonia Łódzka, lecz OPRF nie ugięło się pod silną presją zwolenników takiego rozwiązania kłopotów Filharmonii, bo — wiecie — zdrowy umysłowo nie wypuściłby dobrowolnie z rąk „maszynki do robienia pieniędzy”. Dzięki wpływowi z „Baltyku” sytuacja łódzkich kin — choć zła — nie jest jeszcze tragiczna. Zarabia bowiem na wiele pomniejszych, deficytowych przybytków X Muzy.

Sukces finansowy, to przede wszystkim repertuar. Dyrektor Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów w Warszawie powiedział, co prawda, że to, na co nas stać w tej chwili (w porównaniu ze stanem zakupów sprzed kilku lat) trudno nazwać repertuarem, jednak coś się przecież wyświetla. Dyrektor Stefan Wdźniewicz z Łódzkiego OPRF, w którego gestii znajdują się sprawy rozpowszechniania, nie ukrywa, że postawiono na komercję. Najbardziej kasowe są właśnie takie produkcje. Najwyższe notowania frekwencji w roku 1986 osiągnęły (wśród filmów zagranicznych): „Protector”, „Miłość, szmaragd i krokodyl”, „Powrót do przyszłości”. „Nieoczekiwana zmiana miejsc” i — nawet

bowskiej (2200 widzów). Nie spodzianką minus była mała frekwencja na dytyku Barbary Sas „Dziewczyna z Nowolipiek” i „Rajska jabłoń” — tylko 14 tys. widzów, nieporównanie mniej, niż na wyświetlanej przed paru laty przedwojennej wersji powieści Pol Gojawiczyńskiej „Bohater roku”, czyli ciąg dalszy „Wodzieja”, też nie wypadł. „Ognisty anioł” Macieja Wojtyłki, mimo atrakcyjnej formy, również nie znalazł uznania u łódzkiej widowni, bowiem przytłaczane dane dotyczą naszego, łódzkiego rynku. Pewna niezborność działań promocyjnych wykazał odpowiedziałni za to ludzie w przypadku filmu „Wakacje w Amsterdamie”. Płeska z niego stała się przebojem. Cóż z tego, gdy film wypuszczono na ekrany rok później, gdy o piosence już zapomniano. Mogła być magnesem dla młodego widza, a tak przegapiono, zabrakło „pomysłunku”. Wyżej podane liczby świadczą, że wpływy z niektórych filmów nie pokrywają kosztów nawet wytworzenia kopii, nie mówiąc o milionach włożonych w produkcję dzieła.

W sytuacji, gdy zainteresowanie kinem znalazło (obserwując się takie tendencje), robi się różne zabiegi dla przyciągnięcia widza. Od dłuższego czasu funkcjonuje kino non-stop w „Gdyni” (w I kw. 1987 r. — 49 tys. widzów), „Tatry” pomysłało jako kino rodzinne, gdzie równolegle obejrzeć mogą filmy i rodzice, i dzieci. „Wisła”, położona w centrum miasta, wyświetla filmy ambitne, niekiedy polskie „półkowniki” (jak „Matka Królów”), lub filmy przeznaczone do wskiego rozpowszechniania (np. „Przypadek” Kieślowskiego, czy w 1986 r. „Nadzieja” Sanlewskiego). Staje się więc Kinem Dobrych Filmów. W pierwszym kwartale 1987 roku odwiedziło „Wisłę” 43 tys. widzów. Funkcjonuje kino „Tatry — Małe Studyjne”, gdzie zorganizowano coś w rodzaju gabinetu metodycznego. Nauczyciele łódzcy obejrzel na kilku seansach „Nad Niemnem” Zbigniewa Kuźmińskiego, według prozy Elżyny Orzeszkowej, sfilmowaną pożyte lektury obowiązkowej. Pewnie i dzięki temu film odniósł duży sukces. Tylko w kinie „Wiślniarz” w ciągu 63 dni, obejrzało go 150 tys. widzów, głównie młodzież szkolna.

Powraca się powoli do wyświetlania dodatków przed filmami, funkcjonującej kiedyś i akceptowanej przez publiczność

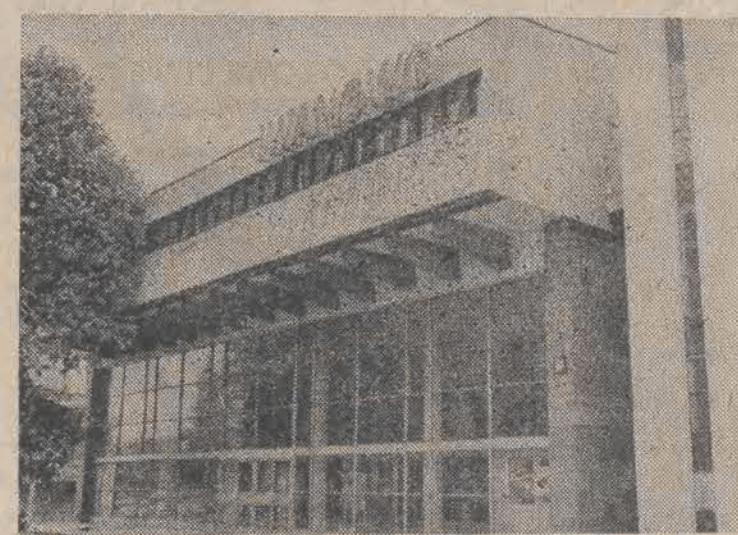


Foto: Grzegorz Galasiński

Pieśni domowe

1.
Dopłynęliśmy tu łódka
z papieru
po wielkiej burzy
dzieciństwa.

Koniki
zrobione z kasztanów
przywoziły nas
na swym grzbiecie.
Aż po sam próg
młodości.

Wtedy powiłaś
lalkę
z nagrany okrzykiem:
Mamo!

I dom
musiałem postawić
najtrwalszy —
z rozsypanych się
klocków.

Nigdy już potem
tak łatwo
niczego nie zbudowałem.
Jakbym swój los
pożegnał
w wierszu spisany
bez słowa.

2.
W kątku
najcichszym
podwórza
bawimy się w małżeństwo.

Wchodzę do pracy
na jabłoń
o zdziwiałych owocach
i wołam do ciebie:
Poczekaj,
już zarobiłem
aż nadto.

W foremkach
i wiaderku
gotujesz wspaniały obiad.
Jest zupa

prosto z kranu,
jest ryś
jakże smaczny
z piasku,
a tort plastelinowy
to niebo po prostu
w gębie.

Syć
i bardzo szczęśliwi
czekamy w trawie
na wieczór.

Z siedmioletnią powagą
tłumaczysz mi, że małżeństwo,
to znaczy jeść razem, siedzieć,
patrzeć na świat z zachwytem
i trzymać się ciągle
za ręce.

3.
Nasza lalka
wciąż krzyczy
i ciągle ma do nas
żale.

Każde może
jej zdaniem
ma stać się prawdziwym
morszem.

Rzeka
nie ma się wcale
zarzekać,
że nigdy nie stanie
pod oknem
i na nas nie poczeka.

A liść
nie tylko wiosną,
lecz zawsze,
jak młodość
i myśl —
ma kwitnąć na drzewie
i rosnąć.

Nie wiemy,
jak tego dokonać.

Ziemia
rozsypane się nam
w dłoniach,
niebo jest pełne
kamieni.

Dla lalki
wszystko jest proste,
było w człowieka
ją zmienić.

4.
Lulaj, dzieciatko

szmaciane,
zaraz nadejdzie ranek,
a kiedy będziesz już duże
wrócisz na nasze podwórce,

gdzie czeka okrętek
z papieru,
gdzie stoja koniki
z kasztanów.
Tak swoim życiem
pokieruj,
byś znów w domu z klocków
przystanął.

Wtedy przyjdziemy
w gości,
chociażby po końcu świata.
Pewnie kropelką rosy,
która z gałązki
upadła.

A kiedy ujrzyś w nies
morze
większe od Europy,
puść łódkę
bardzo ostrożnie
i popłynij wraz z nami.
popłynij!

5.
Zużyło się życie
i dom już się zużył.
Napiszemy sobie los
w nowym, grubym zeszytach
i zamieszkamy
w podróży.

Świat kolor stracił,
nawet drzewa
wymagają naprawy
i opieki;
może jednak pedzelek wystarczy,
do tego blok rysunkowy
i kredki.

A gdy ciała
jak żagle
nam zwina
i port żaden
na spotkanie z nami
nie wyruszy —
w twych rękach
chciałbym znów być
gliną,
w którą technię
raz jeszcze
swoją duszę.

Z półki recenzenta

UROK PAMIĘCI

Tadeusz Kwiatkowski w swojej najnowszej książce wspomina Kraków w momencie wyzwolenia go przez Armię Czerwoną oraz Kraków z pierwszych lat powojennych. Jest to miasto kipiące życiem, miasto poetów, satyryków i powieściopisarzy. Właściwie cała książka jest intymnym pamiętnikiem pisarza, który nie tylko był uczestnikiem, ale i twórcą organizującego się życia literackiego w powojennej Polsce. Książka jest pełna wielkich nazwisk, niecodziennych przypadków i znakomitych anegdot. Polecam tę świetną opowieść wspomnieniową uwadze naszych czytelników.

Tadeusz Kwiatkowski: „Niedyskretny urok pamięci”. WL 1987. Str. 282. Cena 310 zł.

KORAN

Po tę książkę ustawiają się kolejki przed księgarniami. Ludzi chętnych do jej nabycia jest więcej niż wynosi nakład. Święta księga islamu święci swój triumf w kraju nad Wisłą. Ilu nabywców naprawdę przeczyta owe 736 stron plus 235 stron komentarza i przypisów? Sądzę, że niewielu. A warto, bowiem oprócz wykładni religijnych są tu wyłożone zasady moralne, społeczne, kulturowe. Prorok zaleca: „Poszukujcie wiedzy od kolebki do grobu”. Myślę, że te słowa warto sobie zapamiętać, jak wiele innych mądrych nauk zawartych w tej świętej księdze.

Przekład Józefa Bielawskiego.

„Koran”. PIW 1986. Str. 974. Cena 1.700 zł.

ANTROPOLOGIA BRYTYJSKA

Wydawnictwo Łódzkie od jakiegoś czasu wydaje książki opatrzone podtytułem „Człowiek i jego cywilizacja”. Ostatnio w tym cyklu ukazała się praca Adama Krupera pt. „Między charyzmą i rutyną”. Nie jest to książka dla szerokiego odbiorcy, natomiast dla tych, którzy pasjonowali się niegdyś „Życiem seksualnym dzikich” Bronisława Malinowskiego będzie znakomitą uzupełnieniem wiedzy o rozwoju i tendencjach współczesnej brytyjskiej antropologii.

Przekład Krystyny Kaniowskiej.

Adam Kruper: „Między charyzmą i rutyną. Antropologia brytyjska 1922—1982”. WL 1987. Str. 286. Cena 200 zł.

TRZECIA BRAMA

Wydawnictwo Literackie od pewnego czasu wydaje książki z cyklu „Fantastyka polska” będące próbą rodzimej literatury science fiction. Ostatnio w tej serii ukazał się zbiór opowiadań 15 autorów zatytułowany „Trzecia brama”. Jest to wybór, jak napisano w postwowie, „prace nadesłane na konkurs „Fantastyki”. Wybrano je z 689 tekstów. Niestety, opowiadania w tym tomie są bardzo nierówne: niektóre czytają się z zainteresowaniem, inne grzeszą mialnością filozoficznego czy moralnego przesłania.

„Trzecia brama”. WL 1987. Str. 304. Cena 350 zł.

HISZPANIA 1936—1937

O wojnie w Hiszpanii w latach trzydziestych napisano bardzo wiele. Najsylniejszą książką o tamtych wydarzeniach to „Komu bije dzwon” Ernesta Hemingwaya. Ale to literatura piękna, natomiast Lech Wyszczelski dokonał naukowego opracowania najważniejszych bodaj operacji wojny domowej, mianowicie bitwy o Madryt, w obronie którego walczył polski batalion im. J. Dąbrowskiego.

Książka zawiera sporo zdjęć z tamtych czasów oraz mapkę obrazującą przebieg walki pod Madrytem i Jaramą.

Lech Wyszczelski: „Madryt 1936—1937”. MON 1986. Str. 206. Cena 250 zł.

WSZYSTKO O ŁOWIECTWIE

Choć prezentowana tu książka nie należy do tzw. literatury pięknej, mimo to warto poświęcić jej kilka zdań. Mówię o „1000 słów o łowiectwie”, znakomitym słowniku znaczeniowym, którego hasła dotyczą zagadnień gospodarstwa łowieckiego w tym najbardziej szerokim pojęciu. Nie jest to wszakże suchy zapis znaczeń; często hasła rozstrząsa się w krótkie opisy naukowe z zakresu biologii, ekologii, zwierząt, historii, tradycji łowieckich itp. Darz Bórl.

Marek P. Krzemiński: „1000 słów o łowiectwie”. MON 1986. Str. 192. Cena 300 zł.

E.I.W.

NR 21 (1521), XXX, 23 MAJA 1987 R.

Inauguracja Łódzkich Spotkań Baletowych

Podpatrywanie geniusza

Już bardzo dawno, bodaj nawet nigdy nie czulem się tak skrupulatnie poinformowany przez program teatralny o przebiegu wydarzeń scenicznych i o stanie przeżyć postaci, słowem — tak prowadzony za rękę, abym zrozumiał wszystko w najściślejszej zgodzie z intencjami twórcy dzieła, jak w przypadku najnowszej premiery baletowej, inaugurującej kolejne i ciekawie się zapowiadające spotkania baletowe.

To chyba też ważne, że zanim zasiadłem na widowni miałem za sobą, jak chyba nie mała część widzów, sławny film Formana o Mozarcie, który, jeśli nie przeleżał, to przynajmniej solidnie nadwerył pruderystyczny stereotyp widzenia geniusza przez społeczeństwo, jako osoby straszliwie i bez przerwy uduchowionej, obnoszącej się z wzniosłym sposobem bycia.

Librecista najnowszego baletu o Mozarcie, Gray Veredon, znany nam już z baletowej wersji „Snu nocy letniej” jest zapewne świadom operacji publicystyki przeciwko „odbrązawianiu” osoby Mozarta, będącego dla niej symbolem artystycznej subtelności (a więc osobnikiem o mimowolnej wrażliwości i delikatności postępowania), pomimo tego choreograf zawierzył atrakcyjności czy nawet dramatyczności obyczajowej strony życia. Ale czy balet o Mozarcie jest w stanie przekonać nas do końca, jakiego pokroju człowiekiem był jeden z największych kompozytorów w dziejach?

Od Romain Rollanda dowiadujemy się, że nawet w liście, w którym młody Mozart donosił ojcu o śmierci matki, pozwala sobie na śmiałe żarty na jakiś temat, a jego „niewyczerpana wesołość zabawia się byle głupstwem, jest w ciągłym ruchu, śpiewa, podśmakuje, Mozart jak szalony śmieje się z rzeczy zabawnych, a częściej z niezabawnych, z dobrych lub złych żartów, szczególnie ze złych, a niekiedy nawet i wulgarnych (...) ze słów nie mających sensu”. Myślę, że na pytanie, jak to się dzieje, że ów wiecznie blazujący człowiek o niewybrednym poczuciu humoru jest zarazem twórcą sztuki świadczącej o wielkiej wrażliwości przeżyć, odpowiedź może być jedna, iż sposób bycia jest nieraz tylko maskującym pozorem i że w nieskomplikowanych uciechach można nieraz znajdować odprężenie po wyczerpującej pracy, wypalającej psychicznie.

W opowieści Veredona, którą można by nazwać scenami tanecznymi z życia Mozarta (wciąż — a jakże — najnowszym biograficznym ustaleniem), zamierzone, o czym świadczy brzmienie tytułu widowiska, przedstawienie osobowości genialnego twórcy nie spełnia się.

Alle rozpatrzmy to dzieło, bardzo w sumie kontrowersyjne i przez to przyciągające uwagę, w jego zarówno zaskakujących pięknościami, jak i wywołujących zakłopotanie ocenami

jącego, miejscach ehybionych, będących nie zawsze upadkiem z wysokiego konia. Już w pierwszej scenie Narodzin ściera się dwie nieprzystające do siebie i wywołujące przykry dysonans sposoby obrazowania: umowne w założeniu, ruchy noworodka wyzwającego się z położenia embrionalnego z dosłownością wyglądu i kostiumu młodego Mozarta. Zaraz potem żywiołowy taniec chłopięcej bez troski w sposób artystycznie przetworzony zarysowuje cechy osobowości przyszłego twórcy. Potem znów kręci się po scenie Mozartek tyty, tyty, gaskany przez tatę po głowie i kołysany w ramionach, a tu już niczego nie dało się wybronić nawet mistrzostwem Ciesława Bilskiego w posługiwaniu się środkami pantomimy. Ale znów w chwili późniejszej święta triumfu środki taneczne, gdy rozmiłują się najzabawniej napuszone pocieszanie Leopolda z udawanym posłuszeństwem syna, któremu, jak widać, pisana jest inna droga, niedostępna miernym talentom ojca.

Tu trzeba zauważyć, że w rok Wolfganga KRZYSZTOF STARCZEWSKI budujący konsekwentnie ze sceny na scenę postać kompozytora niefrasobliwie rozrzucając wykazał się wysokimi umiejętnościami technicznymi i godną podziwu wytrzymałością fizyczną, mimo iż nie wydaje się on stworzony do dźwigania partnerki.

Mają (rozmiarami) kreację Matki Mozarta stworzyła EWA WYCHOWSKA, zwiastująca w doskonałe pomyślanej scenie końcowej. Nasza znakomita balerina, jakby jeszcze wzbogaciła i pogłębiła ekspresję środków wyrazu w stosunku do pamiętnej roli Matki ze Stabat Mater.

Do udanych scen zaliczyłbym jeszcze swawolne igraszki erotyczne Wolfganga z kuzynką Baisle, składające się na pełne frywolności i sprawne pas de deux i późniejszy taniec erotyczny z Alojzją o silnie zaznaczonej zmysłowej namiętności — w obu rolach HANNA HADRYCH, której przypadło też pojawiać się kilkakrotnie jako Przemaczenie, z twarzą ukrytą pod pośmiertną maską. Funkcja tej postaci, „ofiarywującej” (jak napisano) młodemu Mozartowi talent, sławę i... Zwiastuna Śmierci wydała mi się, może przez swą zawilg symbolikę zbyt „wydumaną”, żeby mogła kogoś przejąć. Samego Zwiastuna zresztą wykonywał znakomicie oszczędnymi ruchami, przekazującymi napięcie wewnętrzne ROMAN KOMASSA. Podobnie na umianie zasługuje pas de deux Wolfganga z Konstancją — GRAZYNA POŁAWSKA. Dość silny dramatyzm przebiegał też z ciekawie pomyślanej sceny Balu Maskowego.

Zapewne dalsza wyliczanka scen udanych i ehybionych mijalaby się z celem, zwłaszcza iż da się chyba scharakteryzować ogólny wyraz artystyczny przedstawienia. Otóż wydaje mi

się, że z całości spektaklu można by wykroić dwa jakby równoległe biegnące i przeplatające się sposoby przedstawiania treści utworu. Jeden, umowny, przedstawiający zmienne stany rozwijającej się osobowości kompozytora — jego radość i niepokojone nastroje wesołości i przekory, i drugi nurt, ilustracyjny, dosłownego przekładu fabuły na ruch imitacyjny, w sposób żenująco dydaktyczny wobec widowni.

Za zbędną, bo nie tłumaczącą się dramaturgicznie można by uznać, moim zdaniem, bardzo rozbudowaną akcję taneczną na tle Requiem, już przecież po śmierci kompozytora. Co prawda dzięki temu mogliśmy w całej pełni brzmienia wysłuchać doskonale śpiewającego chóru i precyzyjnej, pełnej wyrazu gry orkiestry pod znakomitą batutą Ewy Michnik. Solowe partie wokalne wykonywali: Teresa May-Czyżowska, Izabella Kobus, Jan Kunert, Romuald Tesserowicz, Jadwiga Skoczylas i Anna Jeremias. Przy fortepianie Janusz Maciej Grzelazka.

Nastrojowa i funkcjonalna oprawa tego baletowego dzieła stanowiła niewyszukana scenografia, w postaci ciemnej boazerii, mogącej kojarzyć się zarówno z pałacowym wnętrzem, jak i stallami świątyni. Może tylko ukazujący się pod koniec na tle sceny, rozświetlony wzruszeniem Mozarta wywoływał nastrój nieco akademicki: „ku oczci”. Stanowi on jakby mimowolne zwieńczenie wcześniejszych poczynań typu ilustracyjnego. Podobają mi się zwłaszcza pod względem kolorystycznym nie nadmiernie strojne kostiumy, sprawiały też wrażenie wyraziste maski.

Całość wydała mi się jednak zbyt niespójna artystycznie, w sumie nieco nużąca, pozbawiona dowcipu (na czym ucieleśniały humorystyczne w założeniu postaci jędrzowate teściowe i niewydarzonej pannice). Można by wprowadzić skonstruować, iż choreografowi trudno jest dotrzymać artystycznie kroku geniuszowi Mozarta, należy jednak przypomnieć przy tej okazji, iż całkiem udany odpowiednik w wyrazie ruchowym w „Koncercie f-moll” do muzyki bądź co bądź Chopina znalazła Ewa Wychowska.

Myślę natomiast, że Gray Veredon przegrywa konfrontację z muzyką nie wtedy kiedy szuka w niej inspiracji dla tańca, lecz wtedy, gdy chce scharakteryzować osobowość kompozytora fabulką z jego życia, głoszącą widza po głowie, jak Leopold Mozart swego genialnego syna.

JERZY KWIECIŃSKI

Gray Veredon: „Wolfgang Amadeus”. Balet w 3 aktach, 14 obrazach do utworów Mozarta, oparty na faktach z życia kompozytora. Kierownictwo muzyczne — Ewa Michnik, scenografia, Erik Ulfers, kierownictwo chóru — Leon Zaborowski. Prapremiera 16 maja 87, w Teatrze Wielkim w Łodzi.

Egzamin z etyki

Egzamin z etyki socjalistycznej. Tak by można najkrócej nazwać zawartość książki 75-letniej pisarki NRD, Ingi von Wangenheim, pt. „Wykolejenie”. Ścisłej mówiąc — jest to zapis surowego egzaminu praktycznego, jakiemu w pewnym małym turyńskim miasteczku poddany został dogmatyczny system etyczny, mający w założeniu „doprowadzić do ukształtowania „nowego socjalistycznego człowieka”.

No cóż, jest to sprawa godna pryncypialnego traktatu — lub światoburczego socjologizującego eseju. Ale żeby powieść satyryczną, w stylu i klimacie jakby żywcem z Zoszczenki albo bliskiego memu sercu łódzkiego pisarza Rysia B.?

Anegdota fabularna, wokół której odbywa się proces demaskacji moralnych pryncypów, jest prościutka, ale profesjonalnie wymyślona — oto na bieżąco kolejowej w pobliżu miasteczka Gross-Naschhausen w dolinie Saali wykoleja się wagon, z którego wysypują się książki, eksportowane przez drukarnię w sąsiednim miasteczku do dalekiej Szwecji. Książki rozwlekają po okolicy dzieci — chowają w sobie znanych zakamarkach, znozą do domów, do szkoły. Potem w ten obrót włączają się dorośli... I nagle okazuje się, że eksport do Szwecji nosi tytuł „Konstruktive Variationen für das Leben für nat...” co tu ukrywać — to po prostu eleganckie porno. W dolinie Saali (w sąsiedztwie Solawy) wybucha pandemiczny zakażenie się miernym programem wychowawczym w miejscowej szkole, młoda, zadziwna nauczycielka odrzuca skrupuły i oddaje się starszemu koleśkowi, córka milicjanta, maturzystka, zakochuje się w wzajemności w potoku faniłki lokalnych szwarccharakterów, po czym oboje przystępują do natychmiastowej konsumpcji grzesznego mezzaninu: domostwa miasteczkowych prominentów socjalistycznych chwila się w posadach, a ich drobniomieszczanśkie prowadzenie małżonki (acz nie pozbawione zdrowego rozsądku) wysmiewają nie tylko dwuli-

cowość i moralne zakłamanie mężów — one też bezlitośnie kpią z ich nieudolnych nocnych podchodów i prób adaptacji szwedzkich wzorów we własnych łózkach; spokojna dotąd dolina nawiedzają tryby o rozbieganych oczkach oferujący z egzemplarz „Artystycznych wariacji na dzień i noc” po trzydziestu, a nawet pięćdziesiąt marek — i to tych lepszych, federalnych.

Jednym słowem — sodomagomora...

Nastroj tej fabuły wywodzi się jakby z poetyki Hrabala — nie dziwnego zresztą: oba „teatry” działają dzieli zaledwie kilkadziesiąt kilometrów przez granicę i niewysokie góry, od wieków sprzyjające raczej osmozie niż izolacji. Tyle że Hrabal jest dobruśnym, diałizyjskim wujem, zaś Inge von Wangenheim — bardziej brutalna niż frywolna.

Satyryczna formuła opowieści, pełna kaśliwej ironii, acz nie bez skłonności do tolerowania ludzkich niedoskonałości, niech jednak nikogo nie zwiedzi. Sens „Wykolejenia” nie wyczerpuje się w kpiarskim demaskowaniu przywar współobywateli...

Na tyle znam realia życia publicznego w NRD, by wiedzieć, że Inge von Wangenheim boleśnie dotyka jednego z fundamentalnych dylematów ideowo-politycznych w socjalistycznej republice Niemców między Odrą a Labą.

My, tu w Polsce, ciągle od dzieleni od Niemców bezmiernym spowodowanej przez nich tragedii II wojny światowej, gotowiliśmy lekceważyć ich dylematy wywołane przez potrzebę uporania się z tragicznym dziedzictwem moralnym III Rzeszy. Naszymi emocjami kieruje przekonanie, że przez pokolenia Niemcy winni pławić się w poczuciu winy, zaprawionej wdzięcznością dla zwycięzców za to, że wielkodusznie nie wdeptali w ziemię pokonanego narodu, pozwalając mu żyć i nawet prosperować w niejakim dobrobycie. Reszta, a zwłaszcza to, jak Niemcy (przede wszystkim ci najbliżsi nam — za

Odra i Mrysa) układała sobie życie, wcale nas nie obchodzi.

Tymczasem w NRD podjęto niezwykle ciekawą próbę wychowawczą — próbę ukształtowania nowego człowieka, de facto: nowego Niemca. Próba przeprowadzona w samotności. Nie sądzę bowiem, że pomocna w tym dziele była obecność wojsk radzieckich, a z drugiej strony intensywna indoktrynacja przez swobodnie odbierane zachodnie radio, a potem telewizję. Nie ulega wątpliwości, że był to zabieg bezwzględnie konieczny; sami Niemcy, którzy mniej lub bardziej świadomie wybrali życie w NRD, wiedzieli, że muszą się zmienić — i to nie tylko na pokaz. Podłoże tego doświadczenia ukształtowało się nader korzystnie, albowiem w efekcie wielostrumieniowych wewnętrznych migracji między Labą a Odrą powstało społeczeństwo wyjątkowo jednolite klasowo: prawdziwe państwo robotniczo-chłopskie.

A jaki miał być ten nowy człowiek? Przede wszystkim miał być do szpiku kości internacjonalistą, rewolucjonistą sprzyjającym wyższemu, co choćby lekko różowe. Miał być niezmierzonym pacyfistą (ten element, że względu na „zimną wojnę”, wykuszyl się najszybciej, ale też nie całkiem...). A wszystko na niewzruszonym fundamencie światopoglądu naukowego i doktryny etycznej zaczerpniętej z dorobku moralistów wywodzących się z kręgu neofitów WKP(b), Ot. skrzyżowanie Joanny d'Arc z Pawłą Korczaginą i Winnetou... Chociaż, prostolinijny, bezkompromisowy i zwycięski.

Nie ulega wątpliwości, że wieloletnia i nad wyraz konsekwentna praca propagandowo-edukacyjna wydała swe owoce. Nowy Niemiec, taki jakiego przedstawia Inge von Wangenheim, nie jest wprawdzie (i całe szczęście, że nie) moralnym herosem, ani pruderyjnym bezpłciowcem, ale wyczuł się na rozdwojenie jałni w propagandzie. „Niech mowa wasza będzie tak — tak, nie — nie...” — oto cała i jakże ważna zdobycz obywateli NRD z tego doświadczenia.

Mieszkańcy dotkniętego pornokataklizmem Gross-Naschhausen w istocie protestują przeciw podwójnej mierze moralnej, jaka ich lokalni przywódcy i wyższe władze przykłada do wykolejenia. Młoda, diabelnie długonoga nauczycielka Jutta przekrada się nocą

na mansardę swego starszego kolegi właściwie w podzię za odwagę. Franz-Philipp bowiem publicznie, na zebraniu obywateli postawił taką kwestię: mówicie nam o moralnej wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, a jednocześnie drukujecie książki, o których twierdzą, że są nieodpowiednie dla ludności NRD — nie jesteśmy głupcami i sami potrafimy ocenić, co jest dla nas odpowiednie a co nie. Dlatego żądamy jawnego rozpowszechnienia tego szwedzkiego porno... No tak, przedstawiciel drukarni „Posten” nie przekonał nikogo, że każda marka dewizowa uzyskana w eksporcie NRD jest zwycięskim golem we wroga bramkę kapitalistycznej gospodarki. Mieszkańcy Gross-Naschhausen uznali, że czyste sumienie jest więcej warte od brudnych dewiz.

Książkę Ingi von Wangenheim czytałem z dodatkową emocją. Tak się bowiem składa, że tereny, na których się rozgrywa akcja i ludzi w nią zamieszanych znam najlepiej ze wszystkich miejsc i obywateli w NRD — w miasteczku zakonspirowanym pod nazwą „Gross-Naschhausen” byłem parokrotnie, nie tylko pilnie miejscowe znakomite i niemal białe piwo, znam dobrze Jenę i Saalfeld, wieś w dolinie Solawy, zamek Leuchtenburg z basztą w kształcie płomienia świecy, zakłady ceramiczne w Kahli i drukarnię im. Karola Marksa w miasteczku Pönsnick. Sądze, że mieszkańcy tej turyńskiej doliny — ludzie trzeźwi, praktyczni i demonstracyjnie doświadczeni (to ostatnie z radością w NRD, przynajmniej w rejonach licznie nawiedzanych przez Polaków, do których na szczęście okolice Jeny czy Gery nie należą) — doskonale poradzi sobie z przyswojeniem paru gorzkich uwag Ingi von Wangenheim. Teraz my możemy pobawić się ich konfuzją...

TOMASZ SAS

Inge von Wangenheim, „Wykolejenie”, PIW (w serii „Klubu Interesującej Książki”), Warszawa 1986, 250 zł

Kronika kulturalna

CENTRALNA Inauguracja po raz 41 obchodzonych „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy” odbyła się 3 maja, w Płocku, z udziałem ministra kultury i sztuki Aleksandra Krawczuka.

Otwierając obchody prof. A. Krawczuk podkreślił związki narodowej kultury z ideami wniesionymi do niej 196 lat temu przez twórców Konstytucji 3 Maja.

W ŁODZI, z okazji „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy”, odbywają się liczne imprezy — kiermasze, wystawy, odczyty i spotkania autorskie. Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego organizuje m. in. sesję naukową poświęconą Józefowi Ignacemu Kraskiewiczowi (28.05).

Najważniejszą imprezą „Dni Kultury” był wielki kiermasz zorganizowany 15 i 16 bm. w al. Mickiewicza. Tradycyjnie już swoje książki podpisali popularni autorzy. Na 26 stoiskach oczekiwały czytelników interesujące publikacje z wszystkich dziedzin literatury.

Wśród zapowiadanych przez wydawców bestsellerów książkowych, które powinny ukazać się do końca tego roku, znajdują się takie rarytasy, jak Corneliusa Ryana „Najdłuższy dzień”, zapiski Józefa Andrejewskego „Z dnia na dzień”, powieść z przeszłości rodzinnej Tadeusza Konwickiego „Bohin” (wszystkie nakładem „Czytelnika”), Witolda Tyłocha „Judaizm” (KAW), Umberto Eco „Imię róży” (główna powieść George’a Orwelli „Rok 1984” (PIW).

Trzymamy kciuki przed drukarnianymi podługami!

„ŚRÓDMIEJSKI MAJ '87” zainaugurowany został 13 bm. w Dzielnicowej Bibliotece Publicznej. Gospodarze dzielnicy zapraszają serdecznie wszystkich łódzian na prezentację bogatego dorobku Śródmieścia. Przygotowano bardzo atrakcyjny program różnorodnych imprez, które trwać będą do 26 maja (kiermasze, projekcje filmów, śródmiejskie noce poezji śpiewanej).

SYMION KOBYLIŃSKI za książkę „Nonlusz” otrzymał kwietniową nagrodę Warszawskiej Premii Literackiej.

ESPERANCKI „Koran” i esperanckiego „Pana Tadeusza”, wśród wielu innych ciekawych książek, folderów i podręczników, można obejrzeć na wystawie przygotowanej z okazji 100-lecia esperanta w Klubie Nauczyciela w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej 137.

Te interesującą wystawę przygotowały Helena Bolanowska i Marta Podgórska.

Duże brawa dla organizatorów!

TOWARZYSTWO Krzewienia Kultury Świeckiej oraz Łódzkie Towarzystwo Naukowe — w ramach uroczystych obchodów osiemdziesięciolecia powstania bogatego w tradycje ruchu laickiego w Polsce — zorganizowały 13 maja sesję popularnonaukową nt. „Świeckość w kulturze polskiej”.

Sesję otworzył przewodniczący Honorowego Komitetu Obchodów 80 rocznicy zorganizowanego ruchu laickiego, sekretarz KŁ PZPR Grzegorz Misiewicz.

Podczas sesji ciekawe referaty przedstawili m. in.: prof. dr hab. Z. Kuchowicz („Poglądy Aleksandra Fredry wobec problematyki światopoglądowo-religijnej na tle epoki”), doc. dr hab. W. M. Grabski („Świeckie tradycje renesansu i oświecenia w Polsce”).

Podsumowania znaczącego dorobku sesji dokonał Stefan Kaluba — dyrektor Centralnego Ośrodka Doskonalenia Kadr Laickich.

W Muzeum Wnętra Pałacowych w Łańcucie od 9 do 17 bm. odbywał się VII Festiwal Muzyki. Festiwal zainaugurował koncert zespołu Sinfonia Varsovia pod batutą Jerzego Swobody.

Wieczór wypełniły m. in. utwory Haydna, Mozarta i Beethovena.

Wydarzeniem festiwalu stało się wykonanie „Requiem polskiego” Krzysztofa Pendereckiego, które odbyło się w bazylice bernardyńskiej w Łańcucie. Dyrygował kompozytor.

Wśród plejady gwiazd wystąpili m. in.: Gilda Cruzrom, sopran z Metropolitan Opera, mistrz sceny — Gustaw Holoubek, Gilbert Bécaud — z recitalem, no i oczywiście, nieustrudzony gospodarz — Bogusław Kaczyński!

Festiwal zakończył się występem 16-letniego skrzypka! — Stefana Milenkovića.

W DNIACH 15 i 16 maja w Państwowej Filharmonii im. A. Rubinsteina w Łodzi odbyły się koncerty z cyklu „Na Zyczenie”. Ich program jest wynikiem plebiscytu przeprowadzonego wśród łódzkiej publiczności w ubiegłym sezonie.

Filharmonia zaprosiła do udziału w koncercie znanych solistów: Jolantę Zmurko — sopran koloraturowy oraz skrzypka — Adama Taubica. Orkiestrą PPF dyrygował Andrzej Strazyski. W programie zaprezentowano utwory: W. A. Mozarta, E. Griega, G. Rossiniego, C. Saint-Saensa, P. Sarasale i F. Czajkowskiego.

Wśród laureatów tegorocznej nagrody „Trybuny Ludu” i stópna za upowszechnianie kultury znalazł się dyrektor Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi — Bogdan Hussakowski. Składamy mu z tej okazji serdeczne gratulacje.

JURY XXVII Kaliskich Spotkań Teatralnych przyznało jedną z czterech głównych nagród Ludwikowi Benoit — za rolę Harpagona w „Skapen” Mollera (Teatr Nowy w Łodzi).

PREMIERA sztuki „Sarkofag” Władimira Gubariewa, powstałej na kanwie tragedii w Czernobylu, odbyła się w wiedeńskim Volkstheater. W przygotowaniu są premiery w Anglii, Japonii i RFN.

Autor sztuki jest dziennikarzem, który pierwszy dotarł do Czernobyla i wrażenia przekazał w reportażach drukowanych na łamach „Pravdy”.

Na szlaku — o poezji hippisów

Wytarte niebieskie dżinsy atają się naszą filozofią a podniszczony płócienny chlebak jej najlepszym podręcznikiem asfaltowe szosy są jedynymi drogami poznania życia.

Tej strofy wbrew pozorom nie napisał żaden hippis, choć wielu z nich chętnie by się pod nią pewnie podpisało. Radzę się jednak z tym nieco wstrzymać — jest to tylko część wiersza, do jego drugiej połowy, jak i do problemu autorstwa, powrócę jeszcze na końcu recenzji. Przytoczony zaś fragment nasuwał mi się w związku z tytułem wydanej przez Iskry antologii poezji hippisów „Życie w drodze”. Prawdę powiedziawszy, nasuwał się wcale nie od razu, lecz jakby wtórnie ewokowany z pamięci ciągłem sugestywnych obrazów tzw. „rewolucji plecaków” z głosem książki Kerouaca, tłumaczonej zresztą (mniejsza o to, w jakim stylu) niedługo na tych łamach. Fakt ten długo usiłowałem ukrywać przed sobą, tak wiele bowiem pociągał on za sobą pytań i tak uderzające rodził sprzeczności, że zagadnienia samej poezji coraz bardziej oddalały się ode mnie, przesłaniane kuszącymi możliwościami pozali- terackich penetracji.

Dlaczego akurat Kerouac? Wszak jest on — obok Ginsberga, Corso i Ferlinghettiego — przedstawicielem zupełnie innej generacji. Generacji, która można by w odniesieniu do hippisów z powodzeniem nazwać „pokoleniem ojców”. To

przecież właśnie beatnicy, przejrzawszy współczesną im cywilizację, udali się w drogę. Dokąd? Czasem do San Francisco, czasem w głąb siebie, ale chyba najczęściej — donikąd. Bohater Salinger’a, Holden Caulfield, nie potrzebował ich siwych włosów, aby uświadomić sobie tę gorzką prawdę, jaką kryje niemal każdy rodzaj ucieczki „od czegoś”. Poznali ją także hippisi, z tą tylko różnicą, że zamiast przeczuć „buszującą w zbroju” posiadli już pewność, płynącą z doświadczeń „beat generation”. Z taką świadomością schodzili ze szlaków zakładając komunę, w których miało się dokonać misterium powszechnej miłości. Nie wyrzekli się do końca idei wędrowania, nie pociągali ich jednak eskapistyczny bunt starszych kolegów z plecakami na ramionach. Oddali się też od zaangażowanych politycznie rówieśników, co przesądziło o tym, że rola „dzieci-kwiatów” we współtworzeniu młodej kontrykultury amerykańskiej ograniczyła się do bierności, choć efektownej obecności.

Jak w świetle tych uwag, pozbawionych zresztą jakichś rewelatorskich ambicji, wyglądają „hippisi po polsku” — by posłużyć się wywoławczo tytułem jednego z wierszy Katarzyny Anny Dziki, której utworzy m. in. należą do najdojrzałych literacko w całej antologii? Nie wiem. Wydaje mi się tylko, a tytuł zbioru i skojarzenie z książką Kerouaca potwierdza to przypuszczenie, że

polscy hippisi są gdzieś w polowie tej „drogi” i na dodatek poruszają się wąskim jej skrajem. W polowie, ponieważ nie mówią swoim własnym głosem — wpływy Hłaski, Bursy, Wojacka, a przede wszystkim Stachury zaznaczają się w wielu wierszach, odbierając im w ten sposób indywidualną siłę wyrazu. Skrajem, ponieważ krąg zainteresowań i topika tych utworów należą raczej do ubogich, co jest zastawiającą, co, jeśli wziąć pod uwagę krylowe możliwości obserwacji, nie ich autorów. Wszystko spróbowadza się właściwie do dycho- tomicznego schematu motywów: Bóg (nazywany też Panem, Prorokiem, Chrystusem lub Jezusem), otwierający ciąg pojęć pozytywnych (dobro, miłość, życie, słońce) oraz szatan (czyli bóg w wojskowym mundurze), któremu towarzyszą wszelkie atrybuty zabijania i udręczania (karabin, kula, wojna, musztra). I tak, jak po- przednio niechętnie widziałem obec inspirację, teraz skwapliwie odesłałbym postów-hippisów do kilku tomików Jana Twardowskiego i Antoniego Pawlaka. Świat przedstawiony, jaki wylania się z poezji owej antologii daje się także zredukować do pewnej opozycji. Jest to opozycja zaimków: my (ja, ja i ty) i nasz stale rozszerzający się kosmos — wy (on, oni) i nasz zimny, wyrzucający się wszechświat, który chronią instancje odgraniczające (szpital wariatów, zakład odwykowy, więzienie), stworzone przez was dla zapewnienia nienaruszalności społeczeństwa stratyfikacji.

Hippisi nie stali się w Ameryce, mimo wielkiej szansy tkwiącej nie tylko przecież w ich spektakularności, głównym ogniwem tamtejszej kontrykultury. W warunkach polskiego obłędu artystycznego, skanalizowanego i konserwatywnego, nie byli natomiast w ogóle w stanie stworzyć prawdziwej kultury, z literaturą, muzyką, sztukami plastycznymi, teatrem i filmem. Skazani zostali, a może i po części sami się skazali, na konieczność identyfikowania się z różnymi twórcami o nie zawsze czy- stych intencjach, którzy odczu- wali ich problemy w sposób bardzo naskórkowy. Płetno tej niesamodzielności artystycznej oddało się dość wyraźnie również na poezji zawartej w antologii „Życie w drodze”. Takie książki należy jednak wy- dawać, choćby po to, by za- przeczyć drugiej części wiersza Janusza Rydzkowskiego: ta dziewczyna o blond włosach znająca listę

napopularniejszych piosenek angielskiej ostatniego typodnia z tomikiem henri'ego w klasznie niebieskich dżinsów marzy o przytulnym m-3 z odrobina czułości Wyciera się filozofia dżinsów.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Życie w drodze. Antologia poezji hippisów, Iskry, W-wa 1986, s. 152, cena 70 zł.

Czterdzieści lat później

Władysław Orłowski (rocznik 1922) odniósł rane jako uczestnik powstania warszawskiego. Odlamki pocisku tkwią w jego ciele do dziś. Daleki jestem od utożsamiania narratora z autorem, zwracam jednak uwagę na ów biograficzny szczegół, jako że czterdzieści lat później zaowocował on książką, której bohater — również nosiciel odlamków — dobywa z pamięci okrucich powstańczych wspomnień.

Młody żołnierz Armii Krajowej, noszący pseudonim „Delta”, który symbolizuje jednego z wielu (podobnie jak litera stałowa) zaledwie znikoma część alfabetu) uważa powstanie warszawskie za najważniejszy moment swojego życia. I dlatego — po latach — wiedzie wyimaginowaną rozmowę z „ludźmi, którzy odeszli, z wydarze-

niami, które oddaliły się bezpowrotnie”. Owa rozmowa przybrać może postać jedynie monologu, wprawdzie silnie zdia-logizowanego, monologu nadającego się moim zdaniem na monodram. Mamu bowiem w „Odlamkach” do czynienia jakby ze szkieletem fabuły, z ramową charakterystyką postaci, ze zdarzeniami kształtowanymi ręką dramaturga. Znowu Orłowski potwierdził w prozie, iż pozostaje niezmiennie człowiekiem teatru.

Działą w tej prozie charakterystyczny mechanizm skojarzeniowy, wywołujący narratora z poczucia chronologii — wszystko jawi się tu w jednej płaszczyźnie. Kolejnością pojawiają się poszczególne „odlamki wspomnień” rzadzi reguła asocjacyjna, ale zasada skoja-

rzeń nie jest łatwa do uchwycenia, bo z perspektywy czterdziestu lat przebieg wydarzeń stanowi splecioną, nierozróżnialną całość. Sytuacja trwałego zagrożenia, wstrząs wywołany zderzeniem młodego nosiciela humanistycznych ideałów z żywiołem zniszczenia — wszystko to rzutowało musiło na konstrukcję powieści. Stworzenie uporządkowanej konstrukcji opartej na linearnym następstwie czasu traciłoby w tym przypadku sens, zagrażałoby artystycznej prawdomówności i w konsekwencji pozbawiałoby literaturę terapeutycznych właściwości i ostrzegawczych możliwości.

Narrator usiłuje tedy sprowadzić czytelnika do roli przede wszystkim świadka, stawia się w sytuacji opowiadającego o

swych przygodach moralisty, który poszukuje ludzi potrafiących reagować emocjonalnie w podobny sposób. Służy temu między innymi ujawnienie konwencjonalności literackiego zapisu. Narrator nie odtwarza dawno minionej rzeczywistości, tworzy raczej jej ekwiwalent, akcentując bezpośredni charakter oddawania części własnych doświadczeń z okresu drugiej wojny światowej. I nie zmyli czytelnika w tym względzie znamienna nota o „całkowicie lub przynajmniej częściowo” zmyślonych postaciach. I tak wiadomo: chodzi nie o interpretację ludzkiego losu czy prawdy egzystencji, ale o zwykłe, w miarę głębokie wzruszenie, następnie zaś o uświadomienie sobie i innym zróżnicowania postaw moralnych, jakie dokonało się w obrębie życia jednego pokolenia: „Gdy przyjdzie mi żyć w coraz bardziej zmaterializowanym świecie, w którym pytanie: w imię czego? wyparte zostało przez inne: za ile? — zalem wspominać czas, co odziedziczyłem? Co za to będę miał? Czy mi się to opłaci? Tych pytań nie zadawał mi

wcale, były obce duchowi tamtych dni. Ileż to słyszę, jak ktoś z nich wypowiada dziś człowiek zaledwie wchodzący w życie, myśląc sobie: ty, bracie, nie jesteś wbrew pozorom młody, ty nawet nie wiesz, co to znaczy być młodym! A zaraz potem refleksja: czy to jego wina, czy raczej świata, w którym przyszło mu żyć? Za mój, powstańcy, byliśmy inni, bezinteresowni, gotowi złożyć życie w imię idei, to traktować nożem tylko jako nasz przywilej, od którego dziś nam, starym ramolom, robi się ciepło w okolicy serca, gdy wędrujemy pamięcią w przeszłość. Nie mamy się co puszyć, bo i my już nie tacy...”

Emocjonalna tonacja „Odlamków” nie budzi wątpliwości. Osłaga ją Orłowski prostymi środkami. Szukając słowa, które by nie kłamało określonej sytuacji historycznej i etycznej, zdecydował się na oddanie przede wszystkim atmosfery tamtych dni. Kreśląc powstające epizody wydobyla niezwykłość i niepowtarzalność owego narodowego zrywu. I cały jego tragizm. A czynił to niejako mi-

mochem, komentując wydarzenia, w których uczestniczył bohater powieści, poszukując swego miejsca w świecie, który go zaskoczył. I nadal zaskakuje. Tu właśnie znajduje się miejsce na dyskretną ironię, eksponującą narastający dystans narratora wobec świata. Jak by na to nie patrzeć: czterdzieści lat później jest się już zupełnie kim innym! Podwójna perspektywa narracyjna powieści Władysława Orłowskiego potwierdza to w całej rozciągłości.

**TADEUSZ
BŁĄŻEJSKI**

Władysław Orłowski: „Odlamki”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1987, s. 201, nakład 29 825 + 375 egz., cena zł 169,--

Pod latarnią najciemniej

Słabości ludzkie są takie same na każdej szerokości geograficznej, lecz słabości indywidualne tworzą, jak chcą niektórzy, słabości narodów, składające się z kolei obok innych, być może znacznie ważniejszych elementów, na sierć obyczajowości danej grupy społecznej czy nawet danego kręgu kulturowego. Przywary pojedynczych ludzi, konstytuujące przywary społeczne, rzytmo stają się ogromnie uciążliwe, choć dla otoczenia tym trudniej dostrzegalne, im większej liczbie osób można je przypisać. Należy tu wyraźnie zaznaczyć, iż chodzi w większości przypadków o tzw. „wady nabyte”, a nie o troskliwie pielęgnowane przez właścicieli i zresztą często nieszkodliwe „wady wrodzone”, jak np. przesadna kokieteria czy notoryczne opowiadanie starych dowcipów. Tymczasem „wady nabyte”, z jakimi nieustannie stykamy się na co dzień w życiu publicznym i prywatnym, stanowią tak już pospolity składnik naszej egzystencji, że niemal przestaliśmy je zauważać i co gorsza, przestaliśmy na nie reagować. Przecież to, ale niesolidność, obłuda, zakłamanie i zwyczajne, prostackie chamstwo szerzą się bezkarnie wśród ludzi obojga płci, różnych profe-

sji i w różnym wieku, dając w ten sposób wyraz nie tylko upadkowi tak niedgdy cenionej kultury osobistej, lecz również powszechnemu zdziwieniu obyczajów, niestety, nie „pośmiertnych”, jak u Leśmiana, a doczesnych, bolesnie obecnych i wchodzących w skład naszej chorej na AIDS i znieczulicę moralną współczesności.

W tym sensie „naprawa Rzeczypospolitej” to zadanie nie tyle dla ekonomistów czy polityków, sprawa dotyczy bowiem ludzkiej duszy i ludzkich sumień, ile dla szeroko pojętych rzesz nauczycieli i wychowawców społeczeństwa, ludzi mających pośredni bądź bezpośredni wpływ na postawę swych rodaków, a więc także i dla pisarzy. Literatura społeczno-obyczajowa kojarzy się zazwyczaj z Balzakiem i Dickensem, jednak pisarstwo „wychowawcze” przyswoiło nieodparcie na myśl Makarenkę i jego minione na szczęście czasy dydaktycznego nonsensu, toteż pisarze mający coś do powiedzenia w kwestii naganności ludzkiego postępowania rezygnują często z tradycyjnych form artystycznych wypowiedzi, w myśl witkacowskiej zasady, iż

miast pisać skomplikowaną powieść polityczną, aby wyrazić swoją opinię czy stanowisko wobec polityki, lepiej ująć swe poglądy w kształt traktatu lub pamfletu politycznego. Podobną koncepcję ekspresji przyjął także Tadeusz Gicgier, autor zbioru „Wawóz Belzebuba”, będącego w istocie przyczyną niniejszych rozważań, a wymagającego nieco obszerniejszego wstępu, jako że „dziwne jest w tej książce materii pomieszanie”. Znajdziemy tu humoreski, opowiadania, felietony, króciutkie eseje; autor posługuje się ironią, delikatną drwiną, stosuje satyrę i parodię, porusza wiele rozmaitych problemów dotyczących naszej obyczajowości, sięgając często do swego życia osobistego, do własnych doświadczeń, nieustannie przetwarzając bogaty materiał faktograficzny, na jakim oparta jest książka, stroniąc raczej od typowej fikcji literackiej i oscylując w stronę publicystyki. Pasja pisarska autora łączy się z jego pasją dziennikarską, reporterską, kpina miesza się z refleksją, zaduma z wesołością i humorem. Piętnując wszelkie przejawy niesprawiedliwości, hipokryzji, nieuczciwości, człowieka wobec siebie i innych, Tadeusz Gicgier zrywa maski z twarzy swych bohaterów, obnaża ich, wystawiając na widok publiczny wraz ze wszystkimi ułomnościami natury ludzkiej, potraktowanymi już to zjadliwie i kąśliwie, już to dobrodusznie i z dużą dozą wyrozumiałości. „Wawóz Belzebuba” jako utwór artystyczny niebezpiecznie zbliża się chwilami do granicy banału — jako pozycja publicystyczna stanowi wielce wartościowe, ponieważ prawdziwe, świadectwo rzeczywistości współczesnej. Pozorna naiwność tej książki wynika stąd, iż czasem najtrudniej znaleźć okulary, tkwiące na własnym nosie, odszukać aberracje tam, gdzie przywykliśmy do zwyczajności i „normalności”, zastanowić się nad rzeczami, które dotychczas umykały u-

wadze, ponieważ znajdowały się zbyt blisko, aby stać się przedmiotem rozważań.

Gicgier nie formułuje reguł zachowania i nie chce pouczać, polegając na swoim zamyśle obserwatora i zdając sobie sprawę, iż sztywność, nawet utajona, przewrotność, wyrażona nie wprost, bywa znacznie skuteczniejsza niż sztywna nagana, i bardziej efektywne literacko od podręczników dydaktyki czy wykładanych ex cathedra kazań samowolnych moralizatorów. „Wawóz Belzebuba” zmusza do bystrzejszego spojrzenia na otoczenie, lecz przede wszystkim na samego siebie, co jest niezbędnym warunkiem wszelkich przemian wewnętrznych. Uświadomienie sobie własnych słabości i błędów stanowi o moralnej sile jednostki. Gicgier, pobudzając podstępnie aktywność, myślową czytelnika i drażniąc jego sumienie, osiąga zamierzony cel — skłania do reakcji, choćby zaledwie intelektualnej. A to już jest sukces; no, powiedzmy początek sukcesu.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Tadeusz Gicgier — „Wawóz Belzebuba”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, wyd. I, nakład 20 000 egz.

Trzy Justysie

Pierwszą Justysię — małą dziewczynkę — poznaliśmy już nieco dawniej. Przybrała niezdecydowaną jeszcze postać większej noweli albo minipowieści. Była wstępny zamyśłem, brulionem do opracowania (temu zresztą posłużyła), uwerturą. Niewiele powiedziała o Markizie, erotyzm i śmierć, gwałt i rozkosz. Druga Justysia to już nieodrodne dziecko Markiza, choć może jeszcze nie całkiem wyzbyło się przesądów cnoty. Zakonczenie — wyraźnie nie przystające do konsekwentnej drogi, jaką kroczy opowieść — to jawny (choć jakby w pewnej mierze ironiczny) ułkon w stronę moralności publicznej, ustępstwo (i odstępowo) na rzecz możliwości opublikowania powieści (coż, potrzebował Markiz pieniędzy).

Całkiem specyficzną jest sytuacja dzieła Sade'a. Poczuwamy się (przynajmniej niektórzy) do obowiązku objaśnienia i wyjaśnienia jego myśli i obrony przed łatwymi zarzutami ze strony publiczności, teje samej publiczności, która jego książki rozchwytywa i zwielokrotnia czarnorynkowe ceny. Ta też droga obrony i wyjaśniania poszedł w Postowie tłumacz. I dobrze się stało — kolejny to bowiem komentarz (co ogromnie ważne przy narosłych wokół dzieła i osoby Sade'a nieporozumieniach i powszechnym niezrozumieniu) pokazujący, że Markiz nie był szaleńcem, zboczeńcem ani mordercą, że nie miał nic wspólnego z pornografią czy obozami koncentracyjnymi (a tak widzi go np. A.

Camus). I zarazem nie najlepiej się stało — bowiem próba wpisania „boskiego markiza” w filozofię oświeceniową zatracza nieco specyfikę i całkowitą niepowtarzalność jego myśli. Sade (jak pokazał to przed 40 laty Klossowski) tylko pozornie bierze za dobrą monetę materialistyczny język ówczesnej filozofii. W istocie zaś wyprowadza zeń wszelkie konsekwencje — konsekwencje, do jakich myśliciele tej doby nigdy by się nie posunęli, gdyż zatrzymując się w połowie drogi budują systemy różniące się od atakowanych przez nich samych teologiczno-idealistycznych wizji jedynie przesunięciem akcentów. Sade pokazuje po prostu, dokąd prowadzi konsekwentne myślenie w tym języku i język ten, w jego rękach, obraca się przeciwko sobie i ulega destrukcji. A jednak dobrze się stało — po raz kolejny bowiem okazało się, że nie ma jakiejś prawdy Sade'a, ostatecznej, wyczerpującej interpretacji, która pozwoli jego myśli opatrzyć odpowiednią etykietką i spać spokojnie. Nie można zapominać o specyfice sadyczej koncepcji świata i człowieka, o fakcie, że to właśnie Sade (a nie nikt inny) okupił upartość i bezkompromisowość własnego sposobu myślenia trzydziestoletnim więzieniem i skazaniem na trwającą ponad wiek zapomnienie.

Czy zatem Justysie Sade'a nie są potrzebne? Ależ oczywiście są! Trzeba jednak pamiętać, że potwory te nigdy nie przyobiekty się w ciału trybu-

nału, gilotyny czy wymierzonego w pierś karabinu, że w odróżnieniu od Robespierrea, Napoleona czy podobnych cała ta potworność ma charakter pisany — jest literaturą, snuciem opowieści, układaniem słów, grą, pozorem. Pozorem, który jednak dzięki „jasnowzrocznemu umysłowi” Markiza rzuca człowiekowi „normalnemu” prosto w twarz całą o nim prawdę — prawdę o konstytutywnej dlań przemocy, bliskości erotyzmu i śmierci, rozkoszy i bólu, prawdę potwierdzaną dziś przez Bataille'a, Freuda, Foucaulta i innych. Prawda to jednak na tyle przerażająca, nie do zniesienia, nie do przyjęcia, że my, ludzie kreślący się wyższymi wartościami, odmalowani w takich barwach, będziemy właśnie w imię ideałów moralnych ścigać potwarcę.

Może druga Justysia to jedno z pierwszych dzieł Markiza, które takie prawdy zaczynają wypowiadać, odkrywając ciemne sfery ludzkiego umysłu, sfery, które człowiek skrytnie skrywa przed samym sobą i do których nie może, oczywiście, się przyznać. W jego oczach winny jest Sade. To on jest zbrodniarzem. A czy jest? Tak! Dopuścił się zbrodni niewybaczalnej. Zbrodni pisania, zbrodni „powodzenia” „wszystkiego”, zbrodni naruszenia naszych wrażliwych mniemań o świecie i wyobrażeń o nas samych. Sade jest — bowiem — przeciw wszystkim i przeciw wszystkiemu i — jak się wydaje — takim chciał, by go widziano. W ten zaś sposób staje się jakby upersonifikowanym „sumieniem” ludzkości, całkiem niezwykłym „moralistą”, który jednak nie poucza, nie wyznacza norm, nie projektuje wizji przyszłości, lecz bezustannie zrywa kryjące nasz twarze zasłony i uparcie podsuwa lustra. Zaś odbite w nich obrazy są

dla nas nie do zniesienia. I Markiz o tym wie. Wszystko przewidział.

Być może Justysia rozczaruje tych, którzy z wypiekami na twarzy oczekiwali pikantnych, jakkolwiek dostatecznie eleganckich opisów scen erotycznych („momentów”). Sadycyzy erotyzm raczej odpycha niż przyciąga. Jeśli dostarcza „podniecie”, to raczej intelektualne, jeśli oczywiście zdecydujemy się na wysiłek uruchomienia naszego mózgu (choć sport ten nie jest zbyt powszechnie uprawiany). Markiz nie jest typowym pornografem (choć coś z tego w płytliwej pornografii). Po prostu zmusza do myślenia, do zastanowienia się. Przede wszystkim nad samym sobą.

Jest z Sade'm jeden jeszcze kłopot. Kłopot tłumacza. Nasza mowa ojczysta, w przeciwieństwie do bogatej w tym względzie francuszczyzny, nie posiada języka erotycznego. Możliwości nie są zbyt szerokie. Pozostaje język szaleńców, grafiti albo terminologia medyczna. I żadne z tych rozwiązań nie może, rzecz jasna, zadość uczynić. Przed tłumaczem staje zatem zadanie i to zadanie niezwykle trudne — stworzenie takiego języka. Nie może temu, oczywiście, poddać jeden człowiek ani, tym bardziej, jedna książka. I tu należy się duże słowa uznania dla Bratunia. Próbuje on bowiem tego zadania się podjąć, stawiać pierwsze, jeszcze niepewne (bo grunt niepewny i grząski), choć konsekwentne kroki. Droga jednak została otwarta (choć daleko do tego, by stanęła otworem). Zarazem to jednak wy-móg i obciążenie dla tych, którzy zajmują się sztuką przekładu literatury tego rodzaju — by drogi tej nie poniechali.

Poznaaliśmy już zatem dwie Justysie. Pora na trzecią („Nową”), tę już w kwiecie wieku.

Wypada tylko mieć nadzieję, że nie zostanie zachowane prawo serii i czas oczekiwania nie będzie powtórzeniem rozstępu dylatacyjnego wydanie dwóch pierwszych. I trzeba tu podkreślić, że ogromnie cieszę widoczną w poczynaniach Wydawnictwa Łódzkiego konsekwencją. Przed dwoma laty przypomniało nam ono „Niedole cnoty” i „Zbrodnie miłości”. Teraz zaferowało „Justynie, czyli niezdecydowana cnota”. A — uchylny rąbka tajemnicy — przygotowuje kolejne rewelacje. Sade pozostawia przecież liczne potomstwo — na swoją kolej czeka „Filozofia w buduarze”, „Julietta”, „Alina i Valcour” czy też sławne „120 dni Sodomy”. Markiz zasługuje niewątpliwie na to, by doczekać się wreszcie jakiejś edycji dzieł zebranych. Bowiem myśliciel to tak odważny i konsekwentny, że tylko nieliczni mieli śmiałość zaliczyć go do najgłębszego dziedzictwa myśli, bowiem pisarz to tak niebezpieczny (a przy tym znakomity), że dopiero niedawno przyznano mu należne miejsce w historii literatury światowej.

Warto by może tylko zadbać nieco bardziej o szatę, w jakiej kolejna Justysia zaprezentuje się publiczności. I może o to, by nie powtórzyły się błędy w pisowni imienia Sade'a (choć to mu chyba niestraszne, bowiem już rodzice chrzestni poprzekręcili mu imiona).

**BOGDAN
BANASIĄK**

Donatien Alphonse Francois de Sade, Justyna, czyli niezdecydowana cnota, przeł. M. Bratunia, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987, s. 248, nakł. 50 tys. egzempli, cena 600 zł.

Polemiki • Listy • Opinie

RODZICE NARKOMANÓW DO SPOŁECZEŃSTWA

My, rodzice — członkowie Towarzystw Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych „Powrót z U” ostrzegamy:

Narkomania może być w każdej szkole i w każdym osiedlu. Ta choroba nie wybiera. Może dotknąć każdego człowieka i każdego domu.

Kiedyś i my tworzyliśmy zdrowe, normalne rodziny. Tak jak wy walczyliśmy z naszymi dziećmi wiele nadziei. Teraz przyjmują one codziennie dawkę śmierci. Widzimy ich powolne umieranie.

Są wśród nas artyści i ślusarze, prawnicy i portierzy, inżynierowie i robotnicy. Tak jak i wy staraliśmy się wychować nasze dzieci na zdrowych, normalnych ludzi. Nie obciążając nas winą, że sięgnęły one po narkotyki. Nikt na świecie nie zna przyczyny jego używania.

Pamiętajcie: narkomania to tragedia.

Ten kto nie szukał swojego dziecka po dworcach i melinach, nie czekał na nie wpatrzony we wskazówki zegara, ten nie jest w stanie tak naprawdę wyobrazić sobie rozmiarów naszej rozpacz.

Pamiętajcie: tragedia rządzi jedno psychologiczne prawo, tylko oparcie o siły innych ludzi pozwala przetrwać i zwyciężyć.

Pamiętajcie: chore są nie tylko nasze dzieci, ale i nasze rodziny. Pamiętajcie też jednak, że nie ma powrotu do społeczeństwa bez powrotu do swoich najbliższych.

Niektórzy z nas walczą o cudze dzieci, bo ich własne już nie żyją. Stali się ofiarami tej choroby. Inni z nadzieją czekają na ich powrót z „U” — z ulicy, uzależnienia, ucieczki. Są wreszcie tacy, którzy już wygrali — ich dzieci powróciły.

Uważamy, że mamy moralny obowiązek wykorzystania tak wielkiego potencjału. Jakim są nasze osobiste przeżycia, doświadczenia i tragedie, i dlatego...

Ostrzegamy: przegraliśmy z tą chorobą walczyć w pojedynkę. Jeśli macie w swojej rodzinie dziecko uzależnione, nie wstydźcie się. Nie obciążajcie się poczuciem winy. Choroba ta nie jest żadną hańbą. Jeśli naprawdę chcecie uratować swoje dziecko, szukajcie dla niego pomocy.

Znajdźcie ją w poradniach uzależnień lekowych. Monarze, w Towarzystwie Zapobiegania Narkomanii i w naszej organizacji.

Ostrzegamy tych, których choroba ta jeszcze nie dotknęła. Bądźcie uważni, bądźcie ze swoim dzieckiem w jego sukcesach i porażkach. Nie zamykajcie się w problemach swojego dorosłego życia.

Napięliśmy ten list z nadzieją, że spotka się ze zrozumieniem społeczeństwa, a nasze działania z żywiołowością i pomocą. Narkoman to człowiek chory. Spróbujcie tak na niego spojrzeć. Tylko od was zależy, czy wyliczony wróci do normalnego życia.

Być może walczyliśmy też i o Wasze dzieci.

Liczymy, że z pełnym poparciem spotkamy się również w tych instytucjach i organizacjach, które powołane są do walki z narkomania.

**TOWARZYSTWO RODZIN I PRZYJACIÓŁ
DZIECI UZALEŻNIONYCH „POWRÓT Z U”**
Zarząd Główny, 04-850 Warszawa, ul. Ordynacka 9

Informacje o oddziałach wojewódzkich i telefonach Pogotowia Makowego: Pogotowie Makowe, Warszawa, tel. 31-30-11, czynne od poniedziałku do piątku w godzinach 17-19.

SZKOŁA WYŻSZA — TWIERDZA PARADOKSÓW

Do napisania niniejszego listu skłoniła mnie informacja, jaka pojawiła się 26 stycznia 1987 roku w TVP, o przeznaczeniu w 1987 roku 200 mln złotych na stypendia naukowe.

Spośród wszystkich polskich pracowników naukowych, którzy korzystają z jakichkolwiek form stypendiów zagranicznych, przyciągającą większość stanowią pracownicy w wieku emerytalnym. Jest to zjawisko niespotykane w krajach wysoko uprzemysłowionych. Na przykład, w USA i Japonii rocznie umierało się naukowców, którzy nie ukończyli trzydziestego roku życia. Natomiast w Polsce, młody asystent de facto nie tylko nie ma możliwości wyjazdu na zagraniczne studia doktoranckie, ale przede wszystkim podlega nieuchronnej zagładzie intelektualnej wskutek niemożności swobodnego myślenia i działania w wybranej dziedzinie.

Przed rokiem, na Uniwersytecie Łódzkim rektor wydał decyzję o zamykaniu na kłódki maszyn do pisania znajdujących się w podległych katedrach i instytutach. W rok później, w tej samej uczelni, pojawiło się ogłoszenie rektora zabraniające przebywania pracowników naukowych na terenie katedr i instytutów po godzinie dwudziestej pierwszej. Czemu może służyć taka decyzja? Domysłów może być wiele. Jedno jest pewne, na pewno nie służy ona rozwojowi nauki.

W październiku 1986 roku, decyzją władz centralnych, podwyższono pracownikom naukowym w Polsce miesięczne uposażenie. Dziennikarze radiowi i telewizyjni przedcigali się w wymyśleniu przeróżnych audycji poświęconych temu tematowi. Owsem audycje były mnóstwo, ale wszystkie pozbawione były głębszej refleksji i nie udzieliły odpowiedzi na dwa podstawowe pytania. Po pierwsze — czy owa podwyżka poprawiła sytuację materialną pracowników naukowych? Po drugie — jeśli poprawiła sytuację materialną, to czy można mówić o poprawie w odniesieniu do wszystkich pracowników nauki? Odpowiedź brzmi krótko: nie. Młodzi pracownicy w dalszym ciągu borykają się z kłopotami finansowymi oraz mieszkaniowymi.

Ustawa z 4 maja 1982 roku o szkolnictwie wyższym nakłada na młodego pracownika naukowego obowiązek wykonywania medycznej i odpowiedzialnej pracy w komisji rekrutacyjnej zajmującej się naborem kandydatów na pierwszy rok studiów. I proszę sobie wyobrazić, że za dwumiesięczne barowanie, często po dziesięć lub dwanaście godzin dziennie, ów pracownik nie otrzymuje wynagrodzenia. Natomiast studenci, będący członkami ZSP lub ZSMP, lub ZMW, za dwanaście dni obecności, często fikcyjnej, przy egzaminach wstępnych, otrzymują wynagrodzenie w wysokości około pięciu tysięcy złotych.

W polskich uczelniach społeczna praca pracowników naukowych z innych krajów. Oświadczył, że tak ich się przyjęło nazywać, zatrudniani są w naszych szkołach wyższych na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z 10 kwietnia 1986 roku. Na podstawie tego samego rozporządzenia są ustalane stawki ich miesięcznego wynagrodzenia za pracę równą, pod względem stopnia trudności i czasochłonności, pracy polskich naukowców. Ze wspomnianego rozporządzenia dowiadujemy się, że native posiadający tytuł B. A. (mniej niż magister) zarabia więcej od polskiego magistra, native posiadający tytuł M. A. (magister) zarabia tyle, co polski doktor, native posiadający tytuł doktora zarabia tyle, co polski docent etc. Ponadto, owi native z tytułami B. A. nie spełniają wymogu określonego w paragrafie 3. 1. przytoczonego rozporządzenia, który brzmi następująco: „Kwalifikacje osób nie będących obywatelami polskimi, zatrudnianych w szkołach wyższych, powinny odpowiadać kwalifikacjom przewidzianym w ustawie do zajmowania tych stanowisk przez obywateli polskich”.

Wbrew wszelkim przesłankom trzeba tu wyjaśnić, że do Polski przyjeżdżają nie wybitni sławy naukowe, lecz naukowcy czwar-

tej i gorszej kategorii, dla których Polska jest etapem przejściowym lub po prostu ziem koniecznym w ich pracy naukowej.

Pozwól sobie też przytoczyć wypowiedzi gości zagranicznych, którzy z racji swojej pracy naukowej bawili przez dłuższy czas w murach polskich uczelni. Okres pobytu pozwolił im na dokonanie wielu cennych spostrzeżeń, czasami szokujących „nieskazitą” głupota umysł.

Kimura Ichiro — lat 30, fizyk, Japonia: — Od roku jestem w Polsce. W instytucie, w którym pracuję, panuje zła atmosfera pracy. Polega ona na tym, że ludzie za dużo dyskutują a za mało pracują. Organizacja pracy jest również zła. Na wyposażeniu pracowni jest jeden komputer i na dodatek przestarzały. Wydaje mi się, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest: brak budżetu, brak konkurencji oraz brak perspektyw przed ludźmi. U nas w Japonii nie spotyka się takiego bałaganu jaki panuje tutaj. W japońskim instytucie pracuje się demokratycznie, nie tak jak u was, że wszystko trzeba zatwierdzać pisemnie przez szefa, który podejmuje autokratyczne decyzje i nieraz błędne. U nas panuje pełna swoboda myślenia i działania w pracy naukowej”.

Rafael Velazquez — lat 25, chemik, Hiszpania: — Od dwóch lat jestem w Polsce. Najbardziej mnie irytuje to, że w instytucie brakuje odczynników chemicznych i sprzętu laboratoryjnego. Literatura naukowa przychodzi do instytucie z rocznym opóźnieniem. Panuje zła organizacja pracy. Zauważyłem, że u was bardzo często stanowiska kierownicze zajmują ludzie niekompetentni. Przykre i niezrozumiałe jest to, że ludzie zdolni marnują się tutaj. Badania w Polsce robi się na zasadzie „sztuka dla sztuki”, po to tylko, by wykorzystać pieniądze przyznawane przez ministerstwo. W laboratorium panują złe warunki pracy, zagrażające zdrowiu pracownika. W tych warunkach nie sposób lepiej pracować. W beznadziejny sposób dokonuje się zakupu sprzętu, np. kupuje się komputer i drukarkę, a po czasie okazuje się, że oba urządzenia nie mogą za sobą współpracować. Tragedia jest zły stan nauki w naszym kraju”.

John Sherwood — lat 29, lekarz, USA: — Już ponad rok jestem w Polsce. Od samego początku jestem zaskoczony bałaganem, jaki panuje w szpitalu klinicznym podległym Akademii Medycznej. Warunki w szpitalu są skandaliczne, gorsze od tych, jakie panują na przednim campingu w USA. Kuchnia szpitalna nie posiada kompletnie sprzętów. Szpital, pomimo że jest jednym z największych w mieście, nie posiada czytelni i telewizora. Słyszę często skargi lekarzy na niskie zarobki. Z braku bodźca finansowego lekarze nie starają się lepiej leczyć. Wyposażenie szpitala, nawet w podstawowy sprzęt, jest niezadowalające, co mnie dziwi, gdyż szpital podlega Akademii Medycznej i stanowi jej placówkę naukowo-dydaktyczną. Jeśli tutaj się chce być dobrze leczonym, to trzeba dodatkowo płacić lekarzom, pielęgniarkom i salowym. Jestem przekonany, że wydatki związane z leczeniem przedśmiertnego Polaka są większe od tego typu wydatków przedśmiertnego Amerykanina.

W zakończeniu posłużyć się pouczającym i nieoptymistycznym przysłowiem z „Kraju kwitnącej wiśni”: „Baka ni tsukeru kusuri nashi” — żaden lek nie wyjdzie z głupoty.

JAN KAZIMIERZ SIENKIEWICZ

RÓŻE NA KLEPSKU

Przedemną na biurku leży mała paczuszka, która gdzieś zawierzyła się w przepastnych magazynach pocztowych i przeleżała prawie pięć miesięcy. Nadana 15 grudnia 1986 roku listem poleconym z nr 045382 w UPT przy ul. Rzgowskiej 76 w Łodzi. Wrocila do adresata 5 maja 1987 roku. Na odwrocie paczki czytamy: Adresat się wyprowadził. Data 17.XII.1986 r. Podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła z napisem w otoku: UPT Łódź. Dalej na str. pierwszej widać kilka pieczęci okrągłych i adnotacji: ZWROT „Refour” nie podjęto w terminie. Tytuł adnotacji służbowych pracowników poczty.

5 maja br. UPT nr 42 uprzejmie informuje nadawcę, by odebrać paczkę, która znajduje się w urzędzie. Pani kierowniczka zawiąże tłumaczy, że nie mogli odczytać pieczęci nadawcy, w końcu odczytali i przesłali zawiadomienie do jej odbioru. W paczce znajdowały się na szczęście książki za opłatą na podstawie rachunku.

Należność nie została uiszczona w terminie. W ślad poszły pognagania do zapłaty. Wymiana dodatkowych informacji, korespondencji pomiędzy Łodzią a Łodzią. Poczta milczy, co gorsza, nie racy nawet przeprosić za zaistniałe nieporozumienie z jej przyczyny. Cóż, bywa i tak. Natomiast potrafi obrażać się na słuszną i uzasadnioną krytykę. Ile artykułów napisano na powyższe tematy, ile utyskiwań, narzekań i interwencji przewija się w radio, telewizji i prasie na różnego rodzaju placówkach pocztowych, handlowych, usługowych, z którymi na co dzień spotyka się klient, klient i pacjent?

Każde niewłaściwe załatwienie klienta, klienta czy pacjenta niewątpliwie odbija się na jego zdrowiu, samopoczuciu. Narzeka i psoci. Tylko że może uczynić, czasami machnie ręką na wszystko, co wokół niego się dzieje. Nie można pisać, interweniować? Głowa muzu nie przebieżesz! Powoli przyzwyczajamy się do takiego stanu rzeczy. Pełzać kolejki wrosły w nasze codzienne życie.

Od lat obserwuję pracę w pobliskim sklepie spożywczym PSS „Spolem” nr 1012, gdzie czterech ekspedientów na jedną zmianę mają obsługiwać klientów, a zwykłe obsługują dwie. Druga połowa „coś” tam robi na zapleczu sklepu, łącznie z p. kierowniczką i pomagierem. Cztery osoby na zapleczu, a dwie za ladą... Czy można dziwić się, że w sklepie stałe kolejki, od rana do wieczora, w kółko. Jakże mogłoby być inaczej. Lekceważenie klienta, lekceważenie podstawowych obowiązków pracy. Nikt mi nie powie, że wszystko zależy od dyrekcji PSS „Spolem”. Wszystko zależy od organizacji pracy na każdym odcinku, od najniższego szczebla do kierownictwa. Dotyczy wielu zamkniętych okienek na poczcie, PKO, ZUS, PKS i PKP oraz wielu, bardzo wielu innych instytucji i urzędów.

Nie szanujemy drogiego czasu klientów, pacjentów i pacjentów. Nie szanujemy samych siebie. Czasami wystarczą odrobina zdrowego pomyślniku, aby bez większych nakładów materiałowych i finansowych zmienić dotychczasowy styl pracy na bardziej operatywny i efektywny. Trzeba tylko chcieć. Są to na pozór drobne sprawy, lecz zbyt dokuczliwe na dalszą metę.

Następny obrazek wyjęty z życia. Wyglądam przez okno. Grupa „speców” od klienta ze Spółdzielni Mieszkaniowej „Zarzew” sadi przed blokiem róże. Pół godziny pracy i kilka godzin odpoczynku na klatce schodowej. W środe było ich dwóch, zasadzili ok. 100 róś. Natomiast w piątek zjawił się ponownie około godziny 11, w pięciu. Pokopali, wbiili szpadle w ziemię i odpoczywali. Widocznie nudziła ich ta praca. Trzech z nich kopało małe skrawki ziemi, cwarzy przycinał róże, a piąty sadził. Skończył około godz. 13. Zalałowali pozostałe róże i szpadle na taczce i przeszli na odpoczynek po „ciężkiej” pracy do pobliskiej cukierni, jako że piwiarni na osiedlu nie ma.

W związku z tym nasuwa mi się kilka pytań pod adresem administracji Spółdzielni Mieszkaniowej „Zarzew”:

W jaki sposób rozlicza swoich pracowników z powierzonych zadań? Jak na dniówkę, to pracy efektywniejszą akurat starczyło najwyżej na 1-2 godzin. Jeżeli na akord? To jest on przestarzały, nieadekwatny do włożonego wysiłku pracy. I pytanie ogólne w imieniu członków Spółdzielni Mieszkaniowej „Chojny”: Czy w dobie drugiego etapu reformy gospodarczej w dalszym

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

ciagu mamy pokrywać wszelkie koszty związane z brakiem właściwej organizacji pracy, brakerobstwem i bałaganem statowych pracowników spółdzielni? Składają się na to miliony złotych w skali rocznej. Wszakże liczy się rzetelna, uczciwa praca, a nie przelewanie naszych spółdzielczych pieniędzy z rączki do rączki, z jednej spółdzielni do drugiej!

Róże zostały zasadzone dosłownie w „klepisko”. Czy wszędzie?

JAN WISNIEWSKI

WSPOMNIENIA WŁOZIMIERZA SKOCZYŁASA

Inwalidzi wojenni, byli więźniowie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Dachau zrzeszeni w naszym Oddziale ZIW, zwracają się z uprzejmą prośbą o dalsze drukowanie na łamach Waszego poczytnego pisma wspomnień b. więźnia tego obozu kol. Włodzimierza Skoczyłasa.

Dotychczasowe odcinki wspomnień (z Radogoszcza) są naszym zdaniem nie tylko ciekawie napisane, ale przede wszystkim świadczą prawdę o tych czasach — uczą młodzież historii z okresu okupacji hitlerowskiej, podają fakty.

Nam samym przypominają zdarzenia, które bądź zatępiły się nieco w pamięci, bądź też nie wszystkim są znane. Z tych względów, jako czytelnicy Waszego popularnego tygodnika, prosimy o wznowienie wspomnień naszego kolegi.

W imieniu zrzeszonych u nas członków b. więźniów KL Dachau

SYMFORIAN WARTECKI

Z-ca prezesa Zarządu Oddziału Łódź-Polecie ZIW

REDAKTOR DZIURNY: — Z Włodzimierzem Skoczyłasem jesteśmy w stałym kontakcie i będziemy publikować jego dalsze wspomnienia. W najbliższym czasie ukaże się fragment wspomnień z lat pięćdziesiątych.

Z RYNKU

W wyjaśnieniu notatki prasowej zamieszczonej w Odbiosach z dnia 11.04. br. dotyczącej baru bistro „Piccolo” uprzejmie informujemy co następuje.

Bar Piccolo jest małą placówką gastronomiczną. Brak zaplecza produkcyjnego, niewielka sala konsumencka oraz rodzaj placówki przewidują wąski asortyment potraw dla wymienionego baru. Aby zachęcić konsumentów do korzystania z usług gastronomicznych w Piccolo oferowane są w szerokiej gamie potraw: gorące (produkowane we Fryskach), zestawy śniadaniowe, zimne zakąski itp. Kierownik baru oświadcza, że podawane konsumentom potrawy są zawsze świeże i dobrej jakości.

W związku z tym, że w pobliżu nie ma zakładu gastronomicznego z alkoholem, zdarza się, że konsumenci wnoszą swój alkohol lub przychodzą już nietrzeźwi do Piccola. W takich przypadkach personel baru ostro interweniuje i kategorycznie nie zezwala na spożywanie wnieśionego alkoholu. Wiadomo, że praktyki powyższe stosowane są przez tzw. „element społeczny”, z którym jakkolwiek walka jest często bezskuteczna.

Pagniemy zapewnić, że placówka ta zostanie otoczona szczególnym nadzorem ze strony służb branżowych, aby do minimum wyeliminować istniejące nieprawidłowości.

Jednocześnie informujemy, że kierownika zakładu zobowiązano do dopilnowania ładu i porządku na sali konsumenckiej baru bistro Piccolo.

MONIKA PEREK

Prezes Zarządu Oddziału Gastronomii



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

21 maja — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10—16

25 maja — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10—16

26 maja — JOLANTA WROŃSKA — godz. 10—16

28 maja — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16

Reporterszy „Odbiosów” oczekują pod numerem 36-77-70 na telefon od Czytelników. Już możemy powiedzieć, że nasza akcja chwyciła. Czytelnicy dzwonili w różnych sprawach. Część z nich chciała podyskutować z konkretnym autorem i tą okazję im stwarzaliśmy.

„Kupiliśmy” również kilka tematów, które podpowiedzieli nam Czytelnicy. Pierwszy, o metodach traktowania klientów przez Plotkowską Fabrykę Mebli, opisał w felietonie „Gdzie pracuje Kowalski?” Andrzej Karol w 20 numerze „Odbiosów”. Nad innymi, np. sprawą Czytelnika z Kuluszek, który ma kłopoty z uruchomieniem własnego zakładu oraz problemem, z którym boryka się grupa społeczników ze Zgierza, pracują już nasi reporterszy.

Spora grupa Czytelników dzwoniła do nas z prośbą o pomoc w drobnych sprawach, z którymi nie mogli sobie poradzić. Podpowiadaliśmy Czytelnikom, gdzie powinni interweniować, przepraszać jednocześnie, że nie jesteśmy w stanie zająć się szczegółowo ich kłopotami.

Natomiast nie chcemy pomóc pani A. B., która pragnie Kłuski wysłać syna na obóz do NRD. Pani A. B. może wroczyć „załatwić” mu obóz na Węgrzech i w Czechosłowacji, ale syn uparł się na NRD. Takimi sprawami nie będziemy się zajmować.

REDAKTOR DZIURNY

Czytelnicy i miłośnicy współczesnej literatury radzieckiej z uwagą śledzą otwarcie na polityce kulturalnej ZSRR, które jest następstwem generalnej przebudowy jaką przeżywa ten kraj pod przywództwem Michaiła Gorbaczowa. Każdy kolejny numer tygodników i miesięczników wydawanych w ZSRR przynosi teksty publicystyczne, kulturalne i artystyczne, które są natychmiast komentowane i omawiane w depeszach informacyjnych największych agencji całego świata. Także „Odgłosy” od wielu miesięcy, z myślą o swoich czytelnikach, starają się nie pomijać niczego ze współczesnej rzeczywistości Kraju Rad.

Lenin (dyktuje): „Do wszystkich organizacji RSDRP (bolszewików), do wszystkich Rad pułkowych i armijnych. Dekret o pokoju uchwalony przez Drugi Zjazd Rad wskazał narodom drogę wyjścia z wojny przez podpisanie demokratycznego pokoju bez aneksji i kontrybucji. Anglo-francuska i amerykańska burżuazja nie przyjęła naszej propozycji, nie chciała nawet rozmawiać o powszechnym pokoju. W tych warunkach byliśmy zmuszeni do separatystycznych układów z Niemcami zostawiając otwarte drzwi dla państw Ententy, Niemcy, którzy zwyciężają na froncie wschodnim, a ponoszą porażki na zachodnim, zgodzili się z zasadami demokratycznego pokoju — bez aneksji i kontrybucji — ale pod warunkiem przyznania tych zasad przez państwa Ententy. Jednakże 27 grudnia, zrozumiałeś ostatecznie, że Ententa do negocjacji nie przystąpiła, niemiecka delegacja odrzuciła wszystkie warunki traktatu pokojowego, zaczęła rozmawiać z nami językiem zwycięzców. Zostały przedłożone nam w kategoriach ultimatum następujące żądania: uznać podbój Polski, Litwy i części Białorusi przez Niemców, usunąć nasze wojska z Estonii i Łotwy, odcisnąć Ukrainę, wypłacić Niemcom tryzylionową kontrybucję. W przeciwnym razie — wojna! Proszę rozważyć zaistniałą sytuację, zasięgnąć zdania mas, przedstawić własne propozycje i skontaktować się z nami. Przewodniczący Sowmarkomu Ułanow-Lenin”. (Do telegrafisty) Dziękuję. (...) Stalin: Według mnie, Gorkiego po prostu na amen wciągnęli archiwa. No, cóż, wolna wola. Rewolucja nie potrafi żałować ani ukrywać swoich nieboszczyków. Bucharin: Koba, ostrożnie na zakrętach. O Gorkiego należy walczyć, w przeciwnym razie — wybacz — możemy roztrwonąć ogromne bogactwa. Stalin: Gorki — bogactwo! Jeżeli się utrzymamy, znajdą się inni. U nas w Gruzji mówią: jeśli w domu nie ma psa, należy zmusić kota do szczekania. Bucharin: No, wiesz... Nie lepiej mieć psa? Stalin: Neguję, Nikołaju, twoja mięczakowatość zasad. Na tym byłym proletariackim świecie należy postawić krzyżyk, potrzebować i nie pocieszać się iluzjami. Właściwie i panek Blok mógłby znaleźć wyrażenia bardziej zjadliwe. Bucharin: Opatulaj się! Czy ty rozumiesz, co znaczą takie słowa w ustach autora „Nieznajomej”? Swierdłow: Już na trzech dzień otrzymałem przepisywane wydanie Bloka. Jakaż muzyka w tych wierszach! Stalin: A dlaczego ja nie mam? Jakubie Michajłowiczu nie dacie bodaj przekartkować? Bucharin: Jakub, oddaj mi na zawsze. Koba przecież nie będzie mógł żyć, jeśli nie ma czegoś, co posiada ktoś inny. On tego nie ścierpi. Stalin: Chcę wiedzieć wszystko. Jakub Michajłowicz to potwierdzi: w Turuchansku, gdzie odbywaliśmy zyskę, na kulturę nie było czasu. Bucharin: Trzeba było się uczyć w gimnazjum. Stalin (uśmiechając się rozkłada ręce): Do gimnazjum nie chodziliśmy. A w seminarium duchownym i później nad Bloka przedkładałem Marksa. I w karczerze za Marksa posiedzieć nie było żal. Tak więc jest wykształcenie klasyczne i samouctwo. Stoję po stronie tego ostatniego. Aleksandra Michajłowna Kollontaj (wychodząc zza kulis): Nie spóźniłam się? Posłuchajcie, jaki jest dziś zadziwiający wieczór — w sali tańczą walc i polkę — motylka, wszyscy są radośni, podnieceni... Dawno takim nie widziałem Smolnego... Chyba jedynie 26 października... Jak szybko mijają dni... Już istniejemy 68 dni. Gratuluję! Bucharin: Aleksandro Michajłowno, proszę nie odwracać uwagi. Prowadzimy z Koba dyskusję o wyższości seminarialnego wykształcenia nad gimnazjalnym. A propos gimnazjum. O 9 rano ktoś stukł do drzwi. „Proszę wejść”. Wchodził pan po siedemdziesiątce. Twarz znajoma, ale kto taki, nie wiem. „Pan Bucharin, redaktor bolszewickiej „Prawdy”? „To ja”. „Czytałem dwa razy waszą gazetę i mam pytanie: Czy pan nie jest ten sam Bucharin, który uczył się w Pierwszym Moskiewskim Gimnazjum”? „Tak, ten sam”. „Wobec tego rozumiem dlaczego wasza gazeta i cała wasza szajka prowadzi Rosję ku zatrości: że zadatkami miał pan już w siódmej klasie”. Otworzyłem usta: przecież to dyrektor naszego gimnazjum! Stalin: Coś ty narozrabiał w tej siódmej klasie? Bucharin: Podrzuciłem proklamację do pokoju nauczycielskiego. A on zebrał w sali całe gimnazjum, mnie na środek i tak zakończył: „Żeby pańska noga tu więcej nie postawiła”. Włec ja spokojniutko stanąłem na rękach i wyszedłem z sali. Wszystkich nauczycieli szlag trafił, a ten przeżył. Stalin: Oj, oj, oj, taki wspaniały początek i takie nędzne zakończenie: nie nie potrafił odpowiedzieć dyrektorowi. Bucharin: Pogubiłem się. Stalin (mrużąc oczy do zebranych): To dlatego, że nie potrafisz już chodzić na rękach. To są fakty, a fakty, rzecz uparta. Bucharin: Zaktąd? Stalin: Zgoda. Nie zrobisz i dwóch kroków. Tylko gdzie? Bucharin: Tu i teraz. Kollontaj (śmiejąc się): Towarzysze, jesteście członkami rządu, to przecież niepoważne... Koba, nie drocz się, uwierz na słowo... Stalin: Nigdy. O ile ja, jak twierdzi Bucharin, jestem człowiekiem zazdrośnym o każde-

co warto jest przybliżyć, komentarza czy swobodnej informacji. W tym cyklu znajdują się też utwory stricte literackie, których przekłady — choć we fragmentach — chcemy na łamach tygodnika drukować. Pośród nich jest właśnie najnowsza sztuka teatralna, opublikowana w 4 numerze miesięcznika „Nowyj Mir” z tego roku, zatytułowana „Pokój brzeski”. Jej autor Michaił Filipowicz Szatrow (ur. w 1932 roku) jakby specjalizujący się w pisaniu historyczno-dokumentalnych dramatów o początkach Związku Radzieckiego znany jest dobrze także polskiej publiczności teatralnej. Jego „Bolszewicy”, sztuka powstała w 1968 roku grywana była w naszych teatrach nie bez sukcesów. Znany jest też w Polsce

go, kto wie lub umie więcej niż ja, chcę przeto się nauczyć. Do pełnego rewolucyjnego wykształcenia brakuję mi właśnie umiejętności chodzenia na rękach. Bucharin: Przegrasz — i przecież nie oddasz. No, dobrze. Aleksandra Michajłowna będzie świadkiem. Kollontaj: Idźcie Włodzimierz Lenin. Bucharin: Chodźmy (staje na rękach i w a-syście Stalina wychodzi za kulis). Lenin: W sali tańczą walc. Na froncie, wyobraźcie sobie, także. Przed chwilą donieśli mi z Dwinska: nasi żołnierze bratają się z Niemcami i tańczą walc w strefie neutralnej. Oto macie pierwsze walce osiemnastego roku. (...) (Wraca Bucharin i Stalin) Kollontaj: Kto wygrał? Stalin: Nie powiem. Na to pytanie niech odpowie historia. Lenin: I tak nakłamią. Dzierżyński (za kulisami): Wszystkiego najlepszego z okazji nadejścia osiemnastego roku, drodzy towarzysze! A także z okazji 69 dni naszej władzy. Do rekordu Komuny Paryskiej zostało niewiele: raptem dwa dni. Lenin (uśmiechając się): Dzierżyński liczy... Przyznam się, że także liczyłem... Swierdłow (stojąc przy telefonie): Towarzysze, lewi esery odbywają posiedzenie nadzwyczajne CK. Omawiają niemieckie żądania. Wychodzi, że chcą więcej, niż przypuszczano. U-niżenie proszą o wybaczenie i o przełożenie posiedzenia rządu na jutro. Lenin: Zgadząmy się, tym bardziej, że nowy rok tuż tuż. Bucharin (spojrzawszy na zegarek): Zostały zaledwie minuty. Lenin: A więc, towarzysze... (wszyscy się zbliżają) Zanim złożę wam życzenia, chcę życzyć nam w nowym roku byśmy popełnili o wiele mniej głupstw niż zrobiliśmy ich w roku minionym. (...) Lenin: Czy jest odpowiedź na nasze pytanie o Brześciu? Swierdłow: Cały potok. Przytłaczająca większość jest przeciw niemieckim żądaniom i za wojną rewolucyjną. Oczywiście, są to poglądy komitetów i ich przywódców. Lenin: To rozumiałe. Trzeba by wybać opinie dołów. Sidorenko (wychodząc zza kulis): Włodzimierzu Iljczu, jeśli pozwolicie, podam śniadanie do gabinetu. Lenin: Będę wdzięczny. Mam tu jedyną możliwość spotkać towarzyszy. Dziękuję. (Do Swierdłowa): Dawno byliście u Bucharinów? Swierdłow: Wczoraj. Przywiołem profesorów. Lenin: I co? Swierdłow: Są bezradni. Przepowiadają całkowitą paraliz. Lenin: Ona wie o tym? Swierdłow: Domyśla się. Lenin: A co na to Nikołaj Iwanowicz? Swierdłow: Jest mu ciężko. Denerwuje się i gniewa, kiedy go o to pytają. Lenin: Jak możemy pomóc? (...) Lomow: Jeśli Nikołaj dobrze go zrozumiał i on skłania się ku pokojowi, to będzie to brzemienne w skutki... Przecież to kapitulacja na całym froncie. Robotnicy nas nie rozumieją. Bucharin: On odpowie ci na to: „Jeśli prawdziwość, uczciwie wyjaśnimy — zrozumieją”. Lomow: Zrozumieją naszą ugodę z niemieckim imperializmem? A co mówiliśmy wczoraj? Świat narodów przeciwko światu władzy! Bucharin: Wczoraj — prawidłowo, dziś — nie. To jest abecadło. Lomow: Wybacz, zgadzam się, że tak może być: wczoraj — prawidłowo, dziś — nie, ale nie w stosunku do marksizmu. Bucharin: I uszykowałbyś od niego odpowiedź: „Do marksizmu przede wszystkim! Marks nie może już dalej rozwijać marksizmu, my — powinniśmy”. Lomow: Nie pojmuję cię: co to, zgadzasz się z nim? Bucharin: Trzeba przedkładać poważne dowody. Dzierżyński: Towarzysze, to wszystko nie mieści mi się w głowie. Po tym wszystkim, cośmy przeżyli, że co przelaliśmy tyle krwi, teraz nam proponuje się abyśmy spokojnie przyglądali się jak w Polsce, na Litwie, Ukrainie znowu pojawiają się baronowie i dziedzice! Jak będą likwidować Rady? Jak będą wieszać naszych towarzyszy? Już lepiej palnąć sobie w łeb! Nikołaju, możeś go źle rozumiał? Może przejęczył się? (...) Trocki (dyktuje): „Trocki pyta Lenina, czy otrzymał jego ostatni list. Konieczna jest natychmiastowa odpowiedź. Winna ona zawierać słowa: „zgadzamy się” lub „nie zgadzamy się”. Lenin (dyktuje): „Przy aparacie Lenina. Przed chwilą otrzymałem wasz specjalny list. Stalina nie ma, więc nie mogłem mu go pokazać. Wasz plan wydaje mi się być dyskusyjnym. Czy nie można trochę odłożyć realizację i przyjmując ostateczną decyzję po nadzwyczajnym posiedzeniu CK? Jak tylko wróci Stalin pokażę mu list. Lenin”. Trocki (dyktuje): „Decyzję postaramy się wprowadzić w życie jak najpóźniej czekając na wiadomość od was. Jednak pospieszcie się. Delegacja Rady Kijowskiej prowadzi jaw-

ny jego dramat pod tytułem „Szósty lipca” (1964), który następnie stał się kanwą dla filmu o takim samym tytule. „Pokój brzeski” to bardzo interesująca inscenizacyjnie i tematycznie sztuka składająca się z dwóch aktów, w których dramaturg w sposób dokumentalny sposób rekonstruuje dyskusje i spory czołowych przywódców partii bolszewików wokół decyzji podpisania bądź odrzucenia ultimatywnego i szczególnie niekorzystnego traktatu pokojowego wymuszonego na Rosji przez Niemcy i Austro-Węgry na przełomie 1917 i 1918 roku. Ten dramatyczny moment w kształtującym się dopiero od kilkunastu tygodni rewolucyjnym państwie stał się

w sztuce Szatrowa impulsem do przedstawienia różnych postaw, idei i intencji co do teraźniejszości i przyszłości rewolucji. W sztuce na ścieżce składającego się z robotników, chłopów i żołnierzy występują m. in. takie postaci historyczne jak Swierdłow, Stalin, Bucharin, Trocki, Zinowiew, Kollontaj, Dzierżyński, Krupskaja, Urieki, Gorki i Blok. Postacia główna dramatu jest Lenin, który nieomal wbrew wszystkim wpływowym przywódcom Rosyjskiej Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej bolszewików musi oto podjąć decyzję o traktacie z Niemcami. Musi jednocześnie przekonać wszystkich

nie zdradziecką politykę. Omawianie planu w CK wydaje mi się trochę nieuzasadnione, gdyż może to wywołać reakcję na przebieg realizacji planu. Trocki”. Lenin: (dyktuje): „Odpowiedź Trockiemu: Zanim odpowiem chcę porozmawiać na ten temat ze Stalinem”. Trocki (dyktuje): „Czekam, Trocki”. (...) Telegrafista (do Lenina): Jest łączność. Lenin (dyktuje): „Przed chwilą przyjechał Stalin, omówimy z nim wszystko i natychmiast prześlemy wam naszą wspólną odpowiedź”. Stalin (kontynuuje): Takie są fakty, a fakty, to rzecz uparta. Biorąc pod uwagę to, co powiedziałem oraz okoliczność, że Rada Kijowska ledwie dyszy i nie stanowi już żadnej siły politycznej oraz że za naszymi plecami w Brześciu prowadzi zdradzieckie rokowania, proponuję by w przyszłości z tą tak zwaną Radą nie wchodzić w żadne układy, ale wypowiedzieć jej bezapardonową walkę aż do całkowitego zwycięstwa Rady Ukrainy. Lenin: Teraz proszę przeczytać to. (podaje

Lenin: Nie, to świadome obnażenie sedna sprawy. Trocki (starając się uniknąć odpowiedzi): W końcu, dlaczego wierzymy temu telegramowi? Jestem przekonany, że to niemiecka prowokacja. Natychmiast złożę protest przez radio. Lenin: Chcecie odejść? No, cóż... Rozmawiać nie mamy o czym, rzeczywicie. Będziemy rozmawiać w Centralnym Komitecie. (...) Swierdłow: Towarzyszu Trocki, zapoznał się z dekretem o powołaniu armii? Włodzimierz Iljczu prosił abym zapytał wszystkich członków CK i Sowmarkomu o uwagi i uzupełnienia do dekretu, które mogłyby się w ostatnim czasie. Trocki: Tylko jedno. (wyjmuje z kieszeni dekret). Nie można budować armii bez represji. Nie można prowadzić ludzkich mas na śmierć nie mając w arsenale kary śmierci. Powinniśmy zawsze ustawiać żołnierzy pomiędzy możliwością śmierci od przodu, a nieuchronną śmiercią z tyłu. Swierdłow: Nie będziemy budować armii na

Najnowsza sztuka teatralna znakomitego dramaturga radzieckiego. Informacje o jej publikacji podały wszystkie światowe agencje.

Pokój brzeski (Fragmenty)

MICHAŁ SZATROW

list Trockiego). Żołnierze, który to przywiózł ma bardzo ciekawą informację. Mimo to myślę, że Trocki winien przerwać rokowania, przyjechać tutaj i wtedy o wszystkim zdecydować. Stalin (oddając list): Zgadząmy się z wami, Włodzimierzu Iljczu. Nie wszystko jeszcze polujemy, ale nie wchodząc w sedno sprawy, po prostu wierzę w was Włodzimierzu Iljczu. Lenin: Ja nie chcę byście wierzyli we mnie. Ja chcę byście mnie rozumieli. Stalin: Postaram się poprawić. A za niefortunne słowo, Włodzimierzu Iljczu, przepraszam. Lenin (dyktuje): „Przeżycie Trockiemu. Proszę przerwać i przyjechać do Pitra. Lenin, Stalin”. (...) Lenin: Tak więc, eksperyment, który tak bardzo chcieliście przeprowadzić, został dokonany. Zadzwoniony? Trocki: Nie, Włodzimierzu Iljczu, eksperyment jeszcze się nie zakończył. Wszystko są to słowa. Trzeba zezwolić Hoffmannowi na autentyczny atak. Lenin: Jakże to tak? (wstrząśnięty, nie wierzy własnym uszom). Chcecie grać dalej? Przecież oznacza to utratę Dwinska, ludzi, artylerię... Komu to jest potrzebne? Trocki: Oczywiście będą nowe ofiary. Lecz bezwzględnie trzeba, by żołnierze niemieccy autentycznie, w boju wkroczyli na ziemię rosyjską. Trzeba by o tym dowiedzieli się Niemcy, angielscy i francuscy robotnicy. Dowiedzieli się jako o fakcie, a nie jedynie o zagrożeniu... Lenin: A nie pomyśleliście o tym, że w tej chwili operacje nie jakimś wymagowanym wielkościami, a ludzkim życiem? Pomyśleliście o tym, że za każdą minutę zwłoki, za każdą minutę naszego wspólnego odwiekiania naród płaci mógłami? Trocki: Włodzimierzu Iljczu, w takiej sytuacji... Lenin (z gniewem): Właśnie w takiej sytuacji! Tylko w takiej! Nie rozumiecie, że dalsza zwłoka gubi rewolucję, ja za to rozumiem to doskonale! Trocki: Jeśli poszliśmy na ten eksperyment, to należy doprowadzić go do końca! Lenin: To wy poszliście na ten eksperyment, towarzyszu Trocki, to wyście postawili nas przed faktami dokonanymi, choć dawaliście mi słowo, a teraz nie chcecie widzieć, czym ten eksperyment się zakończył. Nie chcecie, mimo realnych faktów. Trocki: Nie widzę tych faktów. Lenin (podając telegraficzną taśmę): A to co? Trocki: To tylko papier. Po co w takim razie ogradzaliśmy ten cały naród? Jedynie autentyczny atak Niemców daje nam odpowiedź na wszystkie pytania. Lenin (wstrzymując wybuch gniewu): No, dobrze. Gdyście przyjechali po raz pierwszy, zapytałem: „A co, jeśli Niemcy wznowią wojnę?”. Odpowiedzieliście: „Wówczas będziemy zmuszeni podpisać pokój”. Co więc przeskądza wam uczynić to teraz? Urażona ambicja? Zostawcie to, towarzyszu Trocki, czy wypada politykowi liczyć się z ambicjami, kiedy ma w ręku losy milionów? Trocki: Towarzyszu Lenin, pomijam ten ważny słów, ale chcę odpowiedzieć, że rozmowa dotyczyła nie ustnego ultimatum, a faktycznej ofensywy armii niemieckiej. Lenin: To znaczy, że potrzebne są wam ofiary? Bez nich nie uwierzyć w realność niemieckiej ofensywy? Trocki: To demagogia.

strachu. Mimo to przekazę waszą uwagę Włodzimierzowi Iljczowi. Dzierżyński: Nad Dwinskimi pojawiły się samoloty. Jest oczekiwany atak na Rewal. Z zachodniego frontu, z Francji, na nasz front zostały przerzucone cztery dywizje. Niemcy przez radio ogłosili, że biorą na siebie ochronę cywilizowanych krajów przed zarządem Wschodu. Swierdłow: Towarzysze, otwieram posiedzenie Centralnego Komitetu. Proponuję ograniczyć się do jednego tematu: wysłać czy nie wysłać telegramu ze zgodą na pokój na warunkach wczorajszych. Najpierw pozwólcmy się wypowiedzieć za i przeciw. Potem zdecydujemy. Przeciwno wysłaniu telegramu głos ma towarzyszy Trocki. Trocki: Towarzysze, dopiero teraz masy zaczynają trawić to, co się dokonuje. Podpisanie pokoju wywoła jedynie zamęt w naszych szeregiach. To samo można powiedzieć o Niemcach, którzy sądzą, że my czekaliśmy tylko na ich ultimatum. Być może liczą na efekt psychologiczny. Trzeba więc koniecznie poczekać na wrażenie, jakie to wywrze na klasie robotniczej w Niemczech. Tam przerwanie tej wojny spoiłoby się z radością, nie jest więc wykluczone, że atak niemiecki wywoła w Niemczech wybuch. Powtarzam, trzeba poczekać na efekt i wtedy zaproponować pokój. Jeśli oczywiście Niemcy sami go nie zaproponują. Lenin: Jestem zdecydowany na posłanie telegramu teraz, natychmiast, dopóki jest jeszcze czas. Starczy przypuszczeń, starczy fantazjowania, trzeba opierać się na realności, a te są gorzkie. Niemcy nacierają nie tyle dlatego, by rozwiązać problemy terytorialne, ile dla obalenia władzy radzieckiej. Pomyślcie o tym. Dłż bezczynność — to śmierć. Swierdłow: Głosujemy. Kto jest za tym, by wysłać telegram? Lenin, Swierdłow, Smilga, Zinowiew, Stasowa, Sokolnikow — sześć osób. Kto przeciw? Trocki, Dzierżyński, Bucharin, Joffe, Urieki, Lomow, Krestinski — siedmiu. Projekt odrzucono większością jednego głosu. Będziemy zatem czekać na rozwój sytuacji. Lenin: Która może nas zgubić (wychodzi). Swierdłow: Towarzysze, proszę nie rozchodzić się. Jest godzina dwunasta. Jak tylko nadejdą pierwsze depesze, od razu zaczniemy kontynuować posiedzenie Centralnego Komitetu. (...) Komisarz: „Piotrogród. Smolny, do Lenina, Krylenki. Niemieckie wojska przeszły do natarcia. W Dwinsku panika. Armia ucieka w popłochu. Rada Komisarzy armijnych podjęła decyzję oddać Dwinsk”. Officer: „Smolny, do Lenina, Krylenki. Oddziały 5 armii w beładzie cofają się ku Reżyci i Drissie. 12 armia broniąca podejścia do Piotrogradu w trzech czwartych samowolnie porzuciła pozycje i wycofała się”. Bolszewik: „Smolny, do Lenina, Krylenki. Front tonieje z minuty na minutę. Potrzebny jest natychmiastowy pokój za każdą cenę. Mianikow”.

Swierdłow: Natarcie trwa. Pod Narwą i Pskowem trwa bohaterski opór naszych oddziałów, ale... Lenin: To obraz przyszłej armii, która kiedyś jeszcze zadziwi świat, ale dzisiaj — to kropka w morzu. Swierdłow: Istnieje realne i z każdą chwilą nasilające się niebezpieczeństwo dla Piotrogradu. Dekret „Socjalistyczna ojczyzna w niebez-

o konieczności takiej decyzji, od której zależało być albo nie być rewolucji. Zachodnie agencje prasowe zbulwersowane były przede wszystkim nazwiskami jakie w sztuce Szatrowa się pojawiły. Myślę, iż ważniejsza w tym dramacie jest to, co można byłoby nazwać rewolucyjnym pragmatyzmem Lenina — strategią, której obce były ideologiczne frazesy i idealistyczne utopie. A taki leninowski punkt widzenia staje się zasadniczym wspornikiem obecnego przemian w Związku Radzieckim.

pieczeństwo" wydaliśmy na oddzielnych ulotkach i teraz są one rozłożone do wszystkich rejonów.

Lenin: Jeśli nie uczynimy odważnych wysiłków dla zrobienia z tego kisleu czegoś twardego, to padniemy. Do dekretu trzeba dołączyć odrębną informację o Piotrogrodzie. Z Piotropawłowski należy dostarczyć do Smolnego wszystkich aresztowanych carskich generałów. Zaproponujemy im pracę przy obronie. Do wieczora trzeba postawić na nogi cały robotniczy i żołnierski Piotrogrod.

Swierdłow: Dziś w „Nowej Ziemi” Gorki wydrukował artykuł wzywający do obalenia władzy radzieckiej.

Lenin: Wybrał dobry moment. Od redakcji? Swierdłow: Nie, podpisał Suchanow.

Lenin: No, cóż, artykuł Suchanowa, to logiczne zakończenie całej tej linii Gorkiego. Och, jak mu będzie potem niewesoło o tym wszystkim wspominać... Gazetę zamknąć. Suchanowa pod sąd! A Lunaczarskiego poprosić, by napisał artykuł o Gorkim. Właśnie teraz. Jest pisarzem proletariackim z ducha i z pochodzenia. I może istnieć jedynie jako pisarz proletariacki. Niczego nie zaciemniać, ale i drzwi nie zamykać. Na naszym świecie narodów najbardziej pożądaną osobą będzie Gorki. Kiedy możemy oczekiwać odpowiedzi od Niemców?

Swierdłow (spoglądając na zegarek): Już możemy czekać.

Lenin: Nie będa się spieszyć.

Swierdłow: Nie śpić już trzecią dobę...

Lenin: Zaraz wyjdę na powietrze, trochę się otrzeźwię.

(...)

Stalin: Co tam?

Bucharin: Warunki są tysiąc razy gorsze niż były jutro o siódmej rano oczekują od nas odpowiedzi.

(wchodzi Lenin).

Swierdłow: Ultimatum.

Lenin: A co w Niemczech? Są wiadomości? Swierdłow: Wszystko po staremu.

(wchodzi pozostała członkowie KC, siadają) Towarzysze, będziemy musieli zdecydować, siłą rzeczy, o losie naszej rewolucji. Uważam za swój obowiązek przypomnieć wam o tym. A więc, przyjmujemy ich warunki czy nie?

Bucharin: Oddać połowę Rosji czy nie? Śmiesznie jest o to nawet pytać. Nie lepiej dla nas wszystkich, jak tu jesteśmy, wyjść na plac przed Smolny i na oczach robotników popłynąć samobójstwem? W każdym razie będzie to uczucie!

Swierdłow: Wciąż jakie się wyście!

Bucharin: Zebrać wszystkie siły w jedną pięść i uderzyć jak należy! To jest odpowiedź rewolucjonistów na bezczelność imperialistów.

Lenin (wybuchając z niezwykłą siłą): Dosyć! Dosyć! Nie wytrzymam nawet sekundy dłużej! Dosyć zabawy! Ani jednej sekundy! Dla walki rewolucyjnej jest potrzebna armia — ale jej nie ma. Dla rewolucji potrzebny jest pokój — i pokój może być! Polityka rewolucyjnych frazesów skończyła się. Skończyła się, towarzyszu Bucharin! Jeśli ta polityka będzie kontynuowana, to ja niezwłocznie rezygnuję z rządu i z Centralnego Komitetu i jadę do mas. Ale rewolucyjnej słownej prostytucji nie ścierpie! To wszystko. Pokornie proszę przyjąć moją rezygnację.

(Zapada milczenie. Wszyscy są wstrząśnięci. Milczenie trwa długo).

Trocki: Towarzysze, wysłuchaliśmy oświadczenia Włodzimierza Ilicza. Co o tym można powiedzieć? Racje Włodzimierza Ilicza nie są dla mnie przekonujące. Gdybyśmy byli jednomyślni, moglibyśmy się bronić i zrobilibyśmy to najlepiej. Można i nadal sprzeciwiać się Włodzimierzowi Iliczowi. Ale nie o to chodzi. Potrzebna jest maksymalna jednomyślność. Tego nie ma i dlatego ja nie wezmę na siebie odpowiedzialności, by głosować za kontynuacją wojny.

Stalin: Myślę, że pokoju można nie podpisywać, a z wyjątkiem rozpocząć pokojowe negocjacje.

(...)

Swierdłow: Towarzysze, członkowie Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego! Dla waszej decyzji stawia się jedno pytanie: czy przyjąć nowe warunki pokoju? Biorąc pod uwagę ważność powyższego dla losów rosyjskiej i światowej rewolucji i pragnąc podkreślić odpowiedzialność każdego członka, WCKW postanowiło głosować imiennie. Proszę członka WCKW, którego wywołam, by podszedł do trybuny i głośno, wyraźnie oświadczył swoją decyzję. Zaczynamy, towarzysze.

(...)

(za natychmiastowym podpisaniem układów pokojowych z Niemcami głosowało 116 osób, przeciw — 85, wstrzymało się — 26. Trocki opuścił salę przed rozpoczęciem głosowania).

Wybrał i przełożył:
EU. IWA.

Pięknie jest na Champs Elysées. Policja ciągle w stanie gotowości. „Akcja bezpośrednia” w akcji. Śladami paryskiej legendy. Artysty zawsze wierzą w swój sukces, bo są artystami. Łódzianin, który się dorobił. Francuzi wiedzą, co jest dobre i jak żyć.

W Paryżu między legendą i terrorystami

MAREK BRZEZIŃSKI

Jest wieczór. Jarzą się światła ulicznych lamp, migocą różnokolorowe reklamy kawiarni, sklepów, kin wyświetlających najnowsze przeboje światowe. Żółte światła samochodów wirujących wokół Łuku Tryumfalnego.

SPACER PO CHAMPS ELYSÉES

Idziemy wolno wzdłuż tej „najsłynniejszej promenady świata”, w uszach brzęczy melodia słynnego niegdyś przeboju o tym, jak to się tutaj właśnie spaceruje. Anna nie przeszkadza mi w empirycznych studiach nad znanym z przewodników obiektem turystycznym, tylko zezuje na mnie jak też mi się tutaj podoba.

— Spójrz na okna mieszkań od pierwszego piętra w górę — przerywa kilkunastowe milczenie. — W całym Paryżu, po zmroku zasłania się okna firankami, kotarami i czym tam popadnie. To zapewnia prywatność, ale nie na Champs Elysées, gdzie mieszkania są horrendalnie drogie, bo płaci się tutaj za widok.

Nie ukrywam przed moją przewodniczką, że nie jestem zachwycony „deptakiem”.

— Ty wiesz, że większość moich znajomych — mówi Anna — uważa, że nie ma życia w Paryżu, jeżeli chociaż raz w tygodniu nie wpadną na Champs. Tutaj trzeba trochę posiedzieć w kafejce, pogapić się na przejeżdżający się chodnikiem tłum.

Stąd rozchodzi się ośmiornica dwunastu ramion dwunastu ulic. Tutaj właśnie zamyslił Napoleon postawić pomnik upamiętniający tryumf bohaterstwa i chwały oręża francuskiego. Nie doznał jego realizacji, gdyż budowę wraz z reliefami pokrywającymi Łuk ukończono dopiero w 1836 roku. Cesarz mógł podziwiać jedynie drewniany model.

— To właśnie tutaj odbyła się parada wojsk hitlerowskich po zdobyciu Paryża, gdyż była to pierwsza rzecz jaką Hitler chciał ujrzyć w ruinach na kolana Francji — informuje mnie Anna. — No i potem triumfalny marsz zwyciężonej przez armię de Gaulle'a nie mógł się gdzie indziej rozegrać. Tutaj też odbywały się pogrzeby znanych postaci życia politycznego, ale nie tylko, bo i uroczystości pogrzebowe po śmierci Wiktora Hugo w 1885 roku miały tutaj miejsce.

Mijamy kolorowy świat pierwszej części Champs Elysées. Zaczyna się piękna aleja kasztanów. Niestety o tej porze roku drzewa są jeszcze bez liści. Sprawia to trochę wrażenie plantów z obrazu Stanisława Wyspiańskiego. „Planty” kończą się na Place de la Concorde, który ciężko i krwawo sobie zapracował na swoją nazwę.

— Przejdziemy się po Madeleine — proponuje mi moja przewodniczką. — Na Placu Madeleine obejrzymy kościół pod wezwaniem św. Marii Magdaleny. Niedawno czytałam biografię Josephiny Baker. Paryż był u jej stóp i umiał jej podziękować, gdy odchodziła na zawsze. W tym właśnie kościele odbyły się uroczystości pogrzebowe. Niedawno stąd czarowała Paryż ze sceny.

— Podobna mi się ta część Paryża — mówię do Anny i widzę, że moja przewodniczką to cieszy. — Ciszej tu i spokojniej, nie ma tylu turystów — dodaję i urywam w pół słowa. Za werandą jednej z kafejek, do której właśnie mieliśmy zamiar wstąpić, w podcieniach bramy, stylem policjanta z całego świata, stoi para. Oboje ubrani w stalowo-szaro-czarna mundury. Oboje przystojni, milczący i groźni w tym milczeniu. Grozę zwiększają dwa pistolety automatyczne przewieszane przez ramię tak, że lufa wycelowana w stronę jezdni może w każdej chwili ehlusnąć ogniem.

WSZĘDZIE MOGĄ ZAGROZIC TERRORYŚCI

Paryż przypomina miasto w stanie oblężenia. Na mostach prowadzących na dwie uroczyste wyspy na Sekwanie aż czarno od mundurów Policji Nationale. Ciężne opancerzone wozy bojowe. Pistolety automatyczne. Z drugiej strony nie ma się co dziwić, bo to właśnie tutaj, w sąsiedztwie Notre Dame, mieści się Prefektura Policji i Pałac Sprawiedliwości. Na ścianach namalowane farbami odeszły terrorystycznych bojówek „Akcja bezpośrednia” i plakaty ze zdjęciami poszukiwanych terrorystów. Takie same obrazki, jak w RFN przed paroma laty. Stoiły na przejściu dla pieszych, gdy ulicą przelatuje konwój złożony z kilkunastu wozów bojowych. Po drugiej stronie mostu, przy nadbrzeżu d'Anjou, nieopodal miejsca, gdzie niegdyś mieszkał prezydent Georges Pompidou, pod okapem czerwonej markizy z wymalowaną złotymi literami nazwą kawiarenki siedzą przy małej czarnej łuzie i cieszą się z pierwszych, wiosennych promieni słońca. Wbijamy się w chłód wstęgi, uroczyste uliczki. Mocno okragła jejmość stoi w drzwiach sklepu rzeźniczego i pokrzykuje coś do kwiaciarki po drugiej stronie chodnika. Tuż za tym gazonem kwiatów w jarmarcznych wazonach, wirtyna polskiej księgarni. Leżą obok siebie książki wydane przez paryską „Kulturę” i przez warszawskiego „Czytelnika”. W Londynie trudno jest być na bieżąco w wydawniczych nowościach krajowych; mieszkając w Paryżu można być świetnie zorientowanym w tym, co się wydaje w kraju i na emigracji. Jedno z tych nielicznych miejsc, gdzie granica nie dzieli literatury, a wybór pozostawiony jest czytelnikowi.

Legenda, którą owiane jest Montmartre znana jest każdemu, bez względu na to, czy był w Paryżu czy nie, a dzięki brawurowym wycieczkom pewnego polskiego oficera-wymiaru w czasie ostatniej wojny, każde dziecko w Polsce wie, że najlepsze kaszany są na Placu Pigalle. Pewien mój znajomy, który miniony rok spędził w Londynie powiedział mi, że jego zdaniem Londyn schodzi na psy, bo w Soho pozamykali prawie wszystkie sex shopy, a te nieeluzne to smutek i nęda, o której nie warto wspominać. Powinien pojechać do Paryża. Naganiacze stoją dzień i noc na ulicy przed lokalami topless i stripteasowymi, przed barami, w których nie tyle pije się drinki, co ogląda „Na żywo na scenie tylko u nas”.

Cieężkie jest życie naganacza. Właśnie jeden z nich próbuje zachęcić grupę kilku młodych mężczyzn, ci odpowiadają bardzo żywiołowo, co myślą o jego propozycji i o dziewczynach występujących w barze, naganacz nie daje za wygraną i w biały dzień dochodzi do takiej pyskówki, że skóra cierpnie. Kolorowy młyn nad „Moulin Rouge”, wygaszony w ciągu dnia wygląda smutno. Dopiero, gdy nadejdzie wieczór ożywa się i ulica, i młyn nad teatrzykiem. Tylko czekać, gdy pojawi się w nim rudowłosa piękność z rysunków Toulouse Lautreca. Zamiast niej przed nami drepcze autentyczny lama, który nie wiadomo dlaczego porzucił ciższą klasyczną i świeżo powietrze nepalskiego zakątki i teraz miarowo wystukuje drewnianymi chodakami rytm na Bulwarze de Clichy.

NA SPOTKANIE Z LEGENDĄ

Na wzgórze gdzie rozciąga się wspaniały widok na Paryż i skąd można przez chwilę przysiąść na schodach imponującego Sacre Coeur wjeżdża kolejka brzojoty niezwykle. To tak mniej więcej, jakby połowę wagonika na Gubalówkę umocowano na towarowej przyczepie. Ale schodki, wąskie uliczki i zaułki, które też doprowadzają na wzgórze, są niezmiernie urokliwe. I dopiero tutaj, gdzie przemieszają się: legenda przeszłości i czas teraźniejszy, gdzie wciąż na schodach do kościoła rozsiadają się studenci spod różnych szerokości geograficznych i grając na gitarze śpiewają stare przeboje Beatlesów i Paula Simona, dopiero tutaj można odnaleźć atmosferę Paryża, o której wszyscy słyszeli, której wszyscy przyjeżdżający tak szukają i która chyba tylko tutaj i w studenckiej St. Germain istnieje autentycznie.

Nieco w dół przycupnął jeden z najstarszych kościołów paryskich Saint-Pierre-de-Montmartre. Wzniesiony w 1147 roku, pamięta zapewne ten Paryż, który znamy z ballad Villona i czasów Rabelaisa. Zresztą od nazwisk sławnych ludzi sztuki aż się w głowie kręci; to w tej okolicy mieszkali i tworzyli Renoir i Gauguin, Utrillo i Modigliani, Apollinaire i Picasso, Braque i Van Gogh i cała plejada większych i mniejszych geniuszy i oczywiście gwiazdobójców tych, którzy nigdy nie wypłynęli i nie wypłyną na powierzchnię sławy i nie trafiła do katalogów muzeów.

— Piwo? — pyta właścicielka baru potężnego, czarnowłosego mężczyzny, którego poplamiony farbą sweter niedwuznacznie sugeruje, że mamy do czynienia z artystą. Nie czekając na odpowiedź nalewam złościstego piwu. Artysta moczy usta i brodę w pianie i kiwa z wdzięcznością głową. Właścicielka nie pyta o pieniądze, ale o klientów.

— Sprzedajesz coś?

Brodacz potrząsa przecząco głową.

— Zapłacisz jutro.

Nie ma pośpiechu. On przyjdzie tu jutro i pojutrze i jeszcze następnego dnia, i nadzieja, że trafi się bogaty kupiec, który zachwyci się jego malarstwem. Musi się zachwycić, bo brodacze jest prawdziwym artystą i wie, że to co maluje ma wartość artystyczną. Ona zdaje sobie sprawę, że chociaż takich jak on są tutaj setki, to trafi się bogaty turysta, najczęściej amerykański i wtedy brodacze zapłaci i za te piwa i za bułkę z szynką i z pomidorem, którą teraz ona wciąga mu w rękę.

— Oni są artystami, bo się uważają za artystów. A przecież najważniejsze jest to, żeby człowiek wiedział kim jest — mówi do mnie właścicielka, która zauważyła, że pilnie przyglądam się całej scenie.

— Tak można przeżyć całe życie w złudzeniach?

— I większość przechodzi. Czasami coś sprzedadzą. Żyją od sprzedaży do sprzedaży, ale przecież to nie jest biuro, że pod koniec każdego miesiąca dostaniesz pensję. To jest sztuka. Oni żyją zgodnie z jej wymogami, wierzą w nią i wierzą, że to co robią jest słusne. Żaden z nich nie zamieniłby się na pracę w biurze i stałą pensję.

— Zna ich pani tutaj prawie wszystkich.

— Tu jest ciągle ruch; jedni odchodzą rozczarowani, odchodzą doświadczeni, wyjeżdżają gdzieś w świat, albo zalamują się i kończą ze swoim życiem. Przychodzą nowi. Z nadzieją i radością. I tak prawdę powiedziawszy to w większości oni są pełni radości i życia. Zdarzają się wiozoty i upadki, przychodzą wyłączone żale, ale potem znów wracają do sztalug i do sztuki.

FRANCUZI WIEDZĄ CO DOBRE

Tadeusza, urodzonego przy zbiegu ulic Julia-

na Tuwima i Henryka Sienkiewicza w Łodzi, który przybył do Paryża przed kilkudziesięcioma laty, spotkałem w kafejce uroczystej Saint-Germain-des-Pres. Jego życie, to jak opowieść rodem z Ameryki, o tym jak to biedny chłopak z Łodzi doszedł do fortuny. Zaciśkał mocno pas przez pierwsze kilka trudnych lat. Teraz mieszka wygodnie we Francji i zna ją i Francuzów od podszewki.

— Oni się nie przejmują krąjącymi po Europie niezbyt pochlebnymi o nich opiniami. Oni wiedzą jak się cieszyć życiem. I to im wystarczy.

— Ale o ile wiem, ty też w swojej firmie unikasz z nimi współpracy?

— Najlepiej pracuje mi się z Niemcami i Amerykanami. Oni nie tylko wiedzą, po co pracują, ale są też znakomicie zorganizowani. Francuz natomiast wie, jak spędzać wolny czas i myślę, że dlatego mieszkam we Francji, że tutaj można najprzyjemniej wykorzystać czas po pracy.

— Francuska kuchnia zawsze była znana w świecie.

— I chyba słusznie. Anglicy, Niemcy, nie mówiąc już o Amerykanach, albo się nigdy nie nauczyli, albo już dawno zapomnieli, na czym polega dobre jedzenie.

— To prawda. W Londynie najdroższe restauracje to francuskie. Stąd jeżeli ktoś chce zrobić dobry interes to restauracji daje nazwę francuską, reklamuje się, że kuchnię ma francuską, a najczęściej kucharzem jest jakiś Chińczyk, Marokańczyk czy Jugosłowianin. Ale publika wali drzwiami i oknami, bo to francuska knajpa.

— Myślę, że na drabinie hedonizmu, umiejętności wykorzystania życia dla swojej przyjemności, to Francuzi są daleko w przódzie przed innymi narodami. Sery, wina, ostrzygi, trufle, gęsie wątróbki — te przysmaki francuskiej kuchni są świetnie znane na całym świecie. Niedaleko granicy niemiecko-francuskiej znajdują się winnice, gdzie oprowadza się turystów po maleńkim odcinku piwnic zastawionych od góry do dołu butelkami z szampanem. Maleńki odcinek, bo korytarze ciągną się przez 150 kilometrów.

Sklepy prowadzące sprzedaż serów, win i ryb mogą przypisać o zawroty głowy bogactwem wyboru. Najtańszym posiłkiem Francuza jest oczywiście paryska bułka, a do tego ser i czerwone wino. Spotyka się w metrze podróżnych, którzy wykorzystują wolną chwilę, aby posilić się tymi delikcjami. Cotes du Rhone czy Cotes du Roussillon pite, jak to się w Łodzi mówi „z gwintą”, czyli prosto z butelki, tak jakby to był nasz przysłowiowy jaból, wywołuje dziwne wrażenie. Ano coż stopa stopie życiowej nierówna.

W KOLEJCE PO... SER

Francuzi chętnie odwiedzają sklepy z rybami i z serami; były to jedne sklepy, w których stałem w kilkusetosobowej kolejce. Wspaniałe słodkie ementalery, o dziurach wielkości dwudziestozłotówki, dojrzale brie i camembert president cieszą się największym wzięciem. Także wszelkiego rodzaju pieśniaki, tańsze od oryginalnego rokforta, stanowią świetne zakończenie kolacji do butelki Fleurie czy Claret. Sam rokfort jest dosyć drogi, no ale jako ser, który może powstać tylko w jednym miejscu na świecie płaci się za ten przypadkowy wymysł pewnego średniowiecznego mnicha odpowiednią sumę.

Nie mam zamiaru pisać książki kucharskiej, bo już parę osób zrobiło to przede mną i to znacznie lepiej, ale miło się robi, gdy można na to popatrzeć i poprobować i nadochodzi mi refleksja, że warto by było paru naszych speców od serów, wina, handlu rybami i Bóg wie czego tam jeszcze wysłać na praktyki do narodów, które wyprzedzają nas o ładnych paręnaście lat.

Na pożegnanie z Paryżem włóczęmy się jeszcze po St-Germain-des-Pres, gdzie swoją siedzibę miał Jean-Paul Sartre i wyznawcy jego egzystencjalnej filozofii. A więc Cafe de Flore, miejsce ich spotkań, a wcześniej biesiad surrealistów z kregu Apollinaire i Andre Salmona i ultraprawicowych bojówek Action Francaise. Dziś można posiedzieć w de Flore i w sąsiedniej Aux Deux Magots, posłuchać dyskusyjnych o życiu i o sztuce studentów, pooddychać trochę tą atmosferą intelektualnego Paryża i zjeść podobno najlepsze na świecie profiteroles — maleńkie bezy z kremem, lodami, polewane gorącą czekoladą i posypane kruszoną migdałami i orzechami.

A W LONDYNIE...

Znów przeprawa przez Kanał; znów problemy na granicy, a w Londynie sprawa zatopionego promu wciąż przedmiotem dyskusji i artykułów na pierwszych stronach gazet. Uśmiechnięta buzia kilkumiesięcznego niemowlęcia, synka Jugosłowianina i Angielki, uratowanego przez ojca z tonącego statku. Wizyta ekipy telewizyjnej w cerkwi na uroczystości chrztu cudownie uratowanego dziecka, a potem dramatyczne relacje towarzyszące podnoszeniu z dna morza „Herald of Free Enterprise”.

Londyn 10.03.—15.04.1987 r.

Obserwacje

NAM SIĘ TO NIE PODOBA



Foto: Grzegorz Gelasinski

Posiadacze aut, których już nie oplaca się remontować, ani nikt nie chce ich kupić, choć handel używanymi samochodami jest w pełni rozkwitu, stawiają je na jakimś oddalonym parkingu i czekają, aż ludzie rozebrą na części. Jeden taki zmyślny był posiadacz starej syrenki wywieziony nawet na karkę, że sprzeda ją na... części, ale ludzie nie chcieli na sprzedaż, tylko sami samochody rozebrali. Kto natomiast powinien się zainteresować sterczącymi i straszącymi na parkingach wrakami?

NIEBEZPIECZNIE W NIEKTÓRYCH HOTELACH

Straż pożarna dokonała kontroli bezpieczeństwa przeciwpożarowego w 30 hotelach, w tym 12 należących do „Orbisu” i 18 — do wojewódzkich przedsiębiorstw turystycznych. Okazało się, że w hotelach tych są niesprawne instalacje elektryczne, wykrywacze dymu zainstalowano w pomieszczeniach magazynowych, a nie mieszkalnych, zagrażone drogi ewakuacyjne i temu podobnie. Na przykład hotel „Gdynia” w Gdyni nie miał instalacji piorunochronowej. Wiele hoteli natomiast wyposażono w wykładziny i dekoracje łatwopalne, wśród nich są „Beskid” w Nowym Sączu, „Zamkowy” w Słupsku. Hotele „Brda” w Bydgoszczy i „Światłowit” w Łodzi nie mają urządzeń awaryjnych do usuwania dymów i gazów pożarowych, mimo że wybudowano je stosunkowo niedawno.

GRZECZNOŚĆ NA CO DZIEŃ

W „Elcie” miało miejsce duża kradzież, której sprawcy zostali skazani na pozbawienie wolności od 8 do 5 lat. W związku z tym Komitet Zakładowy PZPR w „Elcie” zaprosił do fabryki Komisję Prawa i Porządku Publicznego RN Miasta Łodzi i Komisję Prawa i Porządku Publicznego KŁ PZPR. Decyzja służyła i godna pochwały. Ale wspólne to posiedzenie — jak donosił „Dziennik Łódzki” — zignorowała dyrekcja, rada zakładowa i przedstawiciele służby ochrony fabryki. Jeśli ich nie interesuje ochrona fabrycznego mienia, to choćby grzeczność nakazywała przywitać gości i pełnić rolę gospodarza. Widać jednak, że dobre obyczaje upadają coraz szybciej!

„TELIMENA” DO WARSZAWY

Nowy rozkład jazdy PKP wchodzi w życie 31 maja 1987 roku i obowiązywać będzie od maja 1988 roku. Jest w nim kilka zmian, korzystnych dla Łodzi i kilka niekorzystnych. Do Warszawy i z powrotem do Łodzi będziemy mogli jechać „Telimeną” o 8.10 z Łodzi Fabrycznej i być już w Warszawie o 9.40, a „Syreną” wyjechać z Łodzi o 17.20. Podróż będzie trwała 90 minut. Prawie lustrorząd.

Do Gdyni wyruszać będzie z Łodzi Kaliskiej o 6.20 pociąg „Baltyk”, a „Pomorzanin” awansuje do rangi expressu. Nie będzie natomiast bezpośredniego połączenia ze Szczecinem, ze Swinoujściem tylko sezonowe, nie ma pociągu do Lublina przez Warszawę.

Niewiele wskazuje na to, że będzie czystiej, nie będzie spótniej i tłu. Są natomiast obiektywne trudności, z którymi PKP nie potrafi sobie poradzić.

WYPADA POCHWALIĆ POCZTĘ

O pracy poczty piszemy na ogół źle, bo sobie na to zasłużyła. Ale zdarza się, że ktoś z pocztowców pracuje dobrze, więc warto go pochwalić, aby inni brali przykład. Otóż jeden z naszych kolegów otrzymał ekspresową paczką w niedzielę i mimo że nadawca pomylił — niedokładnie wypisał i powstało przekłamanie — nazwę ulicy. Opowieść o tym zdarzeniu wywołała powszechne zdumienie. Ale pochwalić trzeba. Tak trzymać!

PIWO BEZ ALKOHOLU

Coś takiego wymyślił Czesi, którzy mają pilznera, budwar i staropramen. Nazywa się to „Pito”. Przeznaczone jest dla kierowców. Mamy już papierosy bez nikotyny, kawę bez kofeiny, jest już — choć tylko w CSRS, na szczęście nie eksportują — piwo bez alkoholu, maluczek, a będziemy mieli wódkę bez wódki, masło bez masła i mięso bez mięsa. Czego to ludzie nie wymyślą. Życzymy powodzenia!

W KOCHANÓWCE NA PRZYSTANKU

— jak donosił (kate) w „Kurierze Polskim” — ludzie masowo mdleją oczekując na tramwaj do Aleksandra Łódzkiego. Interwencji pogotowia, lekarz daje ludziom sole trzeźwiące i omdleni powracają do świadomości i do czekania. (kate) podejrzewa, że powodem tego jest długie czekanie i że winę ponosi MPK.

A jak tam jakieś tajemnicze „zielone ludziki” rozpylają jakieś świństwo i robią eksperymenty, to co?

JAN PIETRZAK POSTAWIŁ STOPE

w Nowej Zelandii, gdzie od 1950 roku żaden polski artysta stopy nie stawiał. Był też w Australii, ale Stephanie Harper nie widział. Piosenki, które śpiewał i dowcipy, które opowiadał spodobały się tamtejszej Polonii.

P. TRELINEK

Należy stwierdzić fakt bezsporny: popyt na książki tak się obniżył, że jeszcze trochę a Kolegia do spraw Wykroczeń będą orzekać jako kary dodatkowe przymus czytania. Dwa lata temu ludzie ustawiali się w kolejki po byle szmire, dziś tłok można dostrzec jedynie po „Koran” lub kolejną edycję „Encyklopedii Powszechnej”. Jakby naród nagle ochłonił, naczytał się po dziurki w nosie, poczuł przesył treściami intelektualnymi. Czy tak jest na pewno?

Proszę zważyć, że w ciągu ostatniego półtora roku podwyżki dotknęły nie tylko artykuły żywnościowe czy opłaty za gaz i energię, ale także ceny książek wywindowały się niemal na niebotyczne wyżyny, często niedostępne dla ludzi zarabiających najmniej lub tylko średnio. Ponadto — co nie jest bez znaczenia — książki są wydawane coraz gorzej: nędzny papier, zamiast szycia — klej, co z kolei powoduje, że książki rozsypują się przy próbie jej otwarcia, niespotykana dotąd ilość defektów technicznych, nie zadrukowane stronicy, powtarzające się lub brakujące arkusze, niedbala oprawa itp. I myślę, że do tych plag należy zaliczyć także mało atrakcyjne tytuły proponowane przez niektórych wydawców.

Jak zjeść tę zabę?

Wszystko to plus grzechy księgarzy powoduje, że w Składnicy Księgarskiej w Łodzi powstała gigantyczna góra zadrukowanego papieru. Książki leżą i nikt ich nie chce. A pod drzwiami magazynów podjeżdżają coraz to nowe samochody z kolejną „produkcją”. Czasem, jeśli jest gdzieś miejsce, są rozładowywane, częściej jednak wracają do drukarni. Składnica nie może przyjąć.

Tak więc książki zalegają magazyny i będą tak leżeć przez długie lata. Ostatni remanent w Składnicy Księgarskiej wykazał, że jest tu książek na 4,5 miliarda złotych! Różnica między przywozem a wywozem stąd wynosi dziś 15 wagonów kolejowych to jest 30 tys. paczek, po 10 kg każda. A przecież są to książki będące własnością wydawców, nie Składnicy, która bierze je jedynie w komis. A wydawcy jakby zapominają o tym fakcie.

Dyrektor Składnicy Księgarskiej Józef Irzyniec twierdzi, że największe kłopoty sprawiają mu książki wysokonakładowe, których jedynie 10 proc. trafia w tzw. pierwszy rzut do księgarń. Potem, owe 90 proc. zalega w magazynach i nikt już ich losami nie przejmując się: wydawca nie reklamuje swojego produktu, księgarze nie składają powtórnych zamówień... Dawniej księgarz, jeśli jakiś tytuł zniknął z księgarni, natychmiast zamawiał kolejną porcję egzemplarzy, dziś ten obyczaj zaginął, jak zaginęła tradycja, że księgarz przychodził do Składnicy i wybierał co atrakcyjniejsze pozycje. Tak więc, zamiast sprzedawać książki, trzeba szybko budować kolejne magazyny na ich przechowywanie. A jak jest u nas z budownictwem każdy wie. Kolejny magazyn na książki powstanie dopiero w 1990 r. Gdzie więc umieszczać bieżącą produkcję? Przypomina mi to bajkową zabę, która rosła w zastraszającym tempie, ale gdy wreszcie pękła, wyszła z niej prześlizgnięta królowa co to ją zakląła zła macocha. Niestety, u nas jest jedynie sama żaba, bez królowej. Natomiast królewiczów przybywa i ciągle piszą, piszą, piszą...

EUGENIUSZ IWANICKI

Z Gdańska

Jeżeli to tylko snobizm...

W Trójmieście można oglądać pięć wartościowych wystaw. I jeżeli ktoś w tym czasie ma urlop i zjawi się w Gdańsku, to będzie mógł zobaczyć rzadkie propozycje artystyczne.

W Muzeum Archeologicznym trwa wystawa rzeźby ceramicznej Marii Wojtki, którą bez przesady można uznać za wydanie artystyczne w Trójmieście. Młoda plastyczka pokazała kompozycje ceramiczne — wynik jej pracy na ostatnich plenerach. Maria Wojtki specjalizuje się w miniaturach rzeźbiarskich, tworząc dowcipne opowieści o ludzich zagubionych w naszej cywilizacji.

Ryszard Kul — malarz o u znany już dorobku — prezentuje w Galerii „Punkt” Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki swoje ostatnie, nieco przewrotne, rysunki. Właściwie można powiedzieć, że jest to jeden i wciąż ten sam rysunek — kobieta zagubiona w gąszczu wielkiego miasta. Ryszard Kul, zafascynowany ciałem kobiecym ukazuje ów lepsz rodzaj ludzki bez typowej otoczki bezbronności i bierności. Jego kobiety walczą ze światem, mocują się z nim. Niekiedy jego rysunki prezentują zwycięskie modliszki z ławością pokonujące mężczyzn. Prace Ryszarda Kula są bardzo wysmakowane plastycznie, precyzyjne w szczegółach, będące rodzajem popisu warsztatowego. Artysta odwołuje się tutaj do klasyków rysunku, przypomina, iż umiejętności techniczne są podstawą działań plastycznych. Czekamy teraz na wystawę malarstwa Kula, która wkrótce odbędzie się również w Galerii „Punkt”.

Zupełnie inny obraz świata ukazuje w swoich rysunkach ubiegłoroczna absolwentka PWSSP w Gdańsku Katarzyna Myśliwska. W Strzelnicy św. Jerzego (obecnej siedzibie SARP), pokazała ona 18 najnowszych rysunków. Są one, jeżeli można tak powiedzieć, wyprowadzone z prozy Brunona Schukha i Franza Kafki. Katarzyna Myśliwska odwołuje się do doświadczeń ekspresjonizmu, jej rysunki ukazują strach, lęk człowieka przed swoim losem. Człowiek w jej ujęciu, jawi się nam jako istota rozpaczliwie próbująca poznać samego siebie. W przeciwieństwie do Ryszarda Kula, rezygnuje z precyzji w ujęciu detali. Ledwo szkicuje sylwetki bohaterów. Są to prace bardzo teatralne — widzimy wyraźnie zarysowane sytuacje egzystencjalne, zwykłe bardzo dramatyczne.

W Galerii „Na pietrze” Domu Kultury im. Stanisławy Przybyszewskiej na Morenie oglądamy ekspozycję „Z archiwum Teatru Miniatura”. Jest to kolejna, bo już ósma prezentacja dokumentów obrazujących przeszłość gdańskiego Teatru Lalki i Aktora. Mamy więc foty, afisze i plakaty, projekty scenograficzne, stare programy. Ta wystawa uświadamia nam jak mało wiemy o przeszłości polskiego teatru lalkowego i o samej specyfice tej sztuki. Warto zobaczyć ekspozycję „Z archiwum Miniatury”, choćby dlatego, aby zrozumieć sobie, że teatr lalkowy może grać także dla widzów dorosłych i poruszać problemy daleko bardziej poważne niż opowieści o przygodach sympatycznego misia czy dzielnej kaczuszki.

W Trójmieście różnego typu wystawy cieszą się znacznie większym powodzeniem niż dawniej. Być może niedawna prezentacja prac Salvadora Dalí w Gdańskim Kantorze Sztuki rozbudziła zainteresowania mieszkańców Wybrzeża. Jeżeli to snobizm, to tylko cieszyc się można...

MIROSLAW RÓJ-SARNECKI

Kiermasz książki

W czasie tegorocznych obchodów Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy Przedsiębiorstwo Państwowe „Dom Książki” w Łodzi zorganizowało w dniach 13—14 maja br. (piątek i sobota) wielki kiermasz. Na 26 stoiskach zostały wystawione książki i płyty na ponad 15 mln zł. Zgodnie z wieloletnią tradycją pisarze z Łodzi podpisywali swoje książki. Jaki był ten kiermasz? W porównaniu do roku ubiegłego obrót zwiększył się o całe 5 mln zł., natomiast wśród oferowanych nowości wydawniczych nie było bestsellerów typu „Encyklopedia Powszechna” czy „Kuchnia polska”, natomiast znalazło się sporo tytułów, których poczytność przyciągała kupujących. Były to m.in. „Justyna czyli dole i nie-

E. IW.

SPÓŁDZIELNIA „DREWNO”

Spółdzielnia „Drewno” powstała w dwa lata po zwycięstwie nad faszyzmem tj. w 1947 roku pod nazwą „Pomocnicza Spółdzielnia Cechu Stolarzy i Tapicerów „Drewno”.

A zatem rozpoczęła swoją działalność w bardzo trudnych warunkach, bez lokalu, środków obrotowych i personelu oraz bez należytego wsparcia władz administracyjnych.

Działalność Spółdzielni w tym czasie polegała wyłącznie na sprzedaży materiałów w własnej penetracji. Następnym etapem pracy Spółdzielni to organizowanie pracy nakładczej w zakresie wyrobów rynkowych branży szczerbarkarskiej oraz produkcji artykułów inwestycyjno-zaopatrzeniowych w branży stolarzy i tapicerów.

Następuje okres odnowy ruchu spółdzielczego rzemiosła. Spółdzielnie przekształcają się w Rzemieślnicze Spółdzielnie Zaopatrzenia i Zbytu, zapoczątkowało to nowy etap rozwoju spółdzielczej organizacji rzemiosła, a niewątpliwą przyczyną tych przemian jest uznanie rzemiosła jako trwałego składnika gospodarki narodowej przez Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR i Centralnego Komitetu SD i Prezydium Rządu. Nasza Spółdzielnia jako jedna z wielu już istniejących rozwija swą działalność gospodarczą zaczynając zrzeszać coraz liczniejsze grupy różnych branż i tak na dzień dzisiejszy zrzeszamy w swoich szeregach takie rzemiosła jak: stolarstwo, tapicerstwo, szczerbarkarstwo, rzeźbiarstwo, modelarstwo, zabawkarstwo, poźiotnictwo, bednarstwo i inne zakłady, zrzeszone w naszej Spółdzielni.

Ogółem zrzeszamy około 200 członków — rzemieślników, przy zatrudnieniu administracyjnym 15 pracowników Spółdzielni, prowadzących działalność usługowo-produkcyjną zabezpieczającą potrzeby rynku zarówno naszego województwa jak i realizując zamówienia z całego kraju.

Jesteśmy znaczącym w szeroko pojętej drobnej wytwórczości, stanowiącej uzupełnienie zadań przemysłu terenowego i kluczowego.

W obecnej chwili wychodząc naprzeciw tendencji eksportowej, członkowie włączają się ze swymi wyrobami poprzez specjalistyczne biura eksportowe.

Jubileusz nasz pobudza członków Spółdzielni do dalszej efektywnej produkcji z położeniem nacisku na jakość wyrobów, penetrowanie nowych kontrahentów państwowych, pamiętając o podstawowym zadaniu świadczenia usług dla indywidualnego odbiorcy.

2981/k

Jokol PRZEDSIĘBIORSTWO POLONIJNO-ZAGRANICZNE

w Łodzi, ul. Kilińskiego 159/163

ZATRUDNI NATYCHMIAST

- * szwaczki do zakładu konfekcyjnego
 - * pracowników do wytwórni watoliny i belowania odpadów włókienniczych
 - * szwaczki do szycia blamów oraz kuśnierzy do produkcji wyrobów futrzarskich i kozuchów.
- Wszelkich informacji udziela dział kadr Łódź, Kilińskiego 159/163, tel. 74-18-40. Przedsiębiorstwo nie zatrudnia osób po porzuceniu pracy.

2806/k

Rozczewił mnie felieton Daniela Passenta o pieczywie i urzęd-
nikach, z wylizanką frykasów, jakimi zjadaliśmy się przed
wojną. Zapachniały mi owe niezapomniane, chrupiące kajzerki,
obwarzanki, rogaliaki obsypane makiem i bez, solanki pokryte
grubymi ziarnkami soli, prele, bułeczki masłane i te z wpie-
czonymi na wierzchu plasterkami cebuli, bułeczki w kształcie
płki futbolowej czy samochodzika zachęcające dzieci do jedze-
nia. Rumiane, jakby pokryte szklawem bochenki chleba, posy-
pane od spodu białutką mąką. I owe gotowane na parze bajgle
sprzedawane na ulicy z koszyków...

Ach, kupujcie bajgle
u biednej Fajgele,
gorące bajgle,
choć kilka sztuk...

— śpiewano na melodie popularnych „Publiczków”.

Rodzinę moją zaopatrywała w pieczywo pani Landsbergowa,
właścicielka sklepu naprzeciwko naszego domu, przy ul. Zie-
lonej 57. Byłem najmłodszy i funkcja transportu tych darów bo-
żych spoczywała na moich barkach. Zresztą lwia część bułeczek
stawała się moim łupem. Do szkoły zabierałem po sześć, siedem
sztuk w wielgachnych torbach papierowych, zwanych wówczas
tytkami. Palaszowałem je częściowo po drodze, na pauzach i na
lekcjach.

Bułeczki okładano mi w domu serem, plasterkami jajka, rzod-
kiewkami. Smaczniejsze przynosił mój kolega klasowy Aszpis z
gimnazjum im. ks. Skorupki — ze smakowitymi wedlinami, a
nierzadko z łososem. Moja dusza młodzieńcza buntowała się:
dlaczego jedni mają winać takie delikatności, a inni, konkretnie
ja, są ich pozbawieni? I któregoś dnia rabnąłem koledze z teo-
rii dwie wyjątkowo apetyczne bułki, podkładając na ich miejsce
snoje z żółtym serem. Manewr ten powtórzyłem kilka razy, wresz-
cie Aszpis wpadł na pomysł i zaraz po wejściu do klasy przekła-
dał bułki do kieszeni spodni. Poprosiłem siedzącego za nim
koledze, żeby zamienił się ze mną miejscami i na lekcji najbez-

Chrupiące i rozmaitości

czelniej w świecie sięgnąłem ręką do aszpisowej kieszeni. Chy-
rusz chyba przewidywał mój zamiar, bo ułokował swe obie dionie
na przyniesionych skarbach.

— Panie profesorze! — zawołałem. — Aszpis robi jakieś po-
dejrzane ruchy ręką w spodniach!

— Aszpis, ręce na ławę! — zagroził profesor Grejber, no
i smakoliki zmieniły właściciela.

Posyłano mnie także po wedliny. Po nieparzystej stronie Zie-
lonej, przy Zakątnej, miała zakład masarski pani Triczel. Przy-
nosilem stamtąd po kilkanaście dekagramów wedliny rozmaitych
gatunków, których dziś nie uświadczysz. Tak się wtedy kupowa-
ło — po trochu na bieżące potrzeby. Najczęściej dostawałem
zamówienie na „rozmaitości”. Jakaż to była frajda dla podnie-
bienia i kieszeni! W takich rozmaitościach znajdowały się róż-
ne rodzaje wedlin — cytrynowa, wędzona, salceson, krajana,
krakowska. Wypadało to taniej, niżby się kupowało oddzielnie.

Bijący z wyrobów masarskich aromat stał się przyczyną mo-
jej wpadki, gdy chodziłem jeszcze do treblówki. Babka delego-
wała mnie po ćwierć kilograma parówek. Ich zapach wywołał
we mnie dzikie żądze — idąc do domu odaryłem pół parówki.
Ślady zębów na kiebasce zaintrygowały protoplastkę naszego ro-
du.

— A co to takiego?!

— Za dużo było na wagę — wyjaśniłem — i pani sklepowa
odgryzła pół parówki.

Po innej sprawunki wędrowałem do sklepu pana Ornera, też na
Zielonej, naprzeciwko Zielonego Rynku, przemianowanego póź-
niej na Rynek Boenera. Tutaj kupowałem artykuły kolonialne —
owoce cytrusowe, pieprz, wanilię, szafran, cynamon i inne przy-
prawy, a także czekoladki (w niedziele do sklepu wchodziło się
od tyłu, z bramy, przez mieszkanie właściciela). Pieniądzy mi
nie dawano, pan Orner skrupulatnie zapisywał wszystko w specjał-
nej księdze, w której figurowały nazwiska i innych klientów,
a w końcu miesiąca ojciec regulował należność. Nauczony smut-
nym doświadczeniem z parówką, czekoladki zjadałem w całość
(ciekawe, te pełne były tłuszczu od nadziewanych, nie jak obec-
nie), a że wagi w domu nie mieliśmy, więc ubytku nie można
było sprawdzić.

Miasto roilo się od piekarni i masarni. Jak obliczyłem w Ksie-
dze Adresowej m. Łodzi i woj. łódzkiego 1937—1939, w mieście
funkcjonowały 124 piekarnie i 1111 młynów. Były też duże zakłady.
Wśród nich najsłynniejsza piekarnia Walentego Kopczyńskiego,
„piersza łódzka piekarnia mechaniczna”, mająca swa siedzibę
przy ówczesnej ulicy Dąbrowskiej 31 (obecnie PKWN). Sklep
miał pan Kopczyński przy ul. Piotrkowskiej 93, gdzie i dzisiaj
można kupić pieczywo. Ale jak powiada łacińskie przysłowie:
gdz dwóch robi to samo, to jeszcze nie jest to samo...

Poza tym w sklepie Kopczyńskiego (firmę swą prowadził on
pod tym samym adresem jeszcze po wywołaniu licznej klienteli
czekały nie lada atrakcje. Zainstalowana w latach dwudziestych
maszyna kasowa wybiła paragony, a gdy komuś uzbierało się
ich za sto złotych, otrzymywał jako premię — do wyboru: chleb,
bułki, czy inne pieczywo — za trzy złote, a do każdego drugiego
kupionego bochenka chleba uśmiechnięta ekspedientka dodawała
również bezpłatnie okazala bułkę.

Pełna para pracowały i inne duże, renomowane piekarnie, że
wymienię najbardziej znane: mechaniczna A. Berendta, ul. Zerom-
skiego 91, parowa Erwina Bucholza, ul. Leszno 58 (Zeligowskiego),
Edwarda Hasińskiego, Wólczańska 175, Roberta Wernera, Wólczań-
ska 94, R. Trenklera, Cegielińska 31 (Garacza). Pomnóżmy te pie-
karnie przez ilość sklepów, do których trafiały wypieki — w każ-
dym punkcie Łodzi, o każdej porze dnia bez trudu można się
było zaopatrzyć w świeże, smaczne pieczywo.

A ile było zakładów masarskich? Z tego samego co wyżej
źródła doliczyłem się ponad 600 rzeźników! A przecież nie wy-
socy piekarze i rzeźnicy decydowali się na płatne bądź co bądź
ogłoszenia w Księdze.

Gdy fala wspomnień opadła, zasiadłem do kolacji. Ukroiłem
kawałek chleba, posmarowałem masłem, nałożyłem plasterka kart-
kowej wedliny (zabijacie mnie, ale nie wiem jaki to gatunek)
i dając upust swym uczuciom skieciłem kilka fraztek jakościowo
odpowiadających mniej więcej wypiekany bułkom i chlebom.

DOBRY JEST CHLEB.

Dobry jest chleb, dobre są bułki,
ale nie te, co zalegają półki.

Z NOWEJ EWANGELII

1.
Kto w ciebie kamieniem,
ty w niego chlebem,
i możesz podziękować
za jego pogrzebem.

2.
Chleba naszego pośledniego
rocz nam nie dać, Panie!

CUDENKA W PRODUKCJI

Mąka, woda, drożdże, sól,
a z pieca wychodzi — knot.

WSZYSTKO ZALEŻY OD WZROKU

Patrzmy na ręce, a nie przez palce,
a nie będziemy jeść chleba z zakalecem.

I trochę mi ulżyło. Ale nie na długo. Nazajutrz przy śniadaniu
rozbudzona wyobraźnia mową podsunęła mi owe przedwojenne
bułeczki i chleb...

Były, bo były kiedyś wypieki. Dzisiaj też je można dostać. Na
twarzy.

ADAM OCHOCKI

NR 21 (1521), XXX, 23 MAJA 1987 R.

1 Pod prąd

Biedne i pokrzywdzone

Dopóki przedstawicielki pici
odmiennej domagały się dla
siebie takich samych praw,
jakie niegdyś przysługiwały
jedynie mężczyznom, całym
sercem byłem po ich stronie,
gdyż zawsze uważałem, że nie
ma lepszego lekarstwa na za-
drość aniżeli dać zazdrośnikom
okazję przekonać się na włas-
nej skórze, co tracą, siedząc w
domu przy mężu i dzieciach,
a co zyskują, ruszając na pod-
bój świata. Cieszył mnie prze-
to widok dzielnych traktorzy-
stek zdobywających wiosnę,
militantek regulujących ru-
chem drogowym w kurzu i
smrodzie spalin, tudzież bojo-
wych dyktatorów w spódnich
cach dostających zawału z po-
wodu jakiegoś tam głupiej usz-
czelki. Cierp ciału, co chciało!

Kiedy jednak hasło równo-
prawienia niepostrzeżenie
zmieniło się w żądanie ustano-
wienia nowego matriarchatu,
zrozumiałem ja — stary i na-
iwny — że przepowiadanie o
zblizającym się końcu świata
nie są wcale pozbawione sen-
su, jak mi się przedtem wy-
dawało, i — że pora już robić
rachunek sumienia, skoro ta-
ka jest dziejowa konieczność,
o czym mnie zewsząd przeko-
nywano.

Zgadzałem się w stu, a nawet
w stu dwadzieścia procentach,
że przez długie wieki niewia-
sty traktowane były paskudnie
i dyskryminowane na każdym
kroku, głównie przez odmawia-
nie im czynnego i biernego
prawa wyborczego, jak rów-
nież — prawa do orgazmu.

Przyznaję, że było to głęboko
niesłuszne i z tego też powo-
du — jako mężczyzna od uro-
dzenia i z własnej woli —
bije się w piersi mego dzia-
dka i pradziadka, którzy wprost
znęcali się nad niewieścim ro-
dem we własnej chałupie pod
lasem, a i po wszech okolicz-
nych. Ale równocześnie nie
mogę spokojnie patrzeć na to,
co się ostatnio dzieje i biernie
czekać na dzień, kiedy „bied-
ne i pokrzywdzone” panie
przystąpią ochotco do zaku-
wania nas w dyby, łamania
kołem i prania po pyskach
przy byle okazji. To ostatnie
zresztą — jak słyszałem —
nie jest już przy tym żadnym
ewenementem i — co ciekaw-
sze — na ogół uchodzi spraw-
czynom zupełnie na sucho, bo:
1) jak ma się bronić mężczyz-
na, który czuje się gentelmanem,
a nie chce równocześnie
uchodzić za tehrza i mamin-
synka? 2) kto uwierzy, że
chłop dał się sprząć babie mi-
mo, że jest od niej — jak
Bóg przykazał — silniejszy?

Nie mogę też milczeć wobec
faktu, iż nasze prawo — głów-
nie w osobach pań-sędziów,
pań-lawników i pań-pro-
tokolantów — wychodzi wprost
z siebie i sztywnych paragra-
fów, by ze wszystkich sił lu-
dowego państwa bronić po-
krzywdzonej przez los i chło-
pa matki-Polki, zaś dla ojc-
ca-Polaka ma jedynie su-
chy wykaz powinności i obo-
wiązków, a w każdym z nich
widzi nalogowego alkoholika,
chuligana, złodzieja okradają-
cego własne dzieci, brudasa,
nieroba i sadystę.

Oczywiście bywają i takie
przypadki, nie przeczę. Jest ich
nawet dużo. Ale bywają też —
i to coraz częściej — takie,
choćby kobieta była ostatnia...
— no, mniejsza o szczegóły —
to i tak ma wszelakie przywi-
leje, ulgi, ułatwienia z tego
tylko powodu, że nie urodziła
się mężczyzną. Zupewnia, jakby
było to w jakiejś mierze jej
zasługą.

Nie posądzam, rzecz jasna,
prawodawców, by ofeńczeni
lub zakulisowo opowiadali się
za ustanowieniem w PRL ma-
triarchatu, choć niektóre pa-
ragrafy mogłyby — swoiście
interpretowane — o tym świad-
czyć. Nie mam natomiast wąt-
pliwości, iż przyjmując te roz-
wiązania, jakby założyli oni z
góry, że pewne sytuacje ży-
ciowe dotyczą tylko i wyłącznie
kobiet, mężczyzn, zaś regular-
nie omijają — bez żadnych
wyjątków.

Ala i to nie byłoby może
jeszcze najgorsze w całej tej

sprawie, gdyby każdy przypa-
dek na przykład matki samot-
nie wychowującej dziecko roz-
patrywany był i analizowany,
czy to przez sąd, czy organ
administracji państwowej, tak
dokładnie i wnikliwie, jak
wniosek o paszport do Czecho-
słowacji, a niechby i dowód
osobisty na poczekaniu przy od-
biorze przesyłki poleconej.
Rzecz w tym, że zazwyczaj
jest akurat odwrotnie. Wystar-
czy rzucić hasło i już wszyscy
wiedzą, co i gdzie taką samot-
ną matkę łowić. Zrozumiałe, iż
wpływa na to pokutujący
wciąż jak zły duch stereotyp:
biedna, bezradna, skrzywdzona,
opuszczona, łagodna (to zaw-
sze o kobiecie) i dla kontrastu
— bogata, umiejscowiona w sta-
wie, okrutny, nieodpowiedzial-
ny mężczyzna. Przy tym stop-
niu sfeminizowania polskiego
sądownictwa i administracji
państwowej stereotyp ten dzia-
ła jak zaraza morowa: niszczy
każdego, kto stanie na drodze.
No i kwitną nam potem takie
kwiatki, że „sponiewierana”
przez los młoda matka — al-
koholizka wnoszą, powiedzmy,
do sądu o podwyższenie ali-
mentów na błędne i przymie-
rające prawie głodem dzieci, a
sąd podnosi je bez zmuszenia
okaz, radząc przy tym bez-
względnie eks-mezowi, by
podjął dodatkową pracę, jeśli
do chleba chce mieć również
maselko. Facet naturalnie mu-
si płacić, gdyż nie udowodnił,
że była żona pociąga z ko-
chankiem, jeśli robią to w
miarę dyskretnie i żadne z
nich się nie leczy w poradni
przeciwnikoholowej. Ba, on na-
wet woli nikomu nie wspom-
niać o tym, co go spotkało, po-
nieważ ludzi od razu myślą:
to wyrodney ojciec, sknera i
łajdus, własnemu dziecku za-
luduje!

A kobyłka śmieje się w skry-
tości ducha, że znowu jej się
udało. W drodze do domu mo-
że nawet kupić dziecku czeko-
ladę za 300 złotych, albo łalkę
— potworka za 500. To od
mamusi — mówi i nie zapo-
mina dodać mimochodem:

— Tylko ten twój tatuś wca-
le o tobie nie pamięta.

JOZEF
RETMAN

2 Przerwa śniadaniowa

Kulisy reformy

Pan Zenek gestem powstrzy-
mał panią Lale, podającą her-
batę panu Dworkowi. Zadzwonił
łyżeczka w swojej szklance,
chwile jeszcze zaczekał i kie-
dy pokój ogarnęła niezwykła
cisza, przemówił:

— Proszę koleżeństwa, że
tak powiem, a także wy, drogie
koleżanki! Jak wiecie, byłem
na naradzie u naczelnego, by-
ło to spotkanie ścisłego kiero-
wnictwa, ozygników, prawda,
politycznych i społecznych, i
udziałem przedstawiciela cen-
trali — tu pan Zenek powo-
dował spojrzeniem po skamieniałych
twarzach współpracowników, i
uśmiechnął się niedostrzeżalnie.
Tak, wrażenie było duże... —
nasza centrala — kontynuował
— ogólnie jest, prawda, zado-
wolona z postępów reformy w
naszym pionie, a nawet, że się
tak wyrażę, będzie nas inten-
syfikować w ramach drugiego
etapu, ogólnego postępu i ra-
cjonalizacji w temacie efekty-
wności i osiągnięcia wyższego
pułapu w zakresie zadań pla-
nowych oraz regulacji mecha-
nizmów rynkowych, w ścisłym
powiązaniu z realizacją... — tu
pan Zenek zrobił pauzę, wyko-
nał okragły ruch ręką i zako-
ńczył zdanie dość nieoczekiwa-
nie — tego tam, no, wiecie,
Prawda, niewesoło jest!

— Nie nie rozumiem — ba-
knął pan Dwork — nie szko-
dzi, nie po raz pierwszy. Panie
kierowniku — to powiedział
głośniej, iż przyjmując te roz-
wiązania, jakby założyli oni z
góry, że pewne sytuacje ży-
ciowe dotyczą tylko i wyłącznie
kobiet, mężczyzn, zaś regular-
nie omijają — bez żadnych
wyjątków.

— To jest za mało. Nasza
produkcja jest i tak deficyto-
wa. Nawet bardziej deficytowa
niż poprzednio, bo koszty usług
naszego kooperanta wzrosły
więcej niż dwukrotnie, koszt

surowca też poważnie wzrósł.
W związku z tym centrala po-
stanowiła zmniejszyć naszą
produkcję o połowę, co auto-
matycznie, prawda, obniży de-
ficyt o 50 koma, mniej więcej,
prawda, procent!

— To jest bez sensu — wy-
szepał zblizalnymi wargami pan
Henio — przy tych samych
kosztach produkcji obniżenie
jej o połowę powiększy defi-
cyt!

— Nie rozumiecie ducha re-
formy! — pan Zenek był wy-
raźnie poruszony. — Koszta
produkcji musimy obniżyć, sto-
sownie do niższego pułapu pro-
dukcji. Będziemy musieli zli-
kwidować część etatów. Jest to
także zgodne z regułą maksy-
malnej redukcji zatrudnienia
w administracji. Zresztanie
„Idiopoli” doszło już do tego,
że poza dyrektorami, ich za-
stępami i kierownikami oraz
ich zastępcami nie ma już pra-
cowników umysłowych! Niektó-
rych referentów — no kursie
kwalifikacyjnym ustawiono na
stanowiskach gońców — odda-
li telefony, więc gońców po-
trzeba więcej...

— A czy nasi kooperanci też
zmniejszą zatrudnienie — pa-
na Kalinka zadała pytanie
drżącym głosem i zarumienia-
ła się. — Może stanowiących usługi?

— Nie stanowią — pan Zenek
popatrzył na Kalinkę surowo
— mają poważne kłopoty, trze-
ba będzie znów drożej płacić
za ich usługi i zatrudnić tam
dodatkowych ludzi. Inaczej gro-
zi im bankructwo, a do tego
centrala nie dopuści.

— A czy w centrali, dajmy
na to, zamierzają zmniejszyć
zatrudnienie?

— W centrali? Czyż pan, pa-
nie Dworku słyszał kiedykol-
wiek, żeby w centrali zmnie-
szyć zatrudnienie? Pan wie-
cie tam mają pracy? Ot, choć-
by teraz — zamierzone obni-
żenie produkcji u nas i w in-
nych oddziałach oraz związane
z tym wprowadzenie rygorów
oszczędnościowych, zwłaszcza
w dziedzinie zatrudnienia wy-
maga przeprowadzenia powa-
żnej analiz, atestacji i de... —
no, tej de...

— Degregolady? Depresji?
Denominacji? Deratyzacji? De-
zeracji? — jeden przez drugie-
go wykrzykiwaliśmy, próbując
odgadnąć myśl pana Zenka.

— Nieważne. Później sobie
przypomnę. Dziwię się tylko, że
koleżeństwo tak lekkomyślnie
traktuje to, co powiedziałem.
Nie ma żartów. Należy poważ-
nie zastanowić się nad inten-
syfikacją w obliczu de... —
machnął ręką i wyszedł z po-
koju.

Dłuższe milczenie przerwał
pan Dwork: — pan się, pa-
nie Heniu zastanów. Jak w
centrali oddadzą już telefony
i samochody dyrektorów, be-
dziesz pan miał szansę ukoń-
czyć kurs kwalifikacyjny na
gonica. A jak pan będzie miał
szczęście, to możesz pan na-
wet zdobyć kwalifikację kulisa
i będzie pan wózł szefa ri-
kaza... Będzie pan fizyczny i
nikt pana nie ruszy!

KAROL A.

3 Sport

Niech będę kobietą malego ducha!

W sporcie zrobiło się nagle
gęsto od faktów i dlatego tym
razem felieton będzie w trzech
częściach.

1.
Ukazał się komunikat Wy-
działu Dyscypliny PZPN w
sprawie Jerzego Wiljas i Jana
Furtoka. Kary są może niezbyt
wysokie — pół roku dyskwalifi-
kacji z zawieszeniem na rok,
to jeszcze można wytrzymać —
ale „premie” do tych kar dość
bolesne: wykluczenie z kadry
narodowej na rok i na rok za-
kaz wyjazdów sportowych za
granicę. Komunikat PZPN jest
jednak na tyle lakoniczny, że
nie bardzo wiadomo, za co o-
baj te kary dostali. Magneto-
widów przecież nie szmuglowa-
li. Nikt ich o to nawet nie po-
sądzał.

A swoją drogą Jerzy Wiljas
ma prawdziwego pecha. Naj-
pierw dopadło go wojsko i nie
mógł czas jakiś grać w przy-
zwolonej drużynie. Teraz dopadł
go Wydział Dyscypliny PZPN.
Ale grać może dalej. Przyna-
mniej w ligowej drużynie.

W niektórych gazetach poja-
wiły się komentarze do tych
kar: „Może te kary powstrzy-
mają plagę pijanstwa, jaka sze-
rzy się wśród piłkarzy?” Po-
średnio więc jakby wiemy, o
co tam chodziło, ale... Żeby pić
wcale nie trzeba jeździć za gra-
nicę.

2.
Był mecz w Budapeszcie. By-
ły cienie nadziei i już ich nie
ma. I bardzo dobrze. Sprawoz-
dawca telewizyjny Wojciech
Zieliński przypominał, że je-
szcze nigdy polska jedenaśka
nie wygrała meczu na stadionie
w Budapeszcie. I tradycję sta-
ło się zadość. Przegraliśmy 3
do 5. Wojciech Zieliński chwa-
lił naszych piłkarzy. Powiedział,
że nie mają żadnych założeń
tactycznych. Wreszcie mogą so-
bie pograć. Ryzykowna to teo-
ria. Czyżby założenia taktyczne
przeszkadzały piłkarzom w
grze? A może po prostu zało-
żenia były błędne? A może po
prostu piłkarze byli źli? A mo-
że po prostu założenia były nie
na ten mecz?

Wojciech Zieliński powiedział
jeszcze, że ludziom malego du-
cha mecz nie będzie się podobał,
bada narzekali, że polska
jedenaśka przegrała. A jego
zdaniem — mecz był piękny.
Niech więc będzie, że jestem
kobietą malego ducha, bo mnie
się mecz nie bardzo podobał,
choć byli nawet bramki i napi-
rowadzi. Coż z tego, gdy
Węgry — początkowo grający
słabo — z minuty na minutę,
a szczególnie już w drugiej po-
łowie, grali coraz lepiej i zasłu-
żenie wygrali. Polacy zademon-
strowali znane swoje słabości:
dawali się jak dzieci łapać na
spalonym, popełniając szkolne
błędy, nadal nie potrafili wy-
korzystać stałych fragmen-
tów gry, nadal ładnie, nawet
rozwiązali akcje ofensywne, ale
nie potrafili ich skutecznie za-
kończyć, czyli nie potrafili
strzelać celnie do bramek, choć
tych strzałów było wiele i trzy
razy piłka znalazła się w siatce
węgierskiej bramki. Ale Wę-
gry o dwie bramki byli lepsi.
I tak zniknęły wszelkie na-
dzieje. Tradycję ponownie stało
się zadość. Nie wygraliśmy e-
liminacji do mistrzostw Euro-
py.

Wnioski z budapeszteńskie-
go meczu są dwa. Pierwszy —
że naszym najlepiej gra się o
pietruszkę. Drugi — że nasi
nie chcieli wejść do finałów
mistrzostw Europy, a elimina-
cje potraktowali jedynie jako
pretekst do budowania repre-
zentacji na mistrzostwa świata.
Można i tak, ale po co ludziom
robić nadzieje? Po meczach e-
liminacyjnych — jeszcze się
przecież nie skończyły — wie-
my przynajmniej, że nadal nie
mamy reprezentacyjnej druży-
ny.

3.
Czterdziesty Wyciąg Pokoju
wyjechał już na polskie ziemie.
Z tym wyciągiem jest tak, jak
z przysłowiowym koniem: —
„Jaki jest koń każdy widzi”.
Jak nasi jada, jak jada inni —
każdy widzi oddzielnie w tele-
wizorze. Przede wszystkim ja-
da nierówno. Po jeździe na
czas Polacy znaleźli się na trze-
cim miejscu. Niby dobrze, a
przecież nie budzi to entuzjaz-
mu. Czy dlatego, że chcieliby-
śmy, aby było lepiej? To nawet
nie o to już chodzi. Chcieliby-
śmy, aby Polacy mogli nawia-
zać równą walkę z trójką za-
wodników NRD: Olafem Lud-
wigiem, Uwe Raabem i Uwe
Amplerem. Można byłoby po-
wiedzieć, że jest to wyciąg tej
trójki z reszła świata...

Kolarze radzieccy jadą zna-
cznie gorzej niż się spodziewa-
no. Kolarzy CSRS w ogóle nie
widac. Kolarze Polski próbują
nawiazać walkę z czołówką,
ale nie bardzo im to wychodzi.
Jak do tej pory na podium sta-
nęli Zdzisław Wrona i Zenon
Jaskuła. Dają się natomiast za-
uważyć w wyciągu kolarze Ho-
landii, USA i innych krajów,
co w najnowszych dziejach WP
jest zjawiskiem dość rzadkim.

Sprawozdawcy radiowi i te-
lewizyjni ciagle nam powtarza-
ją, że rywalizacja Polaków.
Niby, że tacy groźni. Innym u-
dają się natomiast samotne u-
cieczki i samotne zwycięstwa.
Polacy zajmują dalsze miejsca
w tabeli i czołowie nie zagra-
żają samotnymi ucieczkami.
Gdyby częściej próbowali? Ale
WP jeszcze trwa!

BOGDA
MADEJ

ODGŁOSY 15

Sodoma

JACEK KRAKOWSKI

Kluczem wyjętym zza dekoitu otworzyła jakieś boczne drzwi i po chwili znaleźliśmy się na ulicy, owiewanej lodowatym wiatrem. Na wprost nas stała karetka zaprzęgnięta w czwórki koni, a z jej okna wychylała się Felixa, kiwając na nas ręką.

Ubiierzcie się, zawołała, jak można tak nago włóczyć się po ulicach.

Sama widzisz, co ja z nimi mam, odrzekła Xenia, wsłuchując w nas do karety. Sieja rozpustę na każdym kroku. Nawet w kościele.

Przywołajcie do domu dwa fraki Lancelota, powinny na nich pasować, powiedziała Felixa. Ubięrajcie się. Widzę, że wam potencja dopisuje, ale w końcu jesteśmy kobietami. Słyszysz dzwony, zwróciła się do Xenii, podczas gdy my szamotaliśmy się ze spodniami, czyżby znaczyło to, że...

Tak, odparła Xenia. Możemy jechać. Zapakowała w pudło karety i pojazd ruszył z kopyta.

Ach, ten wiatr, odezwała się po chwili Felixa. Nerwy mam napięte do ostatnich granic. Nie cierpię takiej pogody. I te nagłe skoki temperatury! Wstąpiam po drodze do kabaretu, żeby się trochę rozzerwać, ale mówię ci — bez nadziei. Wynudziłam się jak mops. Prędzej się ubierajcie, krzyknęła na nas, nie mogę już patrzeć na te wasze... świstwa.

Szamotaliśmy się z przyciśniętymi spodniami Lancelota.

Nie mogłaś wpadnąć do mnie do roboty, powiedziała Xenia. Wypłybyś kawkę, poplotkowały... Klienci nie są, nie uciekają. Mówią między nami, obracają nieraz trzykrotnie, a potem zaświadczenia odsprzedają na rynku homonimom.

Komu, spytał Sylwester.

Homonimom, no tym, takim gorszym... Nie widzieliście nigdy homonima; leć jak kartofle, twarz nie skażona żadną myślą, oczki świderkate, sprężony, zadziorny, ponury i tępy jak bawół. Być może nie ma nadludzi, stwierdził Hieronim, ale podludzie istnieją na pewno. Lancelot wypieka tylko jego ostatnią wolę. Nie można już na to patrzeć, zawołała, przylgnęła się do dłuższej chwili naszym wysiłkom. Felixa, pomóż mi.

Urekwiczonymi dłońmi zaczęły pakować nam z całej siły praca do rozporoków i dopieły swego.

No widziacie, rzekła Felixa, jak kobiety wezmą się do czegoś, to musi się udać.

Ci mężczyźni to takie głamajdy, powiedziała Xenia. Ciągłe trzeba coś za nich robić.

Hieronim nie nam nie wspominał o homonimach, rzekł Laurenty. Musiał się pani coś pokreślić.

Jak ja ci pokreślę, to mi zostanie w ręce, odrzekła ze złością Xenia. Pewnie, że nie wspominał, bo sam doprowadził do ich rozrodu. Cóż... wyglądają jak ludzie, a jednak nimi nie są. Płodzą się jak króliki, a żyją jak świnię. Szybcieli tam, wrzasnęła, stukając pięścią w drewnianą ściankę karety. Bo znowu nie zdążyliśmy!

Siedząc naprzeciwko kobiet wpychałyśmy kuszule do spodni, zapinaliśmy rozporok i próbowaliśmy wiązać białe krawaty. Karetka gnała, podskakując na wybojach, trzeszcząc i kołyszając się przenikniętą terkotem kół i stukotem kopyt. Xenia i Felixa położyły się obok siebie na kanapie i objawiały się ramionami szeptały do siebie. Przez owalne okienko w tylnej ścianie karety mogliśmy teraz dostrzec ludzi biegnących z nami ulicą, ciskających kamienie w naszym kierunku. Wozy strażackie, jadące z przeciwnej strony polewały ich strugami błękitnej lśniącej wody.

Czuje straszne pragnienie, odezwała się zdyszany głosem Xenia. Po prostu w gardle mi zasycha.

Moglibyśmy wstąpić po drodze do baru, powiedziała Felixa. Mam ochotę napić się czegoś mocniejszego. Tu niedaleko jest taka przytulna restauracyjka.

Świetny pomysł, zresztą, wiesz, lubię sobie przed takimi uroczystościami wypić jednego dla fasonu. Zawsze czuję się trochę speszona nim podadzą szampa.

Właśnie. Zresztą nie powinnyśmy stronić od prawdziwego życia. W końcu nam się też coś od niego należy.

Podniosły się z kanapki, otworzyły torebki i patrząc w lusterka puderniczek usilowały usminkować sobie usta, nie zważając na podskoki karety.

Czy homonimowie też będą na balu, spytał Laurenty.

Będą tam, gdzie są potrzebni. Ich zresztą nigdzie nie brakuje, a jeżeli spodziewamy się nawalu nadzwyczajnych wypadków, powołuje się ochotników. Spośród prawdziwych ludzi. A tych także mamy pod dostatkiem.

Musieliśmy wejść z nami do restauracji, rzekła Xenia, chowając puderniczkę do torebki, bo nam samotnym kobietom nie wypada tam wchodzić. Niech stanie, wrzasnęła, wysiadamy.

Karetka gwałtownie skręcała w wąską uliczkę i zatrzymała się. Złoczyliśmy przyciśnięte fraki i wysiedliśmy za kobietami, które pchnęły wahadłowe drzwi, zza których dobiegała skoczna muzyka.

To prawdziwy człowiek może zostać homonimem, spytał Sylwester.

Każdy może nim być, ale nie każdy to lubi, odparła Felixa.

Przyciśniętymi się do baru między stolikami, na których opierały głowy pijani mężczyźni. Pod nogami, w kalużach moczku poniewierali się butelki i kufle. Niekiedy podnosili twarze, upijali nieco ze stojących przed nimi szklanek, patrzyli na nas przez chwilę tępych wzrokiem, po czym ponownie opadali na stół. Najbardziej pijani leżeli na podłodze, trzymając twarze w stosach

niedopałków, rozchełstani, oblani wymiocinami, nieprzytomnie bełkotający w pijanym półśnie. Pod grającą szafą, z której brzmiała muzyka siedział mężczyzna bez nóg wpatrzony obłąknie w powiększającą się mokną plamę w kroku jego podwinionych spodni. Kiedy sadowili się na stołkach barowych, uważając, żeby nie nadeprnąć na leżących pod kontuarem, muzyka nagle umilkła i powietrze gęste od tytoniowego dymu wypełniło chrapanie śpiących mężczyzn.

Felixa zakasła kilka razy, ale barman nie pojawił się.

Obsługa nie jest tutaj nadzwyczajna, zauważyła Xenia, i atmosfera raczej zepsuta. Pociągnęła kilka razy nosem, skrzywiła się i wyciągnęła z torebki flakonik perfum w areozolu, które rozpyliła wokół siebie. „Zorza Północy”, powiedziała, mój ulubiony zapach.

Zmieszana z bzdurną dając niepowtarzalną kompozycję, zauważyła Felixa. Wyłącznie na duży wieczór.

Zza kontuaru wynurzyła się przepita, czerwona twarz barmana.

Lancelot prosił, jęknął i zwał się pod bar.

Czy to są ci... homonimowie, spytał Laurenty, rozglądając się po sali.

Ależ skąd, odrzekła Felixa, nikt by im za to groza nie zapłacił. Chyba żeby dobro publicznie na to wskazywało.

Nie wiem, czy ugasza tutaj swoje pragnienie, rzekła Xenia, zapalając papierosa.

Barman ponownie wynurzył się zza zalanego trunkami blatu i oparł się na lokalach. Jego biała marynarka pokryta była różnokolorowymi plamami.

Czego państwo sobie życzą, wybełkotał z trudnością, śliniąc się przy tym obficie. Ostatnio klienci nie byli zbyt zadowoleni z moich uuu...

Zawył rozpaczliwie i ponownie zwał się na podłogę, tłukąc po drodze jakieś szkło.

Lubię ten spokój, rzekła Felixa rozglądając się po sali. Nie cierpię restauracji, w których bez przerwy grają te wrzaskliwe orkiestry, a ludzie tłoczą się na parkiecie. Mogą sobie potać w mieszkaniu, jeśli tak lubią przebiegać bez sensu nogami. Barman, zawołał, przechylając się przez blat, dwa koktajle.

Jakie, jęknął barman spod kontuaru.

Sama nie wiem, zastanawiała się Felixa. Może wódka z sokiem pomarańczowym i odrobina sherry. Co o tym myślisz, Xeniu?

Dla mnie spirytus z sokiem pomidorowym i trzema kostkami lodu. Oczywiście, pieprz i sól do smaku. A wy co pijecie?

Nie mamy pieniędzy, odparł Lancelot.

Dzisiaj wszystko jest za darmo, rzekła Felixa. Zresztą u nas nigdy się nie płaci. Już dawno stwierdzono, że dawanie sobie pieniędzy z rak do rak nie ma najmniejszego sensu. Owszem, pieniądze rodzą pieniądze, ale to nie nie znaczy, jeżeli uświadomimy sobie, że abstrakcja rodzi abstrakcję. Poza tym pieniądze szczęścia nie dają, a dodatkowo istnieje wyraźny zakaz gromadzenia dóbr. Tym co ich mają za dużo odbiera się je i daje ponownie do sklepów. Zapewne tym homonimom, zauważył Laurenty.

Co żeś przyczepił się do tych homonimów! To są zwyczajni ludzie. Tyle tylko, że im się płaci za to, żeby nimi nie byli.

A jednak trzeba wystawić im specjalne zaświadczenia.

Niektórzy wyrodeńdają i to wszystko.

Spod kontuaru wynurzyła się brudna dłoń barmana unosząca szklanek pełną pieniądzącego się płynu, lecz po chwili opadła wraz z brzękiem kluczonego szkła.

Lancelot prosił, zawył boleśnie barman, żebyście się nie spóźnili.

W takim razie nie mamy chwili czasu do stracenia, zawołała Xenia, zeskakując ze stołka.

To wszystko przez nich, rzekła Felixa. Ciągła nas po knajpach i próbują upić. Myślą zapewne, że będziemy łatwiejsze, ale mylicie się moi drodzy. Niczego tutaj nie weźmą do ust. A pan nie idzie, wrzasnęła, nachylając się nad barem.

Pracuję, niestety, pracuję, usłyszeliśmy jego stłumiony szloch, pracuję i wymiotuję, i wymiotuję, i znowu pracuję.

Wybiegliśmy z restauracji, lecz nie mogliśmy dostać się do karety, bowiem wokół niej zebrał się tłum ludzi, wpatrujących się w trzech aniołów, którzy stali na dachu i wymachiwali wielkimi, czarnymi skrzydłami. Na twarzach mieli maski: jeden świni, drugi diabła, trzeci osła. W rękach trzymali jakieś papiery i próbowali uspokoić rozgorączkowany tłum, przekrzykując się nawzajem.

Nie bójcie się, to nie nie boli, zapewnił anioł-świni. Szast prast i po wszystkim.

Mamy tu dokumenty, mówił anioł-diabeł, uderzając ręką w papiery, które gwarantują kompletny rozkład i stu procentowe rozproszenie.

Możemy dać wam gwarancję na piśmie, twierdził anioł-osioł, że nikt się nie uratuje.

Umarli, umarli, krzykali ludzie. Co z umarłymi?

Spotka ich śmierć druga, zapewnił anioł-świni.

A sąd ostateczny, krzyknęła jakaś kobieta.

Mam troje dzieci i chłop ode mnie odszedł!

Sprawiedliwość zatrzymuje ostatecznie nad niesprawiedliwością, stwierdził anioł-diabeł.

A piekło, krzyknął mężczyzna o wyglądzie zbira, będzie piekło czy nie?

Być może, rzekł ostrożnie anioł-osioł, ale to nie pewnego. Nasze informacje nie mówią wyraźnie.

Ludzie zakrzyknęli ich rzucając kamieniami i wyrażając pięściąmi.

„Z Witkacym łącz Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicz stał na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznym bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym”.

BAL NA KONIEC ŚWIATA

Szliśmy po marmurowych stopniach, posuwając się powoli za gośćmi, których nazwiska wykrzykiwał rosy lokal, stojący u szczytu schodów.

Dardanela Bąbasńska, ryczał na cały głos w głąb rozmiętej światłami sali, z której dochodził gwar rozmów. Obywatelka i patriotka, Cała obwieszona złotymi monetami. Ostatnio rozyla się jak krowa, bo żre jak świnię, ale nadal zachowała tchliwość uczuć. Na wpół święta! Z mężem współżyje wyłącznie pod gipsową statua, przedstawiającą rozpaczającego anioła.

Makary Lues, wybitny mąż stanu, człowiek gołębiego serca. Zabawy z małymi dziewczynkami ogranicza do lżania ich pod pachami. Członek wielu komisji rozjemczo-koordynacyjnych do spraw młodzi obdarzonej chorobami dziedzicznymi.

Lady Winnifreda of Cuntless, zwana przez przyjaciół Winnie-the-Cunt, filantropka i żona zafania. Przyrodzona wściekła macy nie przeszkadza jej w spełnianiu obywatelskich obowiązków. Liczne odznaczenia przypina do majątek, aby w ten sposób ochłodzić nieco swą nie-nasyconą kobiecość.

Alfons Walaich vel Val, weteran wielu bitew morskich i śródlądowych, zasłużony na polu i w lesie, gdzie wśród obozów efebów propaguje szeroko pojętą samowystarczalność. Od najmłodszych lat gorący orędownik słusznej sprawy. Ma wiochate znamie na lewym pódupku i wypycha sobie krocze pakulami.

Felixa, spytałem, obracając się przez ramie, czy my musimy też podawać swoje dane.

Ależ skąd, Laurenty, wszyscy was tu doskonale znają, a lokal jest szefem służby „H” na miasto i okolicę.

Może byście jednak stanęli przed nami, rzekł Sylwester.

Wykluczone, odparła Xenia. Goście mają swoje pierwszeństwo, a poza tym najadliśmy się przed wyjściem grochu z kapustą. To wspaniale wpływa na cerę.

Mańka Przydatek, ryknął lokal, kobieta o czystych rękach, wytrawna działaczka społeczna. Swoje kurewskie życie osobiste przeciwstawiła pełnej poświęcenia działalności na rzecz wdów i sierot po nocnych tramwajarzach. Poza tym występuje społecznie w cyrku Ficka, biorąc udział w numerze z przerysowaniem piła.

Ewa Adamowna ceni sobie przede wszystkim prostotę i swobodność, wybitna patriotka i męczennica. Podpora duchowa zbłąkanych artystów, którzy składają autografy na jej rozkładzisku. Męczy się, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ludzom zwycięskiego mało i mało. Ma cztery kamienie w mieście, wille nad morzem i zamek w górach.

Wreszcie przyszła kolej na nas. Xenia i Felixa popchnęły nas lekko na szczyt schodów. Lokaj spojrział na nas, mrugnął porozumiewawczo okiem i wrzasnął na cały głos:

Laurenty Quest, niesłubny syn prezydenta miasta. Narkoman i alkoholik. Obecny wywiad nastął go w celu porwania córki prezydenta, jednak służba „H” jak dotąd dzielnie przeciwstawia się tym zakusom. Próbowali namówić do grzechu i ucieczki wielu prawych obywateli Sodomy, jednak ci udali, że w ogóle nie słyszą jego nagabywań i przetrzeli nad tym do porządku dnia codziennego.

Sylwester Quest, niesłubny syn zony prezydenta miasta. Dziwiarz i pederasta. Na własną rękę próbuje uprowadzić żonę i kochankę prezydenta, aby potem zażądać wygórowanego okupu. Atanazja i Aurora robią co mogą, aby mu się oprzeć, mając mu w głowie głupota. Nie tracą nadziei, wierząc, że i tak skończy wreszcie w rymnszoku.

Oddzieleni od Xenii i Felixy tłoczącymi się gośćmi, wciąż jeszcze oszołomieni rewelacją lokalą znaleźliśmy się w przestronnej garderobie, w której każdemu z zaproszonych przydzielono maskę i kostium wraz z napisem objaśniającym symboliczne stroje. Zaproszeni rzucali swoje ubrania gdzie popadło zakładając obraźliwe peleryny, obcisłe trykoty, przebrania w kształcie muszli czy kwiatów, zwierząt, drzew, chmur...

Stroje, które nam wręczono nie były zbyt wyszukane. Oprócz dwóch przepasek na biodra zawierały ziemienne sandały i dwie pary skrzydeł. Laurenty wziął stroj biały wraz z tabliczką „Eros”, którą zaraz zawiesił na szyi. Natomiast Sylwester założył czarne maski i czarne skrzydła, przełożył przez głowę tabliczkę z napisem „Thanatos”. Tak ubrani szliśmy w stronę sali balowej, u której wejścia stały dwie osoby — jedna w purpurowej pelerynie, druga we fioletowej, opatrzonej odpowiednio napisami „Życie” i „Śmierć”.

Cóż za rozkosz widzieć was razem z nami, usłyszeliśmy głos Atanazji, wychodzący spod maski przedstawiającej łeb węża, wychylający się spod purpurowego kołnierza. Prawda, że nigdy byście mnie nie poznali! A oto mój mąż — wskazała na fioletową pelerynę, na której opierał się czarny bawół łeb — Jest wprost zachwycony.

Lancelot sklonił się i nie mówiąc podał nam dłoń w czarnej rękawiczce.

Szkoda, że nie macie masek, rzekła Atanazja, ale to może i lepiej. Bardziej oryginalnie. No, wchodźcie, wchodźcie, bufet w końcu sali oficjalnie zaopatrzony. Tylko nie uchylajcie się od razu jak to macie w zwyczaju.

Oślepieni jaskrawym światłem żyrandoli, zasłakoceni maskaradą w Domu Przedpogrzebowym, schodziliśmy po schodach z różowego marmuru, mając przed sobą tłum gości, którzy w krzykłych kostiumach krążyli po sali. Orkiestra grała skoczny walc. Szmer rozmów owianych zapachem perfum zdawał się być, podobnie jak orkiestra, nieodłącznym elementem tego rodzaju przyjęć, wynajętym i dobrze zapłaconym dodatkiem do spotkania.

Szukaliśmy wzrokiem Xenii i Felixy, lecz zwierzęce maski i stroje nierzadko deformujące ciało nie pozwalały nam kogośkolwiek rozpoznać. Jedynie tabliczki na piersiach każdego z uczestników balu wskazywały na często niejasną i pretensjonalną symboliczną stroje. Szliśmy wzdłuż sali podświetlonej rozmową, przystając co jakiś czas przy grupie pogrążonej w dyskusję. Nikt jednak nie zwracał na nas uwagi, a na nasze pytania czy uwagi, także reagował mało kto, traktując nas przeważnie ze wzgardą i obojętnością.

C.D.N.